



J. A. SIELKA
JASEŁKA.

JASIELKA.

JASEŁKA.

WYCIĄG

Z PAMIĘTNIKÓW KTOSIA

SPISANY PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Tom III.

INSTYTUT
BADAN LITERACYJNYCH PAN

Biblioteka

ul. Nowy Świat Nr 72

00-220 Warszawa

Tel. 26-68-63, 26-52-31 w. 42

MS 274

KIJÓW.

Nakładem LEONA IDZIKOWSKIEGO Księgarza.



Wolno drukować, pod warunkiem złożenia w Komitecie Cenzury, po wydrukowaniu, prawem przepisanej liczby egzemplarzy.

Warszawa, dnia 19 (31) Lipca 1861 r.

Starszy Cenzor,
ANTONI FUNKENSTEIN.

Ponowila się jeszcze narada z Żółtowskim, który niedowierzając sobie pojechał do miasteczka, i niewyraźnemi słowy, ostrożnie, nie dając się domyślić o co chodziło, dopytywał u prawników, jak w danym razie potrzeba było postąpić. Jednomyślnie wszyscy bez wahania uznali konieczność złożenia testamentu, którego nikt utaić nie miał prawa. Nie można było wiedzieć zresztą co on w sobie zawierał, bo nieboszczyk nikomu się z tém nie zwierzył.

Z wiadomością tą gdy Żółtowski pospieszył do hrabiny, a ona biedna znowu wymodliła się i wyplakała, zeszła wreszcie na dół powoli i z rezygnacją najprzód musiała swój błąd i dotychczasowe zapomnienie wyznać przed mężem. Żadnego nań nie mając wpływu, choć daleko sercem i umysłem wyższa od niego,

musiała w razach potrzeby uciekać się prawie do fałszu, by dla niego co pożytecznego zrobić; w innych wypadkach ulegała najszkodliwszym jego zachceniom, bo przemódz ich nie było podobna.

Rzadko się bardzo trafiło, by hrabina schodziła na dół do pracowni męża; zawsze było to oznaką jakiegoś niezwykłego wypadku, a obudzało jego nieukontentowanie, bo choć mu nikt nigdy nie ośmielił się przeszkodzić, i gdyby się dom palił wchodzić doń nie śmiało: jeśli raz w pół roku trafiło się, że go ktoś oderwał od fantastycznych marzeń, gniwał się jakby szło o życie. Ten gniew należał do oznak powagi i atrybutów geniuszu, wedle pojęć hrabiego.

Zapukawszy wprzód, nieśmiało bardzo, z bijącym sercem, odebrawszy nierychło odpowiedź mrukliwą pozwalającą wnijsć, Marya stanęła przed swoim panem ze smutną, pokorną miną winowajcy.

— Cóż to się stało, że mnie tu odwiedzasz? — zapytał hrabia zdumiony — czy istotnie jest coś tak ważnego?

— Rzecz największej wagi: posłuchaj mnie chwilę.

— Domyślam się: pewnieście znowu z Żółtowskim jakiego na mnie wymyślili stracha.... Dość, żeście się uwzięli, aby mi nigdy nie dać pokoju!

— Jeżeli tak jesteś zajęty...

— Ale już teraz tok myśli przerwany, nie jestem zajęty; rzecz skończona: mów a prędko, pewnie jakieś dzieciństwo.

Hrabia poruszył ramionami z uśmiechem, jakby był pewien swego i zamilkł z uczuciem wyższości, która litościwie raczy pobłażać daleko od siebie niższej istocie.

— Mój drogi Rajmundzie, tylko nie gniewaj się na mnie...

— Ale bez tych przedmów, chciałbym już wiedzieć o co idzie.

— W tych czasach — odezwała się spuszcza-
jąc oczy hrabina — tak byłam strapiona, przy-
bita, nieprzytomna, że mimowoli wielki błąd
popelniłam.

— No, spowiadajże się proszę: ja czekam!

To „ja czekam” wymówione było zupełnie w rodzaju Ludwikowskiego: „o mało nie czekałem (1).”

— Gdy pierwszym razem przyjechał do nas Herman....

— Herman? a tak? cóż dalej!

— Nie mówiłam ci nic, bo mi nie pozwolił o tém wspominać, ale żądał odemnie abym przyjęła do schowania jego testament....

Spojrzała mu w oczy hrabina i zaczęła drżać spodziewając się wybuchu: Rajmund poruszył się bardzo.

— Testament! zrobił więc testament!

— Naówczas jeszcze o synu nie wiedział, był na niego mocno zagniewany...

— A teraz nie odebrał ci tego testamentu? — zapytał żywo hrabia.

— Właśnie, wina w tém moja, że m jego wejrzeń i rozpaczliwych ruchów, gdy umierał, zrozumieć nie mogła; że m nie spytała go czy chce by się to spełniło. Zdaje się że pragnął widocznie, domagał się odemnie zwrotu, alem

(1) J'ai failli attendre!!

ja tego naówczas nie umiała się domyślić, wszystko to zapóźno mi się przypomniało.

— I nie zwróciłaś go? — tupiąc nogą o podłogę powtórzył hrabia.

— Jest dotąd u mnie.

— Jest dotąd! a ty mi nic nie mówisz!

— Wszakże dopiero teraz przypomniałam to sobie!

Hrabina spuściła oczy, hrabia Rajmund poruszył się gwałtownie.

— Otóż to sprawa z kobietami! — krzyknął stukając ręką o jakąś maszynę: — rzeczy największej wagi! los rodziny! Ale gdzież rozum, gdzie zastanowienie! Moja pani! to niepojęta rzecz, zapomnieć o testamencie!

— Mój drogi, nie gniewajże się: nic się przecie nie stało.

— Owszem! skutki mogły, mogą być okropne! Zatajenie! posądzenie nas o nieuczciwe skrycie woli zmarłego, który w naszym domu życie skończył! Zresztą, któż wie? skutki mogą być nieobrachowane... Gdzież jest ten testament?

— Sami go przecie otwierać nie mamy prawa.

— Ale go natychmiast potrzeba odesłać do sądu... Wołać Żółtowskiego — zakrzyczał hrabia poruszony niezmiernie, tracąc zwykłą sobie powagę.

Malczak który podsłuchiwał, powrócił żywo do warsztatu posłyszawszy dzwonek, a z drugiej strony wbiegł służący, którego natychmiast posłano po rządzcę.

Złym dla hrabiniej znakiem był sam już niepokój hrabiego i kilka słów, które mu się wymknęły nieznacznie; widoczna bowiem była, że się domyślał, iż ostatnia wola zmarłego na korzyść ich wypaść mogła i wcale zrzekać się jej nie miał ochoty.

Przeczucie jakieś i niepokój tak nim owładły, że rzucił nawet swe zwykłe zajęcia, sam zaraz porozpisywał listy do sędziego i urzędników, rozdysponował konie, chodził nie mogąc w miejscu usiedzieć.

Nazajutrz przybiegł wezwany pan sędzia Korokotowicz - Mejszagolski (tak się bowiem nazywał a czasem dopisywał i dwa imiona, i herb Wilcze-zęby, do niekrótkiego i tak nazwiska, które bywało powodem omyłek, bo go

dwojako mianowano). Sędzia, maluteczki człowiek, zwinny, brudnawej powierzchowności, w wyszarzanym wice-mundurze, z podtartą do góry czupryną, z mową żywą, niezrozumiałą i płaczącą się co chwila, uniżony, pokorny, a w potrzebie bardzo usłużny, był dosyć lubiany od powiatu, choć niktby był zań nie dał i trzy grosze.

Służył wszystkim bez wyboru, co mieli czém odsłużyć i użyteczni mu być mogli: przeciwnie dla tłumu bez mienia, imienia, stosunków i siły, był ostry, szorstki i szyderski. Trzebaż się na kimś odegrać. Było to jedno z tych narzędzi posłusznych, które każdy używszy wedle swój myśli, usuwa potem aby rąk sobie nie walał.

Korokotowicz wezwany wiedząc, że hrabia zawsze przez dumę za podróże przedsiębrane dobrze się wywdzięczał, przystawił się raniuténko najętą furką, i wysiadł u Żółtowskiego, gdzie herbaty z rumem się napiwszy, a potem zjadłszy śniadanie skropione parą kieliszkami, których droga odbyta dla pokrzepienia wymagała, o godzinie dziesiątej zaproszony został do pana hrabiego.

Rzecz już była wiadoma.

Hrabia Rajmund przyjął sędziego w swoim pokoju. Ten przybywszy pocałował go w ramię, ukłonił mu się dziesięć razy, i siadłszy na różku kanapy, chustką ocierając czoło, uznał, że co tylko mówił Jw. hrabia, było niezmiernie słuszném, niesłychanie trafném, nie mogąc wydziwić się nadzwyczajnej przenikliwości umysłu pańskiego. Złożony na ręce swe testament, przyjął Korokowicz w troskliwą opiekę, obiecując zaraz nazajutrz dać znać o otwarciu, które w urzędzie nastąpić miało.

Przy téj zręczności pan Korokowicz - Mejszagolski nie omieszkał wiele ciekawych rzeczy opowiedzieć hrabiemu, jak Horodniczy postąpił sobie z pewnym kupcem, o czém już poszło sekretne doniesienie do gubernatora; jak wielkie było podejrzenie, że podsędek szpakowatego konia nie kupił, chociaż go z jarmarku przyprowadził; jak plotki chodziły o aptekarzu, że kochał się w córce doktora, który ją znowu chciał wydać za urzędnika eleganta do osobnych poruczeń. Hrabia tego wszystkiego nie słuchał, ale nim podano drugie śniadanie,

musiał gościa bawić, a ten wywdzięczał mu się jak umiał, tém co go najbliżej obchodziło.

Obszerniej nieco a ciszej rozwiódł się Korotowicz nad podaną prośbą osobistą przeciwko pani sędzinie, przez pana marszałka w rzeczy należnego jój długu; z czego miała wypaść bardzo zabawna rezolucya, a później extra-fein decyzya rządu gubernialnego, którą sobie jak przysmaczek podawano.

Szczęściem wśród rezolucyi nadeszła taca ze śniadaniem, która trochę te wñnurzenia się, już polityki mocarstw dotykające, przerwała... Sędzia w niedostatku innych wiadomostek dopuszczał się tej indyskrecyi, że szeptał na ucho hrabiemu, jakoby pewną miał wiadomość, iż względem poddanych pruskich były podejrzenia o fałszowanie monety, co dopiero nastąpiło gdy Prusy zbliżyły się do Anglii, która ich za pośredników użyła do rujnowania kontynentalnych finansów, za pomocą fałszywych bankocetli.

Gadatliwy sędzia byłby nawet coś ciekawego o swym naczelniku gubernii i jego passyi do grania w kręgle powiedział, mimo to, że nie

wypił nad parę małych kieliszków; ale czasu zabrakło, hrabia go pożegnał sam, i wyprawił prosząc o jak najrychlejsze oznajmienie gdy testament otwarty zostanie.

Hrabina tymczasem zdala pożegnała odjeżdżającego sędziego z papierem, który może przyszłość rodziny całej w sobie zawierał. Zda się, że i Rajmund nie mniej się interesował tém co on w sobie zawierał, domyślając się, że wedle wszelkiego podobieństwa, ogromne dobra i w pocie czoła uzbierane kapitały przeniesie na Zarubińce, nowego blasku dodając jego domowi, a co lepiej dostarczając mu środków do zamawiania nowych machin modelów, w Paryżu lub Londynie, zaprowadzenie fabryki na większą i poważniejszą skalę...

W tropy za sędzią pojechał zaraz Żółtowski z poleceniem, aby natychmiast przynosił kopią żądanego papieru.

Tymczasem Juraś jechał dalej opuściwszy dom pułkownikowej, ku Horycy, z zapłakanyim starym Pawłem, który albo milczał przybity, albo szlochał i narzekał na to nieszczęście, iż Bóg go skazał by pana i wychowanka

przeżył. Potrzeba było przez litość nad nim pielegnować go jak dziecię, gdyż widocznie życia mu już niewiele zostawało...

Wszyscy zresztą zarówno starzy domownicy Hermana, uderzeni zostali tą wieścią piorunową o śmierci pana, z którym dziwny i napozór wcale nie serdeczny łączył ich stosunek; ale w istocie z niego jednak wyrobiło się trwałe przywiązanie, nałóg, potrzeba...

Starca tego dziwaka i sknery wszystkim brakło do życia; czuli oni, że bez niego żyć im będzie trudno, i Lacyna i Radwanowicz i pomniejsi oficyaliści we dworze, nie wiedzieli co się z niemi stanie, jak się bez niego obejdą.— Horyca bardzo osmutniała; schodząc się do izdebki Radwanowicz, Lacyna, klucznica, ekonom, wirtuoz, wzdychali i popłakiwali nie domyślając się w jakie przyjdą ręce, i gdzie ich nadal losy rozpędzą. Wszyscy oni zależeli od tego kogoś, który miał w Horycy panować, a razem prawie z wieścią o śmierci hrabiego nadeszła i niespodzianie druga o znalezieniu syna i dziedzica, o pojednaniu jego z hrabią, o blizkiem do domu przybyciu.

Duch nieco wstąpił w domowników, choć różnie wnosili, jakim być może ten chłopak, który uciekł od ojca, tyle się czasu po świecie wałęsał i pewnie w biédzie i nędzy wydobrzcć nie mógł.

— A już to, mospanie, *expresse* powiadam — wnioskował Lacyna, który wása podkręcał, czuba zacierał, ale tylko z nałogu, bo mu nawet panna Petronella z głowy wyleciała — powiadam, że z młodemi niebezpieczna dla nas sprawa: młody szuka młodego.

— *Similis simili gaudet* — przerwał Radwanowicz, który nawet w smutku nie przestawał bredzić. — *Gaudeamus igitur*, czyli Oda do młodości: zkąd mówi się przenośnie szalona pałka, ale nie Herkulesa... co dusił węże w kolebce; za nim idzie, że czém się skorupka napije.... Mięczaki, skorupiaki i t. d. Waćpan jesteś mięczak czy skorupiak? — spytał nagle Lacyny.

— Ja Wpana nigdy zrozumieć nie mogę, co Wpan pleciesz?

— Pleciesz!! *associatio idearum*, Wpan tego nie możesz zrozumieć — odparł Radwanowicz — zkąd?? ztąd, że *ideae innatae* wszystkie siostry rodzone trzymają się za ręce.

— Tfu! — rzekł Lacyna — groch z kapustą....

— Bardzo dobrze — odpowiedział Radwanowicz — kapusta, a czemu nie ogórki? Ogórki, jak pisze Pliniusz, do tego stopnia lubił cesarz Tyberyusz, że mu je wożąc w taczkach po słońcu przez cały rok hodowano, aby je miał zawsze świeże. Zkąd widać, że sztuka kwaszenia ogórków nie była jeszcze wynalezioną i jest późniejszą od ery naszej.

— Ale co mają ogórki do naszego nieszczęścia? — przerwał gniewnie Lacyna — tu o nas chodzi?

— Tak, i o to — dodał Radwanowicz — że jeśli nas przyszły pan tak będzie lubił jak Tyberyusz ogórki, to oczywiście będą nas wozić po słońcu....

— Ale ba! i zje nas jak ogórki!

— Nie zje, gdyż nie jesteśmy jadalni, ani ja, ani Wpan, panie Lacyna; raczej sami mięsożerni i wódkopije...

— A któż wódkę pije! tfu, — zakrzyknął oburzając się Lacyna.

— A! nie ja! — odparł Radwanowicz — ale nas tu jest kilku.

— To znowu do mnie, z tą głupią potwarzą!—rzekł Rejentowicz.

— Potwarz, po łacinie *calumnia*, roślina, która się krzewi na bujnych gruntach, *species* łobody i pokrzywy, a żywi się nią nierogacizna i....

— Znowu plecie! — przerwał Lacyna — dosyć, że z tobą nawet o tem co nas wszystkich boli, pogadać nie można... nawet o tej naszej biedzie.

— O biedzie, czemuż nie; bieda, miseria, nędza, prawie synonimy; biedą także zowie się *vehiculum* o dwóch kołach; dalejże co? mogę i więcej o niej ze starożytnych powiedzieć.

— Bóg wie co będzie z nami? przyjedzie, gotów powypędzać!—rzekł Lacyna zadumany.

— Nigdy w świecie — odparł chłodno Radwanowicz, który nie tracił nadziei do ostatka. Młody potrzebuje pomocy, zrazu nie pozbywa się nikogo; dopiero gdy cnoty nasze wyjdą na jaśnią i okaże się, że Rejentowicz Lacyna umie tylko koperczaki stroić, a Radwanowicz bredzić trzy po trzy, to jest ni w pięć ni w dziewięć, naówczas!.. Ale zkad pochodzi wyraz

koperczaki? wiész asindziój? nie od kopru zdaje się, nie! ale zkądże? ja nie wiem. Wpan to pöwinieneś wiedziéc *intuitive*?

— A! nie ma naszego starego! — zawołał Lacyna — poczciwy to był człowiek! O mój Boże! cenić go nie umieliśmy!

— Ale ba, mówże jegomość w liczbie pojedynczej; ja nie lamentuję, ale wiem co straciłem: erudyt był pierwszego rzędu, *primae classis*, i żeby z nim człowiek jak bałamucił, jak kręcił i skakał od idei do idei, on go zawsze dogonił, za kark i do kozy. Dlatego on jeden mógł się poznać na Radwanowiczu a Radwanowicz na nim. Radwan, czyli *vexillum*, zkąd *Vexillifer* chorąży; dalej co idzie, panie Lacyna?

— A djabliż wiedzą co u ciebie idzie! U ludzi po ludzku, można się połapać, ale co z tobą!

— *Homo sum humani nihil a me aliènum puto*, mówi sławny dramatyk rzymski. Rzym, *Roma aeterna*, zkąd zaraz niedaleko *Campania*; zkąd jeszcze państwo wschodnie i państwo zachodnie, barbarzyńcy i Longobardowie; a Wpan co na to!

— Wpan sam jesteś barbarzyńcą i tym, jak się zowie, Longobardem.

— E! e! dobrze to szaleć za młodu — odparł Radwanowicz wzdychając — ale nie nam; zkąd szął! Wiadomo bowiem, że Pythonissa szalała, a szął jój był święty.... bo dym jój szedł w pięty.

— Panie Radwanowicz — krzyknął Lacyna wściekając się z gniewu — dajże Wpan pokój! czy już nie przestaniesz!

— A! kto staje i odwraca się, ten się w słup soli obraca: zkąd zaraz przychodzą Lot, Sodomma i Gomora, czyli Komora, powiada Dębołęcki; wieża Babel czyli Bąbel na ziemi wyrosły, jak świadczy tenże etymologista. Wpan nie jesteś etymologiem, panie Lacyna, to może entomologiem, lub....

Lacyna dochodził do rozpacz, a szanowny Radwanowicz choć szczerze żaloszny, nie mógł wytrzymać, by z niego sobie nie żartował i nie bredził.

— A! Pawła pocziwego nawet nie ma! Co się tam z tym nieborakiem stało?

— Co tego to mi żal — odparł Radwanowicz — *ex re* szczególnież tabaki i poczciwości, niewodów na ryby i przywiązania do starego. Ot ten nie wiem czy go przeżyje.

— Mówią, że go ledwie od trumny oderwali—rzekł Lacyna.

— Rozumiem to bardzo; cóż mu teraz życie? Jak powiada Salomon, który wcale nie był głupi: *vita brevis*, kiedy umrzesz nigdy nie wiesz. To nawet zarywa na wiersz, panie Lacyno?

— Professorze! — krzyknął Rejentowicz.

— A! juścić jeśli i teraz powiesz, że ja bredzę....

— Po cóż Salomon?

— Ja tylko Wpanu życzę ćwierć tego rozumu jaki on miał na powszedni dzień, cóż dopiero na święta! Pewnieby cię ta Petronelka tak za nos nie wodziła, bobyś wiedział co *mulier* i sztuczki niewieście....

— Jest znowu.

— No, to milczę—rzekł Radwanowicz i westchnął.

— Czego mi żal — dodał po chwili — to biblioteki; kto jój teraz użyje jak ja i on, chyba

mole. Tak jest, *mól* to *ultima linea rerum*, z kądem mówią, że każdy ma swojego co go gryzie. Mysz także, to są *bibliofagi*. A no, tak! nie ma nic na świecie, panie Lacyno, tylko mól, ból, i co trzeciego? zgadnij?

— Albo ja tam wiem!

— A no, to i ja nie wiem także — odparł professor — jesteśmy w zgodzie i możemy gadać o czém inném.

— Wystaw sobie asindziej, chłopiec wychowany przez naturę — rzekł Lacyna zamysłony — to coś osobliwego.

— Ba! trzebaby tylko wiedzieć przez którą?

— Albo ich jest dwie?

— Najmniej! Jeżeli go hodowała *natura*, *naturans* to bardzo dobrze; ale jeżeli *natura naturata*?

— Oszalał! — mrucał Lacyna.

— Wpan nie czytałeś Podolanki? — zapytał professor.

— Nie.

— No, to jój nie czytaj: to wszystko jedno. Natura może z wychowaniem postąpić jak się jój podoba, bo ma różne fantazyje, albo zjé albo

nakarmi, wykołysz lub zdusi, zrobi olbrzyma, bohatera lub kłapouchego. Natura wielka, widzisz Waśc, panie Lacyna: zkąd Lukrecyusz *De natura rerum*, i lukrecya nie rzymska, ale ta, którą jedzą od kaszlu, nudna jak ty kochany Rejentowiczu: rozumiesz.

— Kiedy kto ciebie zrozumiał?

— Mniejsza o to, byłem ja siebie rozumiał. A nie zagrasz Wacpan w warcaby?

— Nie; mówią, że nasz przyszły dziedzic ma być bardzo piękny i obiecujący mężczyzna—przerwał Lacyna.

— — Obiecujący? jabym wolał dotrzymujący — odparł Radwanowicz — toby było lepiej: obiecać a dotrzymać dwa bieguny przeciwne....

— Ty bo mnie nie rozumiesz!

— Ale ba, pochlebiasz Wpan sobie zdrów! — rzekł śmiejąc się professor — gdybyś zagadał po chińsku opiwszy się herbaty, i takbym cię jeszcze kędyś złapał na przesmyku, mój kochany: spróbuj? Fu-si, dzi-li-kien-fan-pen, dza; rozumiesz?

— Mój professorze, na miłość Boga, ja z tobą zwaryuję.

— *Non bis in idem* — zawołał Radwanowicz — to być nie może, kochany Rejentowiczu, zkąd zaraz *bies* alias djabeł, rzecz dwoista i dlatego djabelska, etymologia łacińska. Inaczej szatan od tego, że się szata, szasta i basta. Demon, zkąd na myśl przychodzi Sokrates, Ifikrates, Zoroaster i Knaster... A nawet, ale Wpan na to nie pozwolisz, panie Lacyno, plaster?

— Tfu! panie Radwanowicz, coby ludzie powiedzieli, gdyby cię słyszeli?

— Coby powiedzieli? że jeden z nas waryat! ale jabym tego nie wziął do siebie, ręczę — odparł spokojnie professor. — Wpan zaraz się burzysz, burza to jest fermentacya, godło zniszczenia, a panna Petronella jest godło pokoju i miłości: zkąd, *si vis pacem parabellum*. Już na to poszło, że ty i tego nie zrozumiesz, Rejentowiczu Lacyno?

Gdy tak jeden z nich bredził, a drugi się niecierpliwił, w chwili gdy oba najmniej się tego spodziewali, wpadł zdyszany Wicek donosząc, że od miasteczka dostrzeżono koczobryk starego pana i furę Pawła, i że Jacek

który miał tak dobre oczy, że na staję zajęcia w kotlinie upatrywał, na furze starego Siermięzkiego nie dostrzegł, z kąd wnioskowano już, że albo umarł, albo zachorował.

Lacyna porwał się żywo, wąs jego wprowadzie był wyszwarcowany, ale jak na dnie powszednie, a nie na przyjęcie pana; skoczył więc do lusterka przy zręczności zaczesując czuba naprędce, podciągając węgierki, i poprawując pół-tygodniowych, ale jeszcze białych kołnierzyków. Inni także nie próżnowali, na folwarku, w domu, oficynie ruszyło się co żyło biegnąc do ganku witać nowego pana: nie było już wątpliwości, że to on nadjeżdżał.. Pawła w istocie na furze nie było, ale dlatego tylko, że jechał z Jurasiem w powozie, gdzie staremu było wygodniej i miał do kogo zagadać.

Zółty koczobryk zatrzymał się wreszcie przededrzwiemi i tłumem gawiedzi, wyskoczył z niego najprzód w żałobę ubrany Juraś; za nim wydobyto powoli Pawła, który rękawem twarz zakrywszy szłochał biedaczysko, nie mogąc spojrzeć na osieroconą Horycę.

W progu przedstawił się po wojskowemu, jak on to lubił choć kulał, Lacyna.

— Dawny sługa ojca Jw. pana, Rejentowicz Lacyna, poleca się opiece zacnej krwi jego...

— Ex - professor Radwanowicz, quasi bibliotekarz i lektor nieboszczyka jegomości, a w istocie *pondus inutilis*, po polsku, ciężar nieużyteczny: co tam chcesz, to z nim postanowisz.

— Kto z panów bliżej jest z Siermięzkim, niech się nim zaopiekuje — zawołał Juraś kłaniając się, wchodząc powoli i rozglądając się po pamiętnych mu z dzieciństwa miejscach.

— Jabym mógł, ale będę Jw. panu potrzebnym może, jako świadomy miejsca — rzekł Lacyna — a może jakie rozkazy?

— Ja jestem dość świadom także, bo pamiętam dobrze dom ojca — rzekł Juraś — zaopiekujcie się biednym starym, proszę was bardzo, a mnie dziś zostawcie samego: potrzebuję odpoczynku....

— Dokąd pan każe znosić rzeczy?

— Gdzie chcecie: to mi wszystko jedno...

To mówiąc śmiało, ale nie bez wzruszenia, żegnając się, Juraś przestąpił próg opustoszałego domu i wszedł do téj siedziby, którą przed laty dobrowolnie opuścił.

Wszystko co go tu okalało było smutne, zatechłe, grobowe, ciemną jakąś barwą okryte, a jednak z pod tego całunu wspomnienia dobywały się żywe i świeże, przykre zarazem i miłe.

Juraś przeszedł powoli pokoje, zastanawiając się tu i owdzie, a stanąwszy u kilku wschodów wiodących do ojca, zatrzymał się nie śmiejąc pójść dalej.

— Nie wiem—rzekł w duchu—czy mi tam wolno, czym już ten cień zagniewany na mnie przebłagał! Nie! nie pójdę!—dodał—zostanę w progu, aż mi czyjakolwiek ręka sama te drzwi otworzy...

W chwili prawie gdy słów tych domawiał, domyślny chłopak, który posłyszawszy chód pana skierowany w tę stronę, pobiegł okrążając domostwo, i powoli dłonią dziecięcą rozwarł te drzwi zakłete. Juraś zastanowiwszy się chwilę nad dziwnym zbiegiem okoliczności, jaki

często zdumiewa w życiu, z religijném poszanowaniem dla ojca pamięci, powoli wstąpił do izby ostygłej, w której tyle lat jak w klatce zamknięty z myślami, przebył sam, zdziczały starzec, walcząc z sercem, wmawiając sobie nieczułość, bolejąc nad zmarnowanymi chwilami.

Nie wiem, płakał czy modlił się Juraś stojąc długo w milczeniu, a gdy powieki otworzył i usiadł z boku na ławce, ujrzał chłopaka, który pamiętny obyczaju starego pana, ogień na kominku rozkładał bojaźliwie, z pod oka spoglądając na biednego Jurasia. W drugich drzwiach ukazała się klucznica pani Seregowiczowa, w nowym czepku z pomarańczowemi wstążkami i chustce bagdadzkiej, po nieboszce sędzinie odziedziczonej, która się tylko kładła od wielkiego święta, z zapytaniem czy pan sobie co kucharzowi zgotować nie każe; od salki znowu wyskoczył Lacyna, pochrząkując aby się oznajmić, że stoi na zawołanie. Wszystkich ich Juraś grzeczném skinieniem odprawił.

Chwila przybycia do tego domu, uczucie którym on go natchnął, były jakby spowiedzią

z grzechu młodości: tu dopiero uczuł ile sieroctwa i smutku, ile godzin żalu zlał na głowę ojca; tu zrozumiał ile był winien w obec Boga i ludzi, że się go wyrzekł potępiwszy przed światem, skazując na wyrzuty i męczarnie. Stały mu przed oczyma dni spędzone przy tym ognisku, o których opowiadał Paweł, lata które krokami powolnemi wydeptały ślady na posadzce, troski które gryzły powoli więcej zdrętwiałe niż zahartowane serce: jasnowidzeniem odgadł wszystko i zapłakał nad nim i nad sobą.

Jeśli w tej chwili z wysoka duch ojca spojrział nań, musiał mu resztę winy przebaczyć.

W milczeniu nieruchomem przesiedział Juraś noc całą, sen dopiero o brzasku skleił jego powieki... Gdy się obudził, ujrzał znowu chłopaka który cichutko wszedłszy, obowiązku swojego rozniecania ognia o świcie, dopełniał. Tak bywało za starego pana i zdało mu się, że młody też same upodobania i zwyczaje co ojciec mieć musi.

Tą razą i Lacyna, który nie dając się nikomu uprzedzić, oddawna czatował, stanął na

zwyklém swém miejscu z raportem, ofiarując wierne służby. Wstał bardzo rano...

— Czego pan chcesz? — zapytał Juraś pocierając ręką po czole.

— Po rozkazy, Jw. panie, *expresse*; może co wypadnie polecić?

— Nie, kochany panie, róbcie coście zwykli; niech wszystko starym idzie obyczajem: dajcie mi ochłonąć i przyjsć do siebie.

— Właśnie to, wedle tego obyczaju, Jw. starego hrabiego, świeć Panie nad jego jaśnie wielmożną duszą, *expresse*, przychodzę z raportem jak do Jw. nieboszczyka.

Wszystko dobrze: w oborze, w owczarni; *item* w stajni. Możeby Jw. pan chciał się po-fatygować.

— Kiedyś, później, panie Lacyno.

— Także, professor Radwanowicz czeka w bibliotece.

— Są tu konie?—spytał nagle Juraś.

— A! a! stadnina paradna! — odparł Lacyna.

— Kaźcie mi tam co młodego osiodłać.

Lacyna spojrział, skłonił się i odszedł powoli, ale co młodego osiodłać nie było łatwo.

— Jeżdżonych koni — rzekł wracając się z za progu — prawdę powiedziawszy tak jak nie ma, bo Jw. hrabia dla bolu w nogach nie jeździł dawno i jeździć nie pozwalał, a młode, to tyle tylko wsiadane co do wody...

— To mi wszystko jedno, byleby koń młody, a nogi miał zdrowe...

Czuł się złamanym Juraś, a jedynym dlań środkiem było, gwałtownym ruchem do sił powrócić, jak nieraz tego doświadczył.

Zdało mu się, że i teraz kąpiel powietrza, walka ze zwierzęciem, widok okolicy, otrzeźwią go i wleją mu życie nowe.

Ale nie prędko doczekał się konia, którego w sześciu mu dobierali chórem: pisarz, Lacyna, Radwanowicz, kucharz i furman, i ledwie zdecydowali się na najpowolniejszą szkapę, na której jeździł wirtuoz.

Juraś wyszedłszy spojrział i poznał, że takie stworzenie go nie rozłamie, ani zmarłe w nim siły obudzi.

— Pokażcie mi stadninę — rzekł po chwili.

— Wypędzić konie w dziedziniec!! — rozległy się głosy. I parobcy pobiegli cwałem,

a w kwadrans młodzież parszając i bijąc się przyleciała w skokach pod ganek.

— Czy siwy ten jeżdżony? — spytał Jerzy pokazując konika.

— No, tak: do wody — rzekł ekonom.

— Włożyć nań siodło i trzęślę...

Nie bez obawy i nie bez trudności rozkaz spełniono, a siwy choć się rwał i płoszył, musiał być posłusznym. We dwóch go przytrzymali gdy Juraś nań siadał, a gdy raz miał go w rękę, oparł się tylko o siodło, zebrał cugle, i z pośrodku stada ze zdumionej gawiedzi, jak strzała groblą w świat poleciał. Koń i jeździec w jedno zda się zrosli ciało, oba kopnęli niecierpliwie, szybko: tylko że ich widać na grobli, a za niemi kurzu tumanik, i nie już... Tłum stoi przerażony, nikt tu tak, nawet pastuszki na koniach nie jeżdżą: myśleli, że koń go rozniesie.

— Ależ jeździ! — zawołał ekonom — to już można powiedzieć że jeździ!

— A ja panu mówiłem — rzekł Lacyna — jemu ten gniady, to wół: co onby z nim robił! a do tego nieprzyzwoicie kłapouchy...

Radwanowicz stojąc z założonemi w tył rękami, co żołądek jego sferyczny dobrze uwydatniało, pokiwał głową.

— *Eques* — rzekł — *eques!* dosiadł Bucefała! i... drała... Alexander Macedoński, z kąd zaraz bierze się Arystoteles, wypływa logika, polityka i inne tyki. Za czém — spytał — gdyby pójść na śniadanie, co logika wskazuje także gdy żołądek próżny? he?

Lacyna nie był od tego ani ekonom wirtuoz, i wszyscy zgromadzili się do pokoiku Rejentowicza, wypili po kieliszku wódki, pozwalając sobie różnych zdań o nowym panu.

— Piękny mężczyzna — rzekł ekonom — a jaka twarz pańska choć ogorziała! Ramiona choć sążniem mierzyć.

— Statua, panie, Alexandra Macedońskiego — dodał Radwanowicz — jak się to powyżej powiedziało, że zaś *mens sana in corpore sano*, czego asañstwo naturalnie rozumieć nie możecie, wnioskuje, że panisko będzie dobre z kośćcami...

— Ale młody! gorączka! — rzekł Lacyna — całą noc nie kładł się nawet, zrana nic nie jadł.

— No, to impressya panie, a Wpanbyś co jadł?

— Co ma impressya do żołądka?—zawołał Rejentowicz, chleb smarując masłem grubo.

— Jest logika, ale *praemissa* fałszywe w żołądku. Widzisz wszystko się jednoczy, nawet starożytni niekiedy, nie bez przyczyny w brzuchu duszę mieścili, gdy ich mocno zabołał; przez co się téż dowodzi ta prawda, że smutek nie jé, a niestrawność bywa smutna..

Ekonom z przywyknienia ruszył ramionami, Lacyna zajadł argument wędzonką.

— *Expresse*— rzekł—dał rozkaz aby wszystko było po staremu, gospodarstwo i inne okoliczności domowe; mam jego dyspozycją autentyczną Wpanom to oznajmić, ażebyście nawłos ze starych obyczajów nie wykraczali.

— No, to rozumiem — dorzucił ekonom — i to chwalebnie...

— Ja téż *laudo*, bo i Radwanowicz przy bibliotece *more antiquo*, śniadanie o swéj godzinie, pensya każdego pierwszego miesiąca, pięknie, chwalebnie, godnie... *Nomen tuum laudesque manebunt!* czego asaństwu tłumaczyć nie będę.

— Przecież to się do szkół chodziło—rzekł Lacyna — który przy ekonomie nie lubił aby mu przytykano nieuctwem.

— A cóż to znaczy *manebunt?* he? juścić tu jest bunt? ha? zgadłeś: uczony Lacyno, kulą w płot.... *Terra est rotunda et globosa...*

— Jadłbyś Wpan, kiedy dali jeść.

— Czego nie omieszkam—dodał sapiąc *ex-professor*.

Rozmowa długo się jeszcze w ten sposób toczyła, ale towarzystwo Horyckie w ogóle czuło się bardzo uspokojoném i oczekując powrotu pana, ekonom zasiadł grać w warcaby, a Lacyna wziął się do fajki, którą lżej jakoś już wzdychając, nałożył zalibockim.

Ha! ba! — rzekł w sobie — i synowi jeszcze służyć będę do zdechu! Nie wypędzi nas przecie, a może choć u niego człek się jakiejś kon-syderacyi dobije. Prawdę powiedziawszy — dodał—tamten był nie zły człowiek, ale twar-dy jak sér zawiędły i niczém go rozmoczyć: ten to co innego...

Tymczasem stugębna wieść rozchodziła się znowu po sąsiedztwie Zarubiniec i Robowa, równie dziwna jak te co ją poprzedzały, o znalezieniu testamentu nieboszczyka hrabiego, otwarciu i dyspozycjach w nim zawartych.

Sędzia Korokotowicz, jak tylko rozpieczętowano ostatnią wolę i kopia z niej zdjęto poświęconą urzędownie dla hrabiego Rajmunda, pobiegł z minką usłużną od komina do komina zwiastując co testament w sobie zawierał. Opowiadał on, że hrabia pominawszy wszelkie o synu wspomnienie, jak gdyby go nigdy na świecie nie było, zapisał wszystek ruchomy i nieruchomy majątek, bez żadnego wyjątku bratu swojemu hrabiemu Rajmundowi z tém tylko, aby on go jak dożywotniego używał, i nienaruszonym zostawił swoim spadkobiercom.

Testament w ten sposób uczyniony wiele miał przeciwko sobie pod względem prawnym: bo najprzód przemilczał syna, którego od sukcesyi milczeniem tém tylko wyłączał, nie o nim i prawach jego nie wyrzekając; powtóre

rozporządzał tem, co stanowiło fortunę spadkową dziedziczną, w sposób nielegalny, bo majątności téj natury nikt rozpisywać nie ma prawa ze szkodą naturalnych sukcesorów, a co się tyczy dorobkowego mienia, summ i kapitałów, które schodząc na brata już przybierały charakter spadkowego majątku, obwarowywał użycie ich, czego nie mógł téż, bez osobnego, wyjątkowego na to pozwolenia, uczynić.

Ze taką rozporządzenie bardzo łatwo obalonem być mogło, nie było wątpliwości najmniejszej; zjawienie się syna, samo przez się niszczyło testament: jednakże nie wiadomo było jak oba, to jest stryj i synowiec postąpią w obec tego dziwnego aktu.

W Zarubińcach oczekiwano niecierpliwie posłańca z miasteczka, a gdy przybył i doręczył list Hrabiemu, uważano, że sam pobiegł z nim do swojego pokoju, nie wzywając Żółtowskiego, nie oznajmując o tém żonie, która płacząc modliła się i myślała jak na to zaradzić, jeśliby testament co niepomyślnego dla

Jurasia zawierał. Usposobienie męża zastraszało ją, milczenie przed nią, stan interesów... wszystko.

Gdy kopia nadeszła, na długich parę godzin Hrabia zamknął się sam na sam u siebie, jakby się chciał z sobą naradzić co miał czynić; wrażenia jakiego doznał nikt nie wysledził oprócz Malczaka, który, nie wychodząc ze swego obyczaju, nie mogąc podsłuchiwać, starał się podpatrzeć, a znał Hrabiego tak dobrze, że po ruchach i minie czytał co się w nim działo.

Z rękami na przygiętych kolanach sparte mi, z okiem ciekawie w dziurkę od klucza wlepioném, w kaftaniku i pantoflach, Malczak wyglądał na jakąś postać Hofmanowskiej powieści, ze swoją skrzywioną gębą i uśmiechem, chwilami dziwne zeń czyniącym straszdyłło. Stał na palcach razem i złamany we dwoje, opierając się czołem o zamek; odchodził, powracał, w duszy ciekawy prowadząc z sobą monolog.

— O! czyta! czyta!—mówił do siebie,— a brwi mu się jeża, nie to jeszcze; medytuje:

zawsze brwi marszczy gdy na rozum bierze. O! i usta mu się uśmiechnęły; to dobrze: jest coś dla niego; położył papier, myśli, pociera czoło, kiwa głową, nadał się: będzie miał pieniądze. Jak tylko ma pieniądze w kieszeni, nadyma się i jak już ani gronia w domu, także. Więc czego się nadał? trudno dojść, ale mu dobrze z oczów patrzy. Aby on miał, to się i Malczakowi okroi. Z ukosa znowu czyta: widać nie odrazu zrozumiał, a summuje, summuje. Coś to będzie u nas nowego! Hej! hej! zatarł ręce: i Malczakowi się okroi!

W godzinę po odebraniu testamentu, Hrabia trzymając go w ręku, zszedł powoli zamysłony do pokojów żony, zastał ją bladą, wylękłą i niespokojną. Widok tego papieru dostateczny był do wznowienia jęj obawy; musiała usiąść, aby mąż nie postrzegł jak drżała, nieśmiejąc pierwszą zagadnąć go o wielką tajemnicę.

— No, — rzekł Hrabia ponuro i sucho, — nareszcie mamy już wolę nieboszczyka, chociaż nie wiem prawdziwie, czy ją wyraził w sposób dosyć prawomocny.

— A! tam gdzie się rzeczy tyczą stosunków rodzinnych,—szepnęła Hrabina,—czyż potrzeba form i prawa?

— Zawsze, moja pani, zawsze,—odparł Rajmund,—w tém, zdaje mi się, różnią się wielce nasze pojęcia, jak zresztą w wielu innych rzeczach. A choć w tej sprawie żadnej nie mam potrzeby zastosowywać się do twoich przekonań, bo to całkiem moja rzecz, chcę ci się przecie z moich myśli wytłumaczyć i objaśnić je.

— Słucham, kochany Rajmundzie: cóż tam znalazłeś?

— To, o czém nie wątpiłem. Herman o synu, którego nie miał, który jego władzę rodzicielską pogardził i z domu uciekał, ani nawet wspomina... majątek cały mnie zapisał!

Maryja zbladła, pochyliła głowę i załamała rękę; Rajmund mówił dalej:

— I tak powinno się stać było: wy tam się nad nim rozczulacie jak nad bohaterem, a to poprostu awanturnik, który szkoda tylko że imię nasze nosi.

— Mężu kochany, nie sądzmy!

— Nie sądzmy, gdy nie ma z czego: sądzmy i karzmy surowo gdy jest za co—odparł Hrabia.

Żona spojrzała nań błagająco.

— Testament,—odrzekł powoli Rajmund,—nie jest dobry, ale mam nadzieję utrzymać go w części; w części obale, bo w nim jest niedorzeczność...

Marya całą nadzieję złożywszy w tej niedorzeczności, słuchała.

— Jest to, że zapisuje mi wprawdzie cały majątek, ale jako dożywocie, nie dając mi nim swobodnie rozporządzać. Za cóż, dlaczego to ograniczenie? Z natury rzeczy to upada... Napisał, że ma w całości przejść do moich spadkobierców: to upokarzające dla mnie.

— A! mój drogi,—wstając i zbierając się na sił ostatek, odezwała się Hrabina, — zastanów się, nie to jedno upokarzającym jest dla ciebie: gorzej, przykrzej, sromotniej, że

zabierasz dziecku majątek, który mu należy. Nie! ja znam ciebie, tyś szlachetny! ty tego nie przyjmiesz; wiesz kiedy testament był zrobiony, przekonany jesteś jak ja, że umierając wolę odmienił: oddasz wszystko jego synowi. Jakżebyśmy ludziom spojrzeć mogli w oczy, odarłszy prawego spadkobiercę? Mogliżbyśmy spokojnie tego daru, który nam nie należy, używać? Rajmundzie, — dodała błagająco, — myśl, zejdz do serca swojego; uczyn to, cō ci honor i sumienie podyktują.

— Moja pani, — odparł Hrabia powoli, — bądź WPani pewną, że mi honor i cześć rodziny droższe są może niż jej samėj; ale WPani to po kobiecemu, sentymentalnie pojmujesz. Dziecię to nie zasłużyło ani zwać się, ani być jego synem; nie ma o niēm wspomnienia w testamencie: to jasno! to bardzo jasno! Nie myśl WPani jednak, abym nie mogąc mu odebrać imienia, zmuszony je przy niēm zostawić, rzucił go tak na pastwę nędzy... Coś mu się da przecie.

Herman przytēm oczywiście skrzywdził mnie przy podziale ojcowizny, bo dlaczegoż

on bogaty, gdy ja się zaplątałem! To jasno, zdaje mi się.

— Mój drogi, on pracował i oszczędzał.

— A ja, tom marnotrawił i próżnował? Cóż to znowu za kobiece gadanie?—oburzył się Hrabia,—biorę to tylko co mi się należy, a jemu, jemu się coś da!

— Na Boga, mój Rajmundzie drogi, to być nie może!

— Tak będzie,—rzekł Hrabia,—potrzeba go zmusić, by pracował, złamać jego dumę, upokorzyć; jeśli zechce mieć kawałek chleba, musi mnie słuchać: naówczas coś się mu obmyśli. Musi się poddać mojemu rozporządzeniu.

— Nie przeczę,—odezwała się powoli Hrabina, której serce biło żywo, ale wiedziała że wprost przeciwiąc się mężowi, tylko go wuporze umocni,—nie przeczę, że zamiary twoje względem niego mogą być najlepsze, że myśl może być bardzo szczęśliwa, ale zważ: to młody człowiek, już dorosły, dojrzały, możnaż się kusić o przerobienie go? Co ludzie powiedzą, gdy zagarniesz to, co jemu należy?

— Co ludzie powiedzą? to mi wszystko jedno! Los jest sprawiedliwy, odzyskuję w ten sposób com pokrzywdzony utracił; niech sobie gadają: ja biorę co moje.

— Co twoje! Rajmundzie: ty to swoim nazywasz?

— Nazywam: jest moje!—odparł Rajmund dumnie,—tego mnie uczyć nie będziesz, co jak mam mianować!

Hrabina spojrzała mu w oczy, a zażawione jej źrenice błysnęły ogniem energii, jakiej nigdy nie okazała; ujęła go za rękę i zaczęła powoli, ale z siłą:

— Znasz mnie,—rzekła,—nie zwykłam nigdy mieszać się w twoje majątkowe sprawy: rozporządzałeś niemi, swoim i mojem mieniem jak ci się podobało; patrzyłam na to obojętnie, nie pytam co się z tém stało i co dziecięciu zostawim: Bóg wielki, pieniądz nie jest duszą życia... Ale w téj chwili, gdy w oczach Boga i świata, korzystając z omyłki, masz zagarnąć nieprawnie cudzą własność, i mój głos z piersi dobyć się musi.

Hrabia cofnął się groźny i drżący od gniewu.

— WPani się zapominasz! — zawołał.

— Nie, dopełniam obowiązku; uczynisz potem co ci się podoba, ale dziś wysłuchać mnie musisz. Tak być nie może: testament złożony był na moje ręce, wiem i czuję że w sercu jego został cofnięty; co weźmiesz od tego dziecka, nosić będziesz na sumieniu jak krzywdę... Da się to wytłumaczyć, — nie daje uniewinnić... Ojczy mój! panie, mężu! nie kalajmy rąk naszych! to cudze!! to sieroce... Jakiemże prawem wydzielać mu będziemy część z tego, co całe jest jego własnością? Jakiem prawem oddamy naszemu dziecku to, co cudzemu zostanie wydarte? Jak spojrzym w oczy ludziom!!

— WPani mnie uczysz! Co to jest? — zakrzyczał Hrabia, — WPani wiesz, że ja tego nie znoszę! Ja wiem co i dlaczego czynię, i czuję co sprawiedliwe. Przecież i ja chcę wymiaru słuszności.

— Pojmuję, wierzę, że to sobie tłumaczyć możesz, ale rozumiesz źle... Człowiek jest sła-

by, ty się mylisz, ludzie potępiając cię ze mną, uczynią to sprawiedliwie.

— Ja nie dbam o ludzi i o takie sądy! — odparł Rajmund ruszając ramionami.

— Mój Rajmundzie, na Boga! idziemy drogą, która nas do przepaści prowadzi! Zlituj się, pomyśl, a ręczę że zrzeczesz się tej ofiary: nie dotykajmy cudzej własności.

— Kobieta jesteś, — rzekł Hrabia dumnie, — ty tego nie rozumiesz. W każdym razie podług moich pojęć, jestem głową domu, mam prawo rodzinną rozporządzać fortuną, .zrobię jak zechcę... Radzić się nikogo nie myślę...

Hrabina zakryła twarz rękami, i gorzko płakać poczęła.

— Tegom się dożyć nie spodziewała, — szepnęła cicho, — takiego wstydu i upokorzenia... Ciebie! ciebie widzieć wydziercą cudzej własności, to gorzej niż oplakać umarłego, niż samą umrzeć, sto razy.

Energia z jaką Marya pierwszy raz w życiu występowała, pomimo żelaznego uporu, wzruszyła jednak Hrabiego, ale go raczej podrażniła, rozgniewała, niżeli wpłynęła na

przekonanie. Postąpił chwilę, ruszył ramionami, groźno popatrzył na nią i odszedł zatrzasnąwszy drzwi za sobą.

Hrabina skłoniła głowę, jakby uderzona toporem i rozplakała się gorzkiemi łzami; łamiąc ręce jak do modlitwy, klękała, ale się modlić nie mogła.

W takiej postawie rozpacz znalazła ją córka, którą smutek ten przeraził; badać jej jednak nie śmiała: matka pocałowała ją w czoło i silnie przycisnęła do piersi.

— Módlmy się, dziecko moje! — szepnęła pocichu, — Bóg nam tylko pozostał!

Przez sędziego puszczone wiadomości o testamentach, rozeszła się lotem błyskawicy po sąsiedztwie i rozmaite wywołała sądy, domniemania, domysły. Max powracając z miasteczka przywiózł ją Pułkownikowej, która tragicznie ręce załamała, usłyszawszy ją; była tam właśnie i Aneta z matką, a piękne dziewczę ciekawym uchem pochwyciło nowinę.

— Jakto? — spytała Anusia żywo, — ten zajmujący młody człowiek...

— Pozostanie, — rzekł Max, — golutenkim Hrabią, nic więcej.

— Ale to nie może być, — przerwała Pułkownikowa, — żeby też stryj wszystko mu miał zabrać, nic nie dać po ojcu: wstydziłby się...

— O! to bardzo być może i wstydzić się nie będzie! — trzęsąc głową dodała matka Anety.

— Szkoda go, doprawdy! — szepnęła pan-
na, — ale cóż on pocznie biedny?

— O niego ja się najmniej kłopotuję, — rzekł Max, — on lubi swobodę i życie wieśniacze: będzie ich używał do syta. To dziwak, z ochotą opuści pałac dla chatki i pójdzie pracować...

— Przecież to człowiek dość wykształcony...

— Ale ma swoje widzimi się...

— Nie! nie! ja uparcie nie wierzę, żeby mu już wszystko zabrać miano z mocy tego dziwnego testamentu, — rzekła po chwili Pułkownikowa, — coś przecie mu dać muszą.

— O ile ja go znam,—przerwał Max,—
wiem że z łaski i daru z pewnością nic nie
przyjmie; za to mogę ręczyć: pójdzie raczej
drwa rąbać i w piecu palić.

— Ale mu przecie imienia ojcowskiego
nie odjęto, to dla niego coś jednak dać mu-
szą...

— Ale czyż taki testament może być wa-
żny?—zapytała gospodyni, którą długie wdo-
wienstwo trochę prawa wyuczyło.

— Mówią, że dałby się łatwo obalić,—rzekł
Max,—są prawnicy, którzy już czyhają na to,
ale Juraś, ręczę, nie dopuści zgorzenia i po-
szanuje wolę ojca.

— Co za dziwny dramat!—obojętnie prze-
mówiła Aneta,—jaki żal tego chłopca, jeśli się
tak zmarnuje...

Max ruszył ramionami.

— To człowiek do dziwnych losów zro-
dzony: któż wie co go teraz czekać może?—
dorzucił patrząc na Anetę, która dotąd bar-
dzo się Jurasiem zajmowała; ale nagle do-
wiedziawszy się o wydarciu mu téj ogromnej

fortuny, wpływającej może na jej sąd o młodym chłopcu, znacznie dla niego oziębła.— Cóż, pani nawet nie załujesz swojego faworyta?— spytał pocichu.

— Faworyta?— powtórzyła Aneta ruszając ramionami,— cóż to pan znowu wymyśliłeś? Wyznaję, że mnie dość zajął w pierwszej chwili, ale ja nie tak łatwo mianuję faworytów: dajże mi pan z nim pokój...

I z widoczną odwróciła się urazą: matka jakoś smutnie zwiesiła głowę.

W Robowie, Otto i Martynko zaraz się też o testamencie dowiedzieli, ale tam to zbyt wielkiego nie zrobiło wrażenia.

— Ha!— rzekł Otto,— wie Pan Bóg co robi, ja się zawsze dla niego obawiałem fortuny; choć poczciwy i szlachetny, ale młody: wielka majątność mogłaby mu głowę zawrócić, złamać w nim energią, opuściłby ręce, kto wie? Zasmakowałby może w tym świecie którego się tak lękał, narażony na pokusy mógłby im uledez? Świat pobłażający dla bogatych byłby go ubóstwił, odurzył, podniósł,

spętał swemi różanemi wieńcami... Jak jest, tak dobrze: zostanie mu imię pocziwe do dźwigania, przymus do pracy, którą pokochał. Bóg wie co robi.

Martynko się trochę zasmucił.

— Tak, to prawda, ojczy, — rzekł do Ottona, — ale coby on dobrego mógł zrobić, tyle mając w ręku?

— Pieniądz psuje ludzi, — odpowiedział Marzycki, — lepiej jest może nie być narażonym na to, co on w człowieku rozwija... Ot zobaczysz, powróci do nas, grać będzie, odzyska dawne wesele i swobodę i pozna się na tych, co prawdziwemi jego byli przyjaciółmi, bo reszta go odstąpi.

Że jednak choć napozór pewne wieści były ustnie przyniesione z miasteczka, Otto po obiedzie wybrał się dla sprawdzenia ich do Żółtowskiego, którego zastał bardzo smutnym.

— No, co tam się u was dzieje, stary? — zapytał wchodząc.

Ale Żółtowski teraz bardziej niż kiedy mil-

czał, mając się na ostrożności, by się zanadto nie wygadać i ruszył tylko ramionami.

— No, więc testament jest?

Żółtowski głową kiwnął.

— A Hrabia?

Stary machnął ręką.

— A Hrabina?

— Płacze! — rzekł Żółtowski.

— Istotnie go wydziedzicza?

— Zupełnie.

— Ale czyż się to utrzyma?

— On pewnie przeciwko temu nie pójdzie: coś mu tam chcą dać z łaski.

— On tego nie weźmie.

— Ciekawa rzecz, smutna!

— Zawsze, — rzekł Otto, — gdzie się pieniądze wmiesza między słabych ludzi, głupstwa między niemi narobi.

— Lepiej daleko nic nie mieć! — szepnął Żółtowski kładąc ręce w puste kieszenie, — a co lez ta biedna pani wyleje?

— Posłano już do niego?

— Nie jeszcze.

Po całym tak sąsiedztwie w różny sposób wykładano i komentowano sprawę Jurasia, dziwny ów testament, dziwniejsze jeszcze postępowanie hrabiego, oczekując co też się z tego rozwinie. Zdania były niezmiernie podzielone.

Tymczasem w Horycy po owym dniu konnej przejażdżki, szły następne jednostajnie wedle obyczaju jaki tam zdawna panował. Juraś nieczynny jeszcze, chodził, myślał i odpoczywał po wzruszeniach, gdy w kilka dni potem oznajmiono mu przybycie jakiegoś nieznanego z interesem.

Jegomość ten przyjechał pocztą i domagał się bardzo pilno widzenia z Jurasiem.

Paweł, który już był sobie przywłaszczył dostojęństwo mistrza ceremonii, nim go dopuścił do młodego pana, poszedł wprzód mu się przypatrzeć w pierwszym pokoju, gdzie na audyencyą oczekiwał i powrócił niedosyć zadowolony z gościa, który wedle niego miał jakąś podejrzaną minę.

— Mężczyzna średnich lat, suchy, chudy — rzekł do pana — papierem cuchnie, coś tak

wygląda jakby z sądu, wygolony na twarzy, zyzem patrzy, siada, wstaje, niecierpliwy czegoś, i z kieszeni mu herbowane jakieś wyglądają świstki.

Nie mylił się w swoim sądzie Siermiężki, byłto w istocie jeden z tych ludzi, co prawo wzięwszy sobie za narzędzie, starają się niém drogę do majątku utorować, wiedząc, że później na wiosce i urzędzie, nikt się o legitymacją majątkową nie spyta. Znano go z tego, że czyhał na wszelkie łakome choćby niebezpieczne gratki, i ubiegł kilku w sprawach wielkiej wagi, które tak poprowadzić umiał, że i klienci mu byli wdzięczni i on się nie źle obłowił.

P. Alexander Szperka, miał na uniewinnienie się żonę chudą, krzykliwą, niegdyś piękną póki nie straciła zębów, której się bardzo obawiał, bo mu nieustannie w oczy rzucała tém, że wszyscy prawnicy szybko się fortuny dorabiali; miał jeszcze ośmioro dzieci, z których troje płci pięknej, a pięcioro niepięknej płci: prawdę rzekłszy ośmioro bębnow szpetnych i krzykliwych, które gadatliwość wzięły ze

krwi macierzyńskiej. Musiał więc pracować w pocie czoła, jeśli nie dlatego by się czegoś dorobić, to przynajmniej żeby nie siedzieć w domu.

Powierzchnowość Szperki nic nie mówiła, był to człowiek nakształt wytrycha, nie mający zbyt oznaczonej formy, mogącej mu gdziekolwiek bronić wstępu. Z zasady zmuszony różne przybierać tony, fizyonomie, charakter, był zawsze takim jakim być potrzebował: śpiewał soprano i basem. Suchy i chudy, dosyć zaniedbany, mocno zyzem patrzący, co go bardzo nieszczęśliwym czyniło, bo mu często przypominano przysłowie; zawsze zacierający ręce, gdyż nie pisząc nie miał co zrobić z niemi: Szperka miał dosyć sprytu, wiele uniżoności w potrzebie, ale więcej jeszcze śmiałości i zuchwalstwa, gdy ich okoliczności wymagały... Ofiary niekosztowały go żadne, byle swego dopiął... Chodził zawsze bokiem, z ukosa i krążąc zbliżał się do celu...

Chód ten ostrożny odbijał się i w jego czynnościach: wprost rzadko przystępował, chyba

do nieboszczyka, ale świeżo zmarłego obawiał się nawet, by jeszcze nie wstał.

— Co to pan Dobrodziej sobie życzy? — zapytał go Paweł — bo pan nasz zajęty.

— Powiedz asindziej swojemu panu — odparł Szperka, usiłując pół rubelka wetknąć w rękę staremu, który ruszył ramionami i cofnął się parę kroków — że przybywam tu w bardzo pilnym interesie majątkowym, który najmniejszej nie cierpi zwłoki...

— To niechby się pan może wprzód zobaczyć z Lacyną...

— A któż to jest pan Lacyna? — zapytał ciekawie przybyły, usiłując skorzystać ze wszystkiego i rozwieźć się o ludziach, którzy mu potrzebni być mogli.

— Rejentowicz Lacyna, no! Lacyna! — rzekł Paweł zażywając tabaki — ten co tu mieszka, to wiadomo, rezydent: tamby się z nim może można o interes porozumieć; a czy koniecznie pana samego turbować?

— Koniecznie! koniecznie! — zawołał uparcie Szperka, który się lękał, żeby go kto nie

uprzedził—tu chodzi nie o fraszki, ale o cały pański majątek.

Paweł niełatwowierny bo stary, źle wniósł z téj przesady i gorączki, ale poszedł znowu do pana.

— To proszę pana — rzekł —jakiś furfant, plecie nie wiedzieć co: interes pilny, gardłowy, jakoby o cały majątek, a przysięgnę że wydrwigrosz, bo i zyzem patrzy...

Juraś wstał i otworzył drzwi, nie czekając więcej.

Szperka czekał niecierpliwym, począł od tyśiącznych ukłonów, które grzbietowi jego nadały najpiękniejsze zgięcia i Hogartowskie linie, frak tylko zbyt szeroki nie dawał ich ocenić.

— Mam honor przedstawić się JW. Panu: Alexander Szperka, z bardzo ważnym i pilnym interesem.

— Słucham pana — rzekł Jerzy obojętnie.

— Okoliczności które mnie tu sprowadzają, chociaż chwalić się nie lubię i brzydzę się wszelkim fałszem, są téj natury, że moje natręctwo zupełnie uniewinniają. Prawo stawi

nas, gdyż mam szczęście liczyć się do zajmujących prawem, jako stróżów bezpieczeństwa osób i własności, obowiązkiem naszym będzie z pomocą ucisnionym i pokrzywdzonym...

— Ale ja nie sędzę, bym kogo ucisnął i pokrzywdził?

— Dość spojrzeć na pana, aby tego być pewnym, gdyż szlachetne jego oblicze... — przerwał Szperka.

Juraś usta wykrzywił, a prawnik przewąchał że nie trafi tą drogą i zawrócił w inną stronę.

— Ale sam pan dobrodziej nie jesteś wolnym od zamachów...

— Ja? — spytał uśmiechając się Jerzy?

— Widzę, że pan jeszcze nic nie wiesz, i że ja pierwszy podobno będę zwiastunem tej smutnej wiadomości.

— Wiadomości? smutnej dla mnie? cóż to być może? — spytał Juraś — proszę mówić bez ogródki.

— Pozwalasz WPan Dobrodziej?

— Proszę o to...

Usiedli, Szperka powoli dobył papiery, położył je na kolanach, spojrział w oczy Jurasiowi badawczo, odchrząknął i począł:

— Wchodzić w okoliczności, które spowodowały... nie mogę i nie chcę: ograniczę się faktami. Jest tedy faktem, że ś. p. Hrabia ojciec pański, przedostatnią razą będąc u JW. Hrabiego brata swego w Zarubińcach, sekretnie złożył na ręce JW. Hrabini *species* jakowegoś testamentu. Gdy potem zaszły inne okoliczności i śmierć prawie nagła JW. rodzica pańskiego...

— Więc jest testament! — zawołał Juraś.

— A jest! jest! JW. Panie, i w sądzie już złożony przez nich.

— Jakięj treści?

— Oto i kopia, którą nie chwając się, umyślnie dla użytku JW. Pana wyjąłem...

To mówiąc dobył papier i z gracyą podał go wdzięcząc się Jurasiowi. Ten pochwycił gwałtownie, wstał, przebiegł oczyma żywo, a po chwili oddał nazad prawnikowi śledzącemu chciwie, jakiego na nim wrażenie zrobi ten

cios niespodziewany, pozbawiający go położenia i majątku.

Ale na twarzy Jurasia nic nie widać było prócz wielkiego wzruszenia, którego charakter trudno przychodziło odgadnąć: drżał i łzy toczyły mu się po twarzy.

— Smutne to są okoliczności — rzekł po chwili Szperka — nikt nie wątpi ze znających rzecz, że testament ten, w chwili zgonu, ś. p. ojciec jego chciał i pragnął odmienić, ale wiadomo co to są ostatnie chwile człowieka: zapomina się o wszystkim. Szczęściem — dodał — mogę zapewnić JW. Pana, że testament ten, jakikolwiek on jest, dosyć nawet sobie zręcznie ułożony, ale jeśli *my* (uderzył się w piersi) jeśli *my* się do niego weźmiemy i zechcemy, będzie obalony: Jedyne powodowany ludzkością, której spraw mam obowiązek bronić i wspierać je, widząc oczywistą i do Boga o pomstę wołającą niesprawiedliwość i krzywdę, przybyłem tu do JW. Pana, ofiarując mu usługi moje, zupełnie, że się tak wyrażę, nie chwaląc się, bezinteresownie! Zostawuję wspa-
[niałomysłności JW. Pana](http://rcin.org.pl) co uzna słuszném,

aby pracę i pot człowieka ubogiego wynagrodzić... Prawda—dodał znowu, wpatrując się ciągle w milczącego Jurasia— że będziemy mieli do czynienia z nieprzyjacielem możnym i silnym, ale i tu są środki, i na przemoc są sposoby...

Juraś osłupiałym wzrokiem na Szperkę poglądał, który nie wiedząc co trzymać o jego milczeniu, pośpieszał dalej; dopiero gdy skończył, namarszczył brwi i rzekł silnie:

— Ale ja się wcale procesować nie myślę!

— Jaktó? więc JW. Pan sądzisz, że się nam nie uda?

— Doskonale wiem, że wygrałbym pewnie i bez wielkich wysiłków, ale woli ojca nie złamię.

— JW. Panie, to wszyscy wiedzą, iż wola jego dostojnego ojca w ostatnich chwilach, jak zgodnie opowiadają, została zmienioną...

— Być może, ale prawnie i przed światem głos jego odzywa się z za mogiły, powiada mi wolę swoją, którą jako syn poszanować winienem. Myśliszże W.Pan, iż mi to na co jest potrzebnem — dodał Juraś — chleba kawałek za-

robię sobie zawsze, a dzięki Bogu jestem swobodny jak ptak i nic mnie nie wiąże. Majątek wkłada obowiązki, robi ze mnie niewolnika: dziś odzyskuję siebie.

Szperka stał jak osłupiały.

— Ale to być nie może!—przerwał gwałtownie—to trzeba chyba obłąkania, że się tak wyrażę, aby miliony rzucić tak w błoto.

Jerzy uśmiechnął się pogardliwie.

— Mój panie—dodał—nie przeczę, że mnie jest narzędziem i pomocą do życia, że daje siłę, stanowisko; ale to narzędzie jest razem niebezpieczeństwem: otacza pochlebstwem, zaciemnia prawdę, odbiera siłę do pracy, krzywi pojęcie o świecie i obowiązkach. Kto się sam dorabia, ten na drodze do grosza ma antydot przeciwko jego pokusom; otrzymując gotowym, najczęściej padamy ofiarą:—zabija nas deszcz złoty. Rozumiesz mnie pan?

— JW. Pan żartujesz sobie pewnie i może chcesz użyć kogo innego—podchwycił Szperka, który uszom swoim nie wierzył—ale proszę nie zważać na to, że ja mizernie wyglądam i jestem niepoczesny; proszę spytać ludzi, kto

wygrał proces od lat trzydziestu ciągnący się między Paciukiewiczami a Ryllą? kto odebrał Mińkowszczyznę i Rukawek? kto wywindykował fortunę małoletnich Szelutów? Inny, proszę JW. Pana, na mojem miejscu obdarłby i oszukał... ja to czynię istotnie przez miłość ludzkości, gdyż dusza moja oburza się na niesprawiedliwość. Kontentuję się bardzo małą pracą nagrodą, jestem nieinteresowany zupełnie: mam tylko passyą wspomagać i ratować.

Juraś obrócił się ku niemu zdziwiony.

— Ale ja WPanu powtarzam — rzekł — że testamentu obalać nie myślę, nie chcę, nie mogę; że uważałbym to za grzech. Więcej powiem, gdyby mój stryj nie przyjął uczynionego mu zapisu, rzekł się go, jabym go także nie wziął. Dziś jeszcze zabieram kij mój i pójdę w świat tak spokojny, może spokojniejszy niż tu wszedłem.

— Bo jeśli JW. Panu chodzi o to — przerwał Szperka uparcie — żeby nie ponosić kosztów, ja wszystko biorę na siebie, jedynie przez miłość ludzkości. Znajdę takich co pożyczą: kłopotu żadnego nie będzie...

— Ale WPan widzę przywykłeś mieć do czynienia z ludźmi—oburzył się Jerzy—którzy nie mówią co myślą; powtarzam więc panu jeszcze raz, że wolą ojca szanuję i sam pilnować będę, aby została spełnioną.

— Jednakże, pozwól sobie jeszcze JW. Pan powiedzieć—dorzucił Szperka, który potniał myśląc, że mu się nawet koszta podróży mogą nie powrócić—to jest heroizm, że się tak wyrażę, prawie nielogiczny. Prawo krajowe stoi na straży stosunków społecznych i wyżej sięga niż wola ojca; ono wyraźnie przeciwi się takiemu rozporządzeniu, a JW. Pan sankcjonując omyłkę, buntujesz się przeciwko sprawiedliwości, przeciw prawu, przeciw rządowi, przeciwko samemu Bogu, który...

W innym razie Juraś byłby się rozśmiał może z tego patetycznego wykrzyku, ale nadto był smutny, żeby to na nim mogło uczynić inne wrażenie, prócz pogardy i politowania.

Szperka spojrzawszy raz jeszcze na młodego chłopaka i niedowierzając słowom jego, otarł pot z czoła i zamilkł spuściwszy głowę.

Juraś skinieniem go pożegnawszy, odszedł.

Ta wiadomość tak nagła, tak niespodziana, przyniesiona mu w sposób tak przykry, nie mogła go nie wzruszyć. Nie szło mu o majątność, ale już był obmyślił dla starych sług ojca życie spokojne, już sobie plany zajęć w przyszłości porobił, już mu śnić zaczynało życie nowe, bogate w środki, a w tej chwili zostawał znowu sam jeden na świecie, оголocony ze wszystkiego, zmuszony myśleć gdzie pójdzie, jak na chleb przyszły zarobi. Nie trwożyło go to, ale mieszało: przeszedł do pokoju ojca i siadł na ławce, podparty na ręku. Obejrzał się.

— Ha! — rzekł w duchu — znowu więc wolny jestem; tak lepiej, sam skazałem się na tułaczkę, potrzeba iść... Żal mi poczciwego Pawła, ale jego siwe włosy i ostatek dni poszanować muszą; żal mi i tych ludzi przyrosłych do starego gniazda, ale i nad nimi Opatrzność... Ja więcej już poradzić nie potrafię.

Dumanie przeciągnęło się chwilę, Szperka tymczasem wyszedł odurzony, ale nie dając za wygraną, dowiedział się o Lacynie: chciał

spróbować czy przez jego wpływ nie potrafi czegoś jeszcze.

Rejentowicz był w swojej izdebce, gdy Szperka wpadł do niego nieszczydząc ukłonów pomieszanych z westchnieniami.

— Mam honor przedstawić się, Alexander Szperka, mecenas... Poniekąd sam tutejszy gospodarz upoważnił mnie do widzenia się z WPanem Dobrodziejem, uporczywie opierając się dłuższej ze mną o nader ważnym interesie rozmowie, dla której tu właśnie przybyłem; wszak w panu mam honor oglądać dawnego przyjaciela tego domu?

Lacyna nie wiedział co odpowiedzieć, pokora zawsze go przestraszała, kiwnął tylko głową; Radwanowicz siedzący blisko, przypatrywał się uważnie i sapiąc robił pół głosem postrzeżenia.

— A! to Oleś! dalipan! — zawołał po chwili głośniej, to Oleś — Alexander, hej! a obróć się do mnie.

— Kogo ja widzę? professor Radwanowicz!

— Nie professor, ale *ad interim* bibliotekarz, a dawny WPana nauczyciel, kiedy jesz-

cześ buty czyścił panom Strzemeskim. Ot! góra z górą! Ale jakże ty mizernie wyglądasz, musi ci się dziać dobrze?

Szperka uśmiechnął się.

— Szanowny professorze, gdyby mi się dobrze działo, byłbym w lepszym stanie.

— Bajki to — odparł Radwanowicz — to rzecz pewna, że człek z biedy tylko tyje: w dobrym bycie tłuszcz nie narasta. Ale cóż cię tu sprowadza?

— Pozwolicie panowie przysiąc?

Lacyna podsunął mu krzeselko; Szperka począł od eolowskiego westchnienia.

— Co mnie tu sprowadza? jedynie miłość bezinteresowna ludzkości i sprawiedliwości. Wystawcie sobie panowie, że syn ś. p. Hrabiego, z którym miałem honor się widzieć, jest zagrożony spoliacyą, odebraniem fortuny: znalazł się testament jego ojca, który go wydziedzicza.

Lacyna i Radwanowicz razem porwali się i podbiegli do Szperki.

— To być nie może!

— Kopia mam w kieszeni.

— Umierał przejednany!

— Ale dawnego rozporządzenia cofnąć zapomniał, czyli... uchowaj Boże, abym kogo posądzał, trafia się jednak różnie. Dziś cała fortuna spada na hr. Rajmunda, a hr. Jerzy z tego powodu może pójść z kwitkiem.

Oba przytomni załamali ręce.

— To być nie może!

— To być nie powinno—mówił p. Alexander—daję sposób, żeby tak nie było, ręczę, że tak nie będzie; ofiaruję się obalić ten testament, przeciwko prawom Boskim i ludzkim, przeciwko naturze; ale cóż?

— Co?—zawołał Lacyna—walić go! walić!

— Niech runie—dołożył professor—ruiny Palmiry, *pereat mundus fiat iustitia*.

— Hr. Jerzy nie chce go tknąć.

— Hr. Jerzy!

— Wasz panicz, tak! unosi się wspaniałością, że tak rzekę; powiada: szanuje wolę ojca, a to nie była wola ojca. Jeżeli kto z Waćpanów ma nad nim przewagę i sądzi że może go opamiętać, byłoby obowiązkiem chrześcijańskim nawrócić go na prawą drogę

i wywieść z zaślepienia, aby mnie tylko powierzył interes...

— A to i my zginęliśmy jak rude myszy, skoro hr. Rajmund odbierze mu i Horycę i wszystko — zawołał Lacyna — pójdziemy z torbami za nim, *expresse* z torbami...

— *Perditio aeterna, ex inferno nulla redemptio* — dorzucił Radwanowicz — tak jest, redemptoryści, trynitarze, antitrynitaryusze, socynianie...

Zaczynał już po swojemu bałamucić, ale Lacyna spojrział nań groźnie i zamilkł.

— Biegnijcie, idźcie, proście, błagajcie, mówcie, płaczcie! Nie chwaląc się — rzekł Szperka — jeśli mnie powierzy sprawę, ja jeden mam środki nieochybne powrócenia mu ojcowizny: inaczej, zginął!

— Co tu począć?

— Biegnij Waśc po Pawła, ja dla brzucha do szybkich pochodów nie jestem stworzony — odezwał się professor — człek stary *senectus*, senator, senat, do rady; trzeba mu to oznajmić, dalej z nim, dobra myśl, choć z ladajaj-

kiej makówki: pójdziemy chórem, potęgą, zastępem, prosić go wszyscy...

Lacyna przerażony pobiegł po Pawła, ale wtém zaturkotało na dziedzińcu i wszyscy zwrócili się do ganku, gdyż ktoś nowy nadjechał.

Z bryki wysiadali razem dwaj ludzie: znajomy nam już nieco sędzia Mejszagolski i druga postać pleczysta, brzuchata, wąsata, groźna, która nim przystąpiła do ganku, poczęła się wprzód uważnie rozglądać w około.

Z wielką potém pewnością wszedł ów jegomość na wschodki, rozkazawszy głośno rozpakowywać rzeczy a koniom odchodzić do stajni, i majestatycznie zabierał się ku drzwiom.

Miał na sobie czamarkę szarą, rogatywkę na głowie, laskę grubą w ręku, dewizki olbrzymie na wierzchu sukni przypięte, kapciuch paciorkowy u guzika, a na małym palcu prawej ręki sygnet potężny z herbownym krwawnikiem. Wyglądał na zamożnego szlacheca. Rysy twarzy wyraziste, nos rzymski, podbródek sążnisty, obwisły, wargi odęte, czyniły to oblicze wcale wspaniałém, choć w niem ra-

czój przykre jakieś zuchwalstwo niż powaga panowała.

Sędzia spojrzawszy na zamaszystego towarzysza, w progu go lekko powstrzymał.

— Panie Burda!... delikatnie; proszę cię, delikatnie!

— Co mnie tam sędzia będziesz uczył, zostaw to mnie: jeżeli zechce łagodnie postępować, toć i ja gbur nie jestem, a jak mi się postawi! no! to zobaczymy! Jam téż nie baranek!

— Zawsze trzeba szanować położenie, stan: kto wie co wypaść może.

— Ja swój obowiązek pełnię i na nic się nie oglądam... kwita.

W progu spotkał pan Burda Lacynę, Radwanowicza i Szperkę, który ujrzawszy tylko gości, cofnął się żywo i pobiegł ukryć do pokoiku Lacyny, unikając zetknięcia.

Dwa zastępy wchodzących i wychodzących naprzeciw, zetknęły się we drzwiach, mierząc oczyma.

— Gdzie gospodarz domu? — zapytał Burda.

— W swoim pokoju.

— Proszę mię do niego prowadzić i oznajmić mu natychmiast, że jest interes niecierpiący zwłoki. Jestem Jacek Burda, umocowany od JW. Hr. Rajmunda, a to pan sędzia Mejszagolski, który wraz ze mną ma sobie poleconą pewną sprawę, o której się zaraz dowiecie. Proszę gospodarzowi oznajmić i konie wziąć do stajni...

Lacyna się zawahał, Paweł, który nadszedł właśnie i posłyszał wszystko, cichaczem, niespokojny podreptał do pana.

— Jacys tam ichmość sądowi, czy kto ich wie, chcą się widzieć.

— Mój kochany Pawle— rzekł, biorąc czapkę i kij stojący w kącie, Juraś, który się wszystkiego domyślał— trzeba się nam widzę rozstać, kochany Pawle.

Siermiężki nie zrozumiał.

— A dokądże ja, proszę pana pójść mogę?— rzekł cicho— mozem i niezdatny, ale dla mnie pociecha choć się tu po kątach włóczyć: zostawcie starego jak był.

I pokłonił mu się do nóg.

— A! nie zrozumieliście mnie: nie wy, to ja ztąd jestem odprawiony. Ojciec mój zrobił testament: wszystko zapisał stryjowi.

Paweł pochwycił się za głowę; wtem nadbiegł Lacyna.

— Tam jacyś panowie buńczucznie stukają się po pokojach, dopraszając widzieć z panem.

— Powiedz im, że zaraz idę — odparł Juraś ściskając Pawła, który stał niemy, i obejrzawszy się po pokoju ojca jakby go zegnał raz ostatni, spokojnie wyszedł przeciw gościom.

Burda i sędzia, oba podobno w gruncie daleko niespokojniejsi byli niż się okazywali na pozór, chodzili hałasując i dodając sobie serca po izbie; ale chwilami szeptali rozglądając się po drzwiach.

Gdy piękne i spokojne oblicze Jurasia pokazało się w progu, zatrzymali się oba (sędzia trochę w odwodzie) i ukłonili: Burda jakoś bardzo spokorniał. W istocie, młody chłopak tak wyglądał poważnie i mężko, że mimowolnie wzbudzał poszanowanie.

W milczeniu powitali się chłodno...

— Z przykrą tu missyą przybywamy — odezwał się Burda — ale cóż robić? na świecie jak Bóg da: złe i dobre... Mam honor przedstawić się: Jacek Burda; pan sędzia Mejszagołski...

— Korokotowicz — dodał sam interesowany z niskim ukłonem.

— Przyjeżdżamy tu — mówił dalej pierwszy — od JW. Hrabiego, stryja pańskiego. Nie doszło to zapewne jeszcze jego wiadomości, że po ś. p. ojcu jego, został w rękach JW. Hrabiniéj Maryi testament...

Spojrzał na Jurasia, który stał spokojnie.

— Testament nad wszelkie spodziewanie, dosyć... nie wchodząc w powody które go wywołać mogły, dosyć... dosyć...

— Dosyć niekorzystny — dokończył sędzia, uśmiechając się z politowaniem.

— Słowem, bo co tu długo gadać — rzekł Burda — tym testamentem cała fortuna, której pan hrabia byłś wrzekomym dziedzicem, przechodzi na JW. Hrabiego Rajmunda, co lepiej list jego objaśni...

I Burda dobył z za dewizek list, który wpatrując się w nieporuszonego Jurasia, wręczył mu z niejaką obawą... Jerzy rozerwał pieczętkę powoli, rzucił okiem na pismo i zaczerwiecił się mocno.

— O testamencie wiem już — rzekł spokojnie.

— A zatem, jeśli mu jest wiadomy, zapewne do jego rozporządzenia zastosować się zechcesz.

— Szanuję wolę mojego ojca.

Burda, który źle i zaprędko wywnioskował z tego że chłopak jest przygnieciony i na wszystko gotowy, podniósł głowę ku sędziemu, jakby mu chciał dać do zrozumienia:

A cóż? nie zaimponowałem?

— Robisz to pan bardzo rozumnie — dodał głośno — bo tu się nie ma co ani opierać, ani zżymać: rzecz czysta, jasna, gruntownie oparta. Znane jest zresztą serce JW. Hrabiego, i mogę powiedzieć, wiedząc o jego intencjach, że jeśli pan znajdziesz się powolnym jego zdrowym radom, może coś dla niego obmyśleć i uczynić na przyszłość.

Uśmiech kitości i ruszenie ramionami, były jedyną odpowiedzią Jerzego.

— Hrabia Rajmund wzywa pana, abys natychmiast opuścił Horycę i stawił się w Zaru-
bińcach—dodał Burda, coraz głos podnosząc
i nabierając pewniejszego tonu.

— Mój panie—rzekł mu zimno młody chło-
pak—nie potrzebuję wcale, aby mi kto dykto-
wał co mam robić, nikomu nie przyznaję pra-
wa rozporządzania mną; bardzo mało dbam
o to co się stryjowi podoba uczynić dla mnie
z łaski, bo łask nie potrzebuję i nie przyjmę.
Niczego tu nie tknąłem, nic z sobą nie biorę
i odchodzę ztąd natychmiast... Wiedz WPan
jednakże—dorzucił Juraś—że nawet w takiej
sprawie w jakiej przybywasz, a szczególnie
podejmując się podobnego poselstwa, należało-
by być przyzwoitszym i mniej imponującym.

Mnie to tylko śmieszy, kogo innego na mo-
jém miejscu, mogłoby zniecierpliwić... mógłby
skinąć na ludzi, boć jeszcze tu dotąd jestem
panem, i dostałbyś się WPan za drzwi, za
które ja sam, ustępując mu miejsca dobrowol-
nie wychodzę...

I nie spojrzawszy nawet na Burdę, który poezerwieniał, i sędziego, który ze śmiechu prychnął, Jerzy powolnym krokiem zmierzył do drzwi.

P. Jacek zmieszał się mocno, języka zapomniał w gębie, obawiając się czy nie przekroczył instrukcyi; spokorniał, lękając się odpowiedzialności za grubiaństwo: podbiegł więc po namyśle za uchodzącym.

— Bardzo pana Hrabiego przepraszam — rzekł z ukłonem — posłów ni ścinają, ni wieszają, ja tu tylko spełniam co mi polecono.

— Ja też do WPana nic nie mam.

— Ale jakże tak pan Dobrodziej chcesz odejść! Hrabia polecił wyraźnie, abyś pan miał wszelkie wygody i uszanowanie, jak skoro sprzeciwiać się rozporządzeniom testamentowym nie zechcesz... Mam rozkaz oddać panu co zabrać ztąd zyczysz: ludzi, konie, rzeczy, excypując tylko jedne kapitały, za które jestem odpowiedzialnym.

— Mówiłem już W Panu — rzekł Juraś dumnie — że łask nie potrzebuję. Hrabia omylił się na moim charakterze. Jest tylko jedna rzecz

której pragnę i której się domagam dopóki sam ze stryjem się nie zobaczę, żeby starzy słudzy mojego ojca byli poszanowani i zostawieni przy wszystkim, czego dotąd używali...

Burda umilkł pokręcając wąsa.

— Ale dokądże pan chcesz iść?

— I czy to się godzi? — podchwycił sędzia.

— Jeszcze raz powiadam W Panu — rzekł Juraś z energią — że majątkiem miał prawo rozporządzić ojciec, a mną nikt prócz Boga i woli własnej: co robię, do mnie należy.

Nałożył czapkę na głowę i powoli przechodząc pokoje, wyszedł na ganek z kijem w rękę...

Tu już uwiadomieni wszyscy ludzie dworscy gromadnie stali na smutnej naradzie, i ujrawszy Jurasia rzucili się ku niemu... Znać Szperka ich trochę podbechtał, bo poczęli wstrzymywać młodego dziedzica.

— Proszę JW. Hrabiego tylko skinąć, a my tych trutniów wyniesiemy ztąd na rękach, że się nie opatrzą jak wyjdą! Testament jeszcze

nie przyznany, nie wiadomo kto wygra, nie damy się im tu rozporządzać...

— Paneczku mój—szlochał Paweł—na miłosierdzie Boże, czyż to się godzi? któż cię będzie śmiał z domu ojca i dziedzictwa twojego wyganiać? Niech zabiorą summy, wioski, a niech ci choć ten dach zostawią.

— Jak mi Bóg miły, dobrze gada—podchwycił Radwanowicz—tych ichmościów za okna i *finis coronat opus*.

— Moi mili przyjaciele—odparł Jerzy—szanuję wolą ojca jak jest, dobrze i koniec. Was wszystkich poleciłem najmocniej, ręczę że poszanują; nic się wam nie stanie: puście mnie gdzie wołają losy, i bądźcie mi zdrowi.

Płacze i odgróźki z różnych stron słyszeć się dały. Juraś już był w ganku, łza kręciła mu się w oku, ale się nie ugiął: Paweł przypadł ku niemu.

— Paniczyku, ja ciebie tak nie puszczę...

— Pawle kochany, najmilszą mi po ojcu spuścizną, to poczciwość; chcesz żebym się prosił, targował i przyjął jałmużnę...

— A niech ich tam i z nią razem pioruny zatrzasną: to nie o to idzie... Ale gdzie? dokąd? z czem? czekajże paniczku! poczekaj, mów!

Juraś przyzostał chwilę.

— Bogiem a prawdą, maszże ty choć grosz przy duszy?—zapytał Siermięzki.

— O! o! nie frasujcie się: mam tyle ile potrzeba na drogę...

— Nie prawda! nie prawda—ciągnąc go za suknię, odezwał się stary—u mnie jest tysiąc złotych złożonych u parocha, te musisz wziąć, Lacyna tyleż znajdzie: Radwanowicz nie ma więcej nic nad srebną tabakierkę od nieboszczyka, ale ją ofiaruje z ochotą.

— Poczciwy mój Pawle, ale do czegoż mi to wszystko! myślicież że mogę przyjąć wasze ofiary? Nie chcę nic od stryja: mogeż brać od was?

— Otóż to że i możesz i powinienes! — zawołał Paweł—to wszystko grosz, któryśmy mieli od twojego ojca, z jego łaski... nam on na nic, a ty potrzebujesz... Weźmiesz paneczku, bo nas obrazisz. My ci go przecie nie da-

rowujemy, Boże uchowaj; pożyczamy, a bez grosza nie puścim...

— Pawle, dam sobie radę, bądź spokojny — odparł ściskając go Juraś — puszczaj mnie, bo ci ludzie myślą Bóg wie co, widząc że odejść nie umiem...

W istocie Burda i sędzia dosyć przełękli gromadą ludzi, widząc narady w sieniach i progu, nie wiedzieli co począć z sobą. Burda opiniował nawet pocichu, że wypadaloby może przyaresztować delikatnie Jerzego, aby ludzi nie pobuntował: tak dbał o swoją skórę. Sędzia mu podszeptał jednak, że za to może być w wielkiej odpowiedzialności, i umilkł z projektem. Wszystkie szyki były pomieszane; spodziewali się oporu, płaczu, może upokorzenia i prośby; Burda już w myśli grał rolę wspaniałomyślnego protektora: wyszło to jakoś niespodzianie całę inaczęj; kręcił więc wąsa niespokojnie, nie wiedząc jak sobie począć, aby i starego Hrabiego nie rozgniewać znowu zbytkiem gorliwości.

— Pójdź mu WPan jeszcze choć konie i bryczkę zaproponuj — rzekł pan Jacek do

sędziego;—gdzież już znowu ma iść tak piechotą!

— Albo ja głupi!—ofuknął Mejszagolski—ja nie po to tu przyjechałem: to rzecz WPana.

Juraś tymczasem był już wpół dziedzińca, a Paweł cudzą naprędce włożywszy czapkę, dreptał za nim do miasteczka, nie chcąc go puścić. Tu nie myślał się także zatrzymywać Jerzy, obawiając posądzeń, i co rychlej pragnął przejść granice Horycy, poza którymi czuł się wolniejszym; ale wieczór się zbliżał, zmuszony był zanocować.

Wieść ze dworu gruchnęła naokół, tłumy ludzi poczęły się kupić ciekawie przy domostwie, w którym się zatrzymał, a Paweł pełnił swą służbę, ożywiony myślą, że się czuł potrzebnym paniczowi. Gdyby nie noc, to zbiegowisko i tłumy byłyby Jurasia wyгнаły z miasteczka; ale zciemniło się, deszcz zaczął kropić; Paweł go nie puszczał, drzwi zapierając sobą: potrzeba było czekać do rana. Naraziło to młodego chłopaka na dość kłopotliwe objawy litości i współczucia, które wszakże przejęły go do głębi. Czuł, że na nie zasłu-

żyć nie mógł, że był je winien pamięci ojca więcej niż położeniu swojemu.

Pierwszy co za nim poszedł w pożyczanej czapce, poczciwy Paweł, na chwilę go rzucić nie chciał, on sam wybrał mu gospodę w najporządniejszej karczmie i zakrzętnął się zaraz aby dziecku pańskiemu na niczem nie zbywało. Zaraz za nim rzuciwszy Burdę i sędziego we dworze, zafrasowanych i naradzających się co począć, Radwanowicz i Lacyna posunęli się także do miasteczka. Rejentowicz dobył z kryjówki w stariej szkatułce co tylko miał grosza, zostawił sobie kilkadziesiąt złotych, a resztę zwinąwszy w papier zabrał z sobą; Radwanowicz niósł także ową sławną swą srebrną tabakierkę.

Zaledwie Juraś miał czas wpadłszy do gospody zebrać myśli i nieco odetchnąć po niespodzianych wypadkach, które go dotknęły, gdy Paweł pierwszy zjawił się przed nim, usiłując przerwać milczenie. Uścisnął go za kolana.

— Ej, paniczyku, nie dumajno tak smutnie, dasz sobie radę na świecie, jeszcze to taki nie ostatnia rezolucya Pana Boga.

— Mój Pawle — rzekł Juraś uśmiechając się — klnę ci się na pamięć ojca, iż tak jestem swobodny i tak mi z tē m dobrze, jakby mi nikt nie wydarł, ale coś dodał jeszcze.

— To nie może być — odparł Paweł — jeśli nie Hrabia sam się upamięta, to go żona, córka, ludzie do upamiętania przyprowadzą, żeby cudzej własności nie zagarniał. Tymczasem — dodał — musicie wziąć i mój grosz i Rejentowicza, bobyście nas odmawiając skrzywdzili. Już czy użyjecie czy nie, ale nam potrzeba, aby to przy was było.

— Ale na cóż mi te pieniądze! — zawołał Juraś — czy myślicie żem ja się bez nich obywać nie przywykł? że nie potrafię pracować?

— No tak! jać to wiem, ale na początek zawsze coś potrzeba... niech to będzie *pro zapas*....

Jerzy już zamilkł nie chcąc martwić starego, Paweł wyszedł i w progu spotkali się z Lacyną, który uroczyście wprowadził z sobą Radwanowicza.

— Gadaj Wpan— odezwał się cicho Rejentowicz do ex-professora—no, gadajże.

— No, to Wpan wiesz jak ja gadam—odparł Radwanowicz—jak kto nie przywykły, to nie zrozumie...

— Ale i mnie trudno.

— No! to i mnie nie łatwo...

Juraś domyślał się już o co chodziło, że się u drzwi certowali; skłopotany, zmieszany ale wdzięczny za tyle serca starym sługom ojcowskim, stał przeciw nich milczący, ze łzą w oku.

— Przyszliśmy tu *expresse*— rzekł po chwili Lacyna—aby Jw. hrabiego pocieszyć i pokrzepić, i z prośbą aby nasz ubogi dar, albo raczej pożyczkę przyjąć raczył. Dla ciebie, panie, to może nic, ale dla nas wielka rzecz, że coś synowi nieboszczyka ofiarować możemy: uczynże to dla nas i nie gardź.

Jerzy go uściskał w milczeniu, a Radwanowicz biorąc to za dobry znak, wyciągnął rękę z tabakierką w papier i bawełnę obwiniętą, i pocichu jedyną kosztowność jaką posiadał złożył na stoliku: Lacyna podsunął swoje pieniądze.

— Moi kochani, moi drodzy, na miłość Boga was zaklinam; ja nie jestem potrzebny, nie mogę, nie chcę was odzierać. Radwanowicz, bierz, proszę, swoją tabakierkę; cóż chcesz żebym z nią zrobił? Myślisz, iżbym ją z głodu umierając mógł sprzedać? Patrzcie na te ręce, wszakże i siekierę dźwigną i pług poprowadzą, i zrobić coś potrafią. Więc dlatego żem się ja urodził paniczem, nie ma mi być wolno na życie pracować i iść o swojej sile? Daję wam słowo, że gdybym tego potrzebował, przyjąłbym waszą ofiarę; nie czynię tego przez dumę, ale jeszcze raz, wiercie mi, że od małego chłopca, jak sierota, nauczyłem się liczyć na siebie... Jeśli mnie kochacie....

Chciał mówić dalej, gdy drzwi się otworzyły nagle i wszedł siwy o kiju staruszek w czarnej sutannie, z białą głową, długim włosom okrytą. Był to proboszcz miejscowy, osmdziesiąt już letni, suchy i blady jak mumia, w którym ledwie kołatała się reszta życia. Ksiądz Magnacki żył już w tej parafii od lat pięćdziesięciu, teraz choć jeszcze spełniał obowiązki około kościoła, osłabiony jednak, dalej po za miasteczko wikarym zastępować się musiał.

Starość jakby mgłą srebrną powlekła ten umysł niegdyś krzepki i serce ciepłe: świat, ludzie, życie, zubożyło mu wszystko. Większą część dni swych przepędzał na rozmyślaniu z brewiarzem, a na pytania ludzi, na ich skargi, na żale najczęściej jednem tylko odpowiadał:

— Mizerye! mizerye ludzkie!—Zkąd wesoly wikary, a za nim wszyscy w sąsiedztwie zwali staruszka księdzem Mizeryą.

Milczący, czasem przez kilka dni do nikogo się nie odzywał, kiwał głową, zdawał się nie słyszeć i widzieć co się w około niego działo; wiadomości złe i dobre przyjmował jednakowo, poruszeniem ręki okazując, że go niewiele obchodziły.

A choć siły go opuszczały i chodził z trudnością, choć ze światem zerwał, choć chwilami zdawał się zupełnie odrętwiałym: bywały dnie, gdy nagle wychodził z tego stanu i do życia powracał; ale później znowu ogarniało go owo osłupienie i odrętwiałość. Ksiądz Mizerya nigdzie prócz u chorych i umierających

nie bywał, wesela i chrzciny zostawując wikaryuszowi. Był to człowiek jakby napół umarły, oczekujący niecierpliwie godziny wyzwolenia: przybycie jego mocno wszystkich zdziwiło.

A wszedł jak stary z innego świata przybylec, którego formy i zwyczaje bynajmniej nie obchodzą; posunął się do pół pokoju, przysłonił oczy dłonią i stanąwszy począł się uważnie Jurasiowi przypatrywać, który powstał na jego przyjęcie.

Potém, nie mówiąc słowa, nie zapoznając się z nim choć go pierwszy raz w życiu widział, nie uznając potrzeby opowiedzenia mu się kto był, zbliżył się, usiadł, posadził chłopca przy sobie i ujął go za rękę, patrząc mu w oczy.

— Mizerye ludzkie! mizerye! — rzekł po chwili głosem suchym.

Juraś nie wiedział co mu odpowiedzieć.

— To tak! a no! brat bratu wydziera, ojciec dziecko opuszcza; drą się o kawałek chleba, jakby za czterech zjeść mogli!

— Ojczy mój! — rzekł Jerzy — nie obwiniajmy umarłych: ja się na nikogo nie skarżę.

— Dobrze czynisz, mizerye ludzkie i młody jesteś, jeszcze świata i chleba dosyć. Cóżem to ja chciał powiedzieć? ale! wyjdźcie no wy sobie Lacyno i wy panie profesorze do sieni, na świeże powietrze, bo z nim chcę pogadać... Nie gapcie się na mnie: nie ma na co.

I stuknął kijem w podłogę, a dwaj dworacy posłuszni zaraz się pocichu wynieśli.

— Dużo mi o Waści prawili, kochanku — rzekł staruszek — nie dobrześ zrobił opuściwszy ojca: teraz ojciec o tobie zapomniał i gorzej jeszcze zrobił.

— Ale ja się nie skarżę....

— Dobrze robisz, ale cóż myślisz z sobą? — spytał ksiądz Mizerya — no, mów! Stary jak ja, choćby nie ksiądz, już powagę tamtego świata, w którego progę stoi jedną nogą, nosi na sobie: mów mi szczerze.

— Prawdziwie, nie wiem; ale pracować będę, i o spadek dobijać się nie myślę.

— I to dobrze — ale cóż ty umiesz? co możesz począć? Wieszże ty, że nie dosyć chcieć pracować, trzeba jeszcze znaleźć pracę...

— A Pan Bóg? //rcin.org.pl

— Masz słuszną; ale On probuje czasami, a czujeszże w sobie dosyć siły, by próbę wytrzymać i w błocie się nie zwałać? bo bieda nauczyciel wielki, ale i kat niemiłosierny.

— Mój ojcie, jużem jej dzieckiem probował. Ksiądz spuścił głowę i dumał.

— Tak! tak! — rzekł — dobrze to jest, tylko posłuchaj. Ojciec twój dobry był, a za złego u ludzi chciał uchodzić, i to się nie chwali; świeć Panie nad jego duszą, pocichu dosyć poczciwego zrobił, i jam swojego czasu dosyć od niego doznał nieraz przysług, choć... ale o tém się nie mówi. Widzisz, stary jestem już tak, że ledwie łązę: nic mi niepotrzeba, zębów nie mam, nóg nie mam, oczy tracę, grosza się tam uciulało, krewnych żadnych, żywej duszy... Więc ci powiem otwarcie, tobie bez zapasu w świat nic potem, chciałbym ci pożyczyc grosza, to mi to oddasz, lub ja sam rozpiszę...

— A! na Boga, mój ojcie — zawołał Juraś — nie upokarzajcież mnie do ostatka. Ci dawni słudzy a raczej przyjaciele ojca mojego, każdy swój grosz uciulany krwawo chcą mi oddawać,

mieliżbyście i wy za tak słabe dziecko mnie uważać?

— A no, cicho: na pocziwość ludzką nie stękaście; ono to i dobrze, że choć na kwadrans coś się im w piersiach ruszy... Przyjm nie przyjm, Panu Bogu podziękuj; dużo mizeryj, ale są i pocziwi!

Westchnął stary proboszcz i oczy otarł.

— To co innego, a to co innego — dodał po chwili — ja ciebie od dziecka jakem jeszcze ochrzcił, na oczy nie widziałem, nie lubiłem się włóczyć do dworu, było co robić po chatkach: ale ja dużo słyszałem, a ojca kochałem, zresztą ja mam moje natchnienie także, w które wierzę. Od tamtych biédaków możesz nie przyjmować i nie przyjmiesz, a od starego księdza powinienes. A na co mnie grosz? a na co mi go było oszczędzać, kiedym ja ksiądz i z dnia na dzień żyć powinienem jak apostołowie i anachoreci! Mizerya i słabość ludzka, każdy chce sobie kupić jutro, a ono nie na sprzedaż.

— Więc na cóż i mnie, ojcze, te dary i ofiary: mam młodość i siłę...

— No! no! gadaj ty sobie zdrów! wszystko masz, tylko zawsze z groszem bezpieczniej. Ja ci to na hypotekę twojej młodości pożyczam: za procent Pana Boga chwał, a kapitałem na kościół rozporządzę.

I dobył z kieszeni sutanny woreczek prosty płócienny, czarnym sznureczkiem związany. Juraś się cofnął, stary ksiądz namarszczył i podniósł głowę.

— To — rzekł — nie żadna ofiara; nie patrz mi się tak: bierz co daje przez ręce moje Pan Bóg; nie będziesz nikomu ciężarem, weźmiesz kawałek ziemi gdzie, pogospodarujesz: toć pożyczka, to depozyt...

Jerzy stał smutny.

— Widzisz, chłopcze — rzekł stary — jabym ci to tego nie miał, gdybym tak lada komu dawał; nie dawałem ci dotąd, ale Pan Bóg chce: dziś muszę, mnie to na nic... Co ma wikary zabrać, wolę złożyć w poczciwe ręce, a wiem, że nie przepadnie.

Jerzy opierał się jeszcze...

— Tylko schowaj — dodał starowina — potem o tem: mizerye ludzkie! Dobrze to, że

od lada kogo nie bierzesz, ale od starego sługi Bożego, Jakóba, to tak jakby ci dał ojciec rodzony... Nie użyjesz, no to mi oddasz później... Głupstwo jest, powiadam ci: mizerye ludzkie....

I podniósł oczy staruszek, bacznie i pilno wpatrując się w chłopaka, jakby na czole jego przeszłość i przyszłość chciał wyczytać; potem znowu stuknął kijem o podłogę:

— Ale-no, gadajże mi: co ty myślisz z sobą? — zapytał.

— Jeszczem dobrze nie obmyślał — rzekł Juraś — widzę z dzisiejszego poselstwa, że stryj mnie chciał do siebie powołać, że myślał mi coś dać z łaski; ale, mojej swobody nie sprzedam za nic, pójdę pracować,

— Co tam mówisz pracować! pracować! — przerwał ksiądz — mizerye ludzkie! pracować! mów jak i co będziesz robił?

— Nie wiem.

— Otóż sęk: potrzeba wiedzieć — odparł proboszcz. — Trzeba obmyśleć: cóż ty umiesz?

— A no! koło koni się znam, do gospodarstwa mam ochotę, i trochę się mu przy-

patrzył po świecie, a i muzyki liznęło się nieco; ale z tego nic.

— E! to żal się Boże! jakbyś małpy pokazywał. Ja to tego nie rozumiem — dodał — dawniej grano na chwałę Bożą i na pociechę duszną, dla humoru: ale za pieniądze, to tak, jakoby który z pozwoleniem, pokazywał się za biletami, że pięknie płakać lub śmiać się umie. To już nie muzyka, a figle łamane; kto gra z duszy, ten, widzi mi się, nie pójdzie grać za pieniądze. Mizerye ludzkie. Ale ja ci radzę, zważno, po staremu, do roli! do roli! to zdrowa rzecz, to nasza rzecz! szlachecka a polska.

Weźmij, słyszysz — mówił dalej — kawał gruntu; kup woły i konie, gospodarz: ludzie się tak dorabiają i żyją, zresztą mizerye ludzkie! Aby dach, aby łyżka strawy i łóżko spokojne, a na niem sen bez zgryzot; reszta, dalipan, mizerye ludzkie!

I znowu mu w oczy popatrział.

— Pracować trzeba — rzekł coraz głośniej zmęczony staruszek — nie tak dla chleba, jak dlatego, że praca zdrowa rzecz; oto com chciał ci powiedzieć.

I zamilkł a poglądał, Jurasia trzymając za rękę.

— A o tem co tu zaszło między nami— dodał—wara pleść; mizerye ludzkie: zarazby powiedzieli, że ja tam mam jakie skarby Krezusowe, a to kapłanowi nic potém...

Jerzy trzymał jeszcze woreczek w rękę, który mu ksiądz gwałtem wepchnął, gdy drzwi się uchyliły i głos zapytał od progu:

— Czy wolno na chwileczkę?

Głos mu był nieznany i Jerzy nie wiedział co odpowiedzieć; ale tuż za nim wsunął się szlachcic w kapocie, nieśmiały i sturbowany. Był to znajomy nam już z pierwszych kart tej powieści pan Eufrazy Porciakiewicz z Siennego, ów szlachcic, któremu nieboszczyk hrabia dał u siebie miejsce i w ciężkim razie pożyczył trochę grosza, nadrażniwszy się z nim o ewikcyą. Osadzony w jego majątku i gospodarząc razem na swojej części, poczciwy Eufrazy znalazł się tego dnia przypadkiem za interesami w miasteczku, gdy zaszły opisane wypadki. Nie miał on jeszcze czasu poznać się z nowym panem, do którego właśnie był przyjechał, gdy

przybycie Burdy i sędziego zmieniło całkiem położenie rzeczy. Porciakiewicz z innemi razem pobiegł do gospody i ocierając pot z czoła stawił się zakłopotany przed Jurasiem właśnie w chwili, gdy ksiądz z nim kończył rozmowę.

— Przepraszam pana — rzekł zmieszany popoglądając na niespodzianego świadka — którego znaleźć tu nie sądził, ale....

Ksiądz rękę przyłożywszy do czoła, popatrzył chwilę i poznał go.

— Jak się to tam masz, panie Eufrazy; a co ty tu robisz?

— To, co Jegomość i inni — zawołał całując go w rękę Porciakiewicz — taż to dzisiaj, zdaje się, miejsce moje. Nieboszczyk wsparł mnie w złej godzinie, chleb jego jem dotąd; jakżebym posłyszawszy o biedzie rodzzonego jego dziecięcia, nie miał tu przybiedz choć z ubożuchną ofiarą? — Jerzy zbliżył się doń i serdecznie za rękę uściśnął.

— Bóg wam zapłać — rzekł — ale doprawdy, nie zasłużyłem na tyle współczucia.

— Co prawda to prawda — odparł szlachcic — nie wy to, ale ojciec wasz zasłużył wam

na miłość ludzką... Świat nie wie, że mnie biednego wsparł w bardzo potrzebnym razie: toć pora wedle sił, dług spłacić. Prosta rzecz. Pana tam ze dworu wypędzili, jak gadają, ale u mnie w Zabłotowie chata jest własna, choć biedna: zawsze taki na dwóch starczy. Chleb choć czarny, ale się nim podzielim ohotnie, no, o sercu nie gadam, a gdybyście przyjęli ofiarę, jak Bóg miły uczynilibyście mi łaskę, bo mi ciąży dobrodziejstwo waszego ojca...

Ksiądz słuchał, oko otarł i uśmiechnął się.

— Mizerye ludzkie! a taki są poczciwi na świecie między maluczkimi! — zawołał. — Ot, co tam będziesz prawił: u ciebie dzieci fura, niepokój, gęszczawina; nie zapraszaj go: lepiej mu gdzie naraj kawałek ziemi dobry do wydzierżawienia. Grosz na to się znajdzie, ja wiem: a potem to i poradzisz mu jak chodzić koło tego.

— A, z duszy serca — rzekł Porciakiewicz — ino kaźciel!

— Dobrze, dobrze — przerwał chłopak — ale mi dajcie pomysłuć, rozpatrzyć się, podumać. Teraz będę musiał pojechać do Zarubiniec do

stryja, aby mu sługi ojcowskie polecić, potem powrócę: pomówimy...

— Ale, czy wrócisz? — spytał pleban.

— Pewnie.

— A konie na drogę masz? — rzekł szlachcic.

— Najmę tutaj.

— A! nie! to już moja rzecz! ja ci wysztyftuję kałamaszeczkę i moich trójkę siwych, a dam ci chłopaka pewnego, co owsa nie ukradnie: choć koniki przyjmijcie odemnie! proszę!

— A w polu robota? — rzekł ksiądz.

— Ja nająć mogę — przerwał Jerzy.

— Ale nie, nie: już to tak musi być — dorzucił Porciakiewicz. — Jaka w polu robota? to konie młode, do pługa ich nie dam, a w letce pójda; nie zaszkodzi im: jeszcze się odpasą, bo jak nie pracują, to owsa nie dostają, i chodzą w paszy...

— Mizerye! to weź konie! — rzekł ksiądz...

Jerzy stał skłopotany:

— Ależ! — odezwał się.

— No! jużciż — dodał szlachcic — kiedy ja od hrabiego wziąłem coś, choć mniejszy od

niego; ty, młody paniezu możesz przyjąć ode-
mnie: to cię nie zeszpeci.

— Przyjmuję — rzekł Jerzy — to rozumiem.

— Bóg zapłać.

I podali sobie dłonie z uczuciem.

— A no, tak, dobrze — zawołał ksiądz Mize-
rya — niechby się tak wszystkie stany za ręce
ścisnęły, zamiast sobie oczy wykałać, zamiast
się gryźć i jątrzyć, oto i byłoby święcie. Ale
to już pora spóźniona: spaćby iść trzeba.

Wstał powoli, podpierając się kijem.

— Niechże ci Bóg pomaga, moje dziecko;
aby tylko poczciwie: reszta mizerye ludzkie.
Bywaj zdrów...

Niechże będzie pochwalony....

I podpierając się, bo mu nogi zakłękły, prze-
prowadzony przez obu, ruszył się ku drzwiom
staruszek. Porciakiewicz, który się też uprzy-
krzać nie chciał, pożegnał we drzwiach Ju-
rasia.

— Konie będą jutro rano jak świt — szepnął
żegnając się — na chłopca, którego dam, można
się spuścić, poczciwy i rozgarniony; tylko o je-
dną rzeczbym prosił: spojrzeć żeby darmo kla-

czy nie ćwikał, bo ona i tak gorąca, a jemu biczysko świerzbi w reku... przepraszam.

Uśmiechnął się Jerzy w duszy na tę przestrożę, ale gdy chciał coś odpowiedzieć, Porciakiewicz już był zniknął.

W sieni karczemnej stali jeszcze tłumem ciekawi mieszczanie, żydzi, wieśniacy i Paweł w pośrodku, który im dzisiejszą historią wykladał.

Jakoś to wszystkich serca ruszyło, to wygnanie dziecka z ojcowizny: wzdychali i kiwali głowami. Pomiedzy ciekawymi był też jeden nieznamy podróżny, który przed wieczorem zajechał i stanąwszy w alkierzyku, ryby sobie po żydowsku gotować kazał, a dowiedziawszy się, że się tu coś stało i ujrzawszy tłum, poszedł także posłuchać co tam za historią opowiadano.

Była to niepoczesna figurka wąsata, w wyszarzanej taratacce zielonej, z krótkim cybuskiem w gębie, twarzy bladej, oczek zgasłych, wyróżniająca się w ścisku tém tylko, że sobie miejsce robiła ostrożnie, nie wiedzieć w jaki sposób, zawsze najpierwsze i najlepsze.

Nie pochlebiamy sobie, by czytelnicy nasi mogli w tym nieznanym domyśleć się odrazu, króciuchno widzianego plenipotentą panny Izabelli Morosz, pana Ignacego Żerebę, który tak wyszukany stylem rozmawiał z nieboszczykiem Hrabią, w salonie swęj jurysdatorki. On to był jednak, powracający z wycieczki prawniczej do akt powiatowych sąsiednich, nocą zatrzymany w miasteczku, a po części reputacją ryby, którą sobie na wieczerzę zadysonował.

Trzeba wiedzieć, że nie od dziś p. Żereba służył w interesach p. Izabelli i doskonale znał żywot, sprawy, uczucia i stosunki kobiety, z którą sobie rady dać nie mógł, choć wszelkich używał delikatnych środków, by nią ować. W tymto celu usiłował on być jak najlepiej zainformowanym we wszystkim co się jej tyczyło, ale ilekroć użytek chciał zrobić z mozolnie nabytych plotek, panna Izabella strącała go nielitościwie w otchłań czyścowa, w której jak prosty pierwszy robotnik pracować musiał, nie mogąc dobić się marzonej poufałości.

Był jój wielce użytecznym przy wielkich interesach, rozpożyczonych kapitałach i wynikających ztąd często sprawach, ale pozbawiony wszelkiej inicjatywy, służył za proste narzędzie, co go niezmiernie bolało.

Nie tajne więc były p. Żerebie dawne stosunki p. Izabelli ze zmarłym hrabią, wpływ jaki one na życie jój wywarły, udział jaki miała prawdopodobnie w ucieczce syna z pod ojcowskiej władzy. Wieści o śmierci hrabiego, towarzyszących jój okolicznościach, o pojednaniu jego z synem, o zapewnionym testamentie, wszystko to nie doszło było jeszcze do Pińska, i Żereba nadzwyczaj był szczęśliwy, że pierwszy przywiezie te nowiny smutne, ale znaczenia pełne, swój pani. Schwyciwszy więc, począł zaraz badać Pawła, i nie dał mu pokoju, póki z niego wszystkiego nie wyciągnął.

Na przeszkodzie nieco stanął mu w tém ów nałóg wymowy, który czasem w najprostszej rzeczy czynił go niezrozumiałym, i zmuszał do coraz nowego wyrażania myśli, której nigdy prosto i jasno wypowiedzieć nie umiał,

ale koniec końcem, jakoś się z Pawłem porozumieli. Wiedział Żereba, że panna Izabella mocno się zajmie wypadkami temi, i postanowił dotrzeć do samego nawet Jurasia, aby jej mógł powiedzieć, że go na własne widział oczy. Chodziło tylko o pozór pod jakimby mógł wejść do niego. Poznał w Pawle starego przywiązanego sługę i przez niego dotrzeć do pana postanowił.

— Panie Siermieżki—rzekł w końcu przyjmując od niego tabakę i skarbiąc sobie łaskę nosem—choć nie mam tego szczęścia z osoby mojej być znanym JW. Hrabiemu, jednak uwzględniając stosunki moje ze ś. p. rodzicem, gdyby podobać się mogło JW. Jerzemu dać mi chwilę szczęśliwej rozmowy...

— Jaktó, proszę pana?—spytał Paweł.

— Gdybym mógł wyjednać chwilę posłuchania.

— Ale tam już jest i ksiądz i Porciakiewicz.

— No, to ja wstrzymam się do chwili opróżnienia—rzekł prawnik—a gdy opuszczą to miejsce, będę ich mógł zamienić...

Paweł raczej domyślał się niż rozumiał, lecz gdy odeszli tamci, pospieszył do pana.

— Jest tu proszę panicza — rzekł — ktoś z Pińska... adwokat czy coś, bo gada tak górnienie, że ja go nie rozumiem: prosi się widzieć...

— Ale mój Pawle, poco mi to?

— A co to szkodzi jak go pan zobaczy: niech przyjdzie, może on co wie.

I trochę absolutnie, nie słuchając nawet odpowiedzi panicza, Paweł nie pytał a poszedł po adwokata. W tejże prawie chwili p. Alexander Szperka, który się za Jerzym do karczmy przeniósł ze dworu, i Żereba zetknęli się w sieniach niespodzianie.

Znali się oni już dawniej.

Szperka ujrawszy prawnika, silnie powziął podejrzenie, że Żereba zwąchawszy proces tłusty, nie po co innego przybył, tylko by go pochwycić; Żereba zaś, który dotąd nie miał żadnego zamiaru, wpadł na tę myśl istotnie zobaczywszy tu Szperkę, którego przytomność miała dlań wielkie znaczenie. Już był Żereba na progu, gdy Szperka stanął, zasłaniając mu drzwi sobą.

— Za pozwoleniem— rzekł kłaniając się.

— Pan Szperka!

— Tak jest, pana Żereby dobrodzieja! Pan do młodego Hrabiego?

— Tak jest.

— Ja tam już byłem— uśmiechnął się Szperka— to darmo, nic nie ma do zrobienia. Pan już wie o testamencie?

Żereba który dotąd w istocie nie wiele jeszcze wiedział, ale pragnął się dowiedzieć, kiwnął głową.

— On nic nie chce robić, to darmo— dodał p. Alexander, wciąż zastępując odedrzwi.

— Ale ja, ja mam inny powód widzenia się— rzekł Żereba.

— Inny! ho! ho! — uśmiechnął się prawnik.

— Na co to kłamać, mówmy otwarcie... Mnie się nie udało, jeśli się W Panu uda, zrobmy układ, weźmiemy po połowie... Ja mam dokumenta gotowe...

Żereba uśmiechnął się nad chciwością konfratra.

— Mam ośmioro dziatwy!— rzekł Szperka.

— Ale o tém potem — odparł lekko go odsuwając Żereba — pozwól mi W Pan wejść.

I wszedł.

Szperka przycisnął się do drzwi i ucho przyłożył.

Jerzy był już zniecierpliwiony nieustannemi odwiedzinami; widząc nową a nieznaną sobie postać, stanął przeciw niej prawie z rozpaczą na czole: potrzebował być sam z sobą w tej jednej z najuroczystszych chwil życia.

Fizyonomia Żereby zresztą nie była wcale uprzedzającą...

— Odzywam się do wspaniałomyślności serca pańskiego, które mi przebaczyć raczy, że się tu stawię w tej chwili, to jest, iż się tak wyrażę... będąc obcym poniekąd i nawet z nazwiska mu nieznanym; ale powód, który... to jest pobudka... powinny zkądinąd oczyścić mnie z zarzutu nieposzanowania spokojności jego... Żereba, kollegialny sekretarz z Pińska.

Uklonili się sobie.

— Cóż pana do mnie sprowadza?

— Uczucie winnego poszanowania i stosunki ze ś. p. ojcem Hrabiego, a przytém wieść o zaszłych świeżo wypadkach, w których, jeśli jako z professyi prawnik mogę mu słabe siły moje ofiarować dla... iż się tak wyrażę...

— Bardzo panu wdzięcznym jestem, ale ja żadnego prawnego interesu, żadnej sprawy nie mam.

— No, to choć przestrogą użytecznym stać się pragnąłbym — rzekł Żereba. — Stoi tu za drzwiami — dodał ciszej — niejaki Szperka, prawnik także, chociaż nędzny prawnik: niechże Hrabia strzeże się go, bo gdy raz pochwyci interes, że się tak wyrażę...

— Ale ja powtarzam panu, że sprawy żadnej mieć nie mogę.

— To co do pierwszej, że tak powiem, kategorii; druga rzecz zaś, iż jestem pełnomocnym plenipotentem JPanny Izabelli Morosz, znanej panu jeszcze ze wspomnień szkolnych, której imieniem chociaż nieobecnej, ośmielam się ofiarować Hrabiemu wszelką pomoc...

— Ale ja żadnej pomocy od nikogo nie potrzebuję — zawołał Jerzy.

I to mówiąc ukłonił się nisko, chcąc skończyć rozmowę. Żereba postrzegł że nie nie zrobi, raz jeszcze pokłonili się sobie ceremonialnie i rozeszli. Jerzy drzwi za nim zarygłował.

Zaledwie Żereba był na progu, Szperka który nań czyhał, pochwycił go namiętnie...

— A co? figa—zawołał śmiejąc się.

— Wszakżeśmy we spółce—odrzekł wymowny adwokat—więc połowa panu należy...

— No! żartuj zdrów, ale na seryo — dodał wlokąc się z nim do alkierza—tu jest coś do zrobienia.

— Róbmy...

— W Pan znasz interes?

Prawnik rad był go poznać, ale się do niewiadomości nie przyznał.

— No! tak, trochę...

— Testament nieważny—dodał Szperka na ucho, dobywając dokumentów—ja po bratersku z W Panem postępuję: czytaj!

Żereba z lisim uśmieszkiem wziął powoli dokument i począł go uważnie przeglądać.

— No, wystawże sobie aean dobrodziej—
rzekł po chwili łamiąc ręce Szperka—co to za
młokos głupi, nie chce działać! To trzeba wa-
ryata: sukces pewniuteńki, majątek spadko-
wy, nie mógł nim rozporządzać... Gdybyś
WPan namówił go do procesu?

— Trudno.

— Jabym się kontentował połową, zrę-
szką pogadawszy i mniejszem... Tu chodzi
o miliony, honorarya będą niemałe, zgodzę
się na to co mi dacie: biorę na siebie wszy-
stko.

— Ale jeśli on działać nie chce?

— Otóż to sęk—rzekł Szperka—potrzeba
go zmusić...

— Trudno! — powtórzył Zereba — ja ich
znam; rodem kury czubate, niepokonane cha-
raktery: jak co powie, choć go pal...

— Ludzie uparci, wiem—przerwał Szper-
ka—ale posłuchajno pan, to piechotę nie cho-
dzi; warto popracować, bo zarobić można: te-
stament nieważny... Gdyby nawet nikt nie po-
pierał, mogliby go skasować jako zasadnicze-

mu prawu przeciwny... Ale hr. Rajmund postara się i potwierdzą... Jest tedy co do zrobienia! Rzecz taka:

Pocichu obmyśleć środki, aby urząd nie potwierdził testamentu, choć hr. Jerzy nie chce działać i ręce umywa... Gdy młody otrzyma *volens nolens* ten spadek, no, to mu się okaże czarno na białem co się dla niego zrobiło, i musi przecie coś dać...

— Niezła myśl—rzekł Żereba—ale jak nic nie da?

— Jest druga instancja: wtedy można do niej staremu hrabiemu ukazać drogę i od niego coś wziąć, ratując jego z kolei...

— Niedarmo WPan masz głowę na karku.

— A! na co się to ta głowa zdała—odparł wzdychając Szperka—na co? Ośmioro dzieci, golizna i bieda.

— Plan niezłe osnuty...

Żereba zamyślił się głęboko i począł chodzić po alkierzu.

— Hm!—rzekł po chwili—jedź WPan ze mną do Pińska.

— A choćby do piekła! — zawołał ucieszony Szperka — bardzo chętnie.

— Pogadamy...

— Ale dlaczegóż w Pińsku nie tu?

— Są do tego powody.

— Rozumie się, że koszta podróży gdyby nie przyszło do rzeczy — szepnął ostrożny Szperka.

— Stój! stój W Pan! — odparł Żereba — ja za nic nie ręczę... Chcesz jechać jedź, nie: zostań, koszta ryzykować musisz...

— A no! dziej się wola Boża! niech i tak! — z rezygnacją zawołał Szperka — kiedy ginąć to ginąć.

Wtém żydóweczka wniosła rybę gotowaną i flaszczkę wódki, a Żereba choć nie rad gościowi, który mu porcją jego miał zmniejszyć, pomruczał coś pod nosem, zapraszając go na wieczerzę.

Tu p. Alexander Szperka dał dowód niezmiernej znajomości serca i żołądka ludzkiego: napił się wódki, której było dosyć, zajadł chlebem z solą, a ryby, której jedną tylko podano porcją, odmówił, wyrozumowawszy, że ła-

komstwem mógłby źle ku sobie usposobić kolegialnego sekretarza, od którego zależał proces przyszły i marzone na nim zyski.

Nazajutrz rano oba razem w dobrej zgodzie wyruszyli do Pińska.

Życie panny Izabelli Morosz upływało jednostajnie jak przedtém, a chwilowe wstrząśnienie jakiego doznała, widząc się z hrabią, zatarło się prędko powrotem do tego trybu powszedniego, który najgorętsze uczucia i cierpienia powolnym swym ruchem tamował i odrętwiał.

Dwie namiętności aż nadto wystarczają na wypełnienie jednego serca, a p. Izabella miała muzykę i pieniądze, z obu tych źródeł czerpiąc wrażenia, których niedostawało jój osamotnieniu i sieroctwu. Smutne to mieszkanie w lichym domu, któreśmy już widzieli, co dnia o jednej godzinie rozlegało się dźwiękami fortepianu, lub cichą rozmową o sprawach pieniężnych; co dnia była w niém godzina dumania i wspomnień, chwile łez suchych na powiece.

A dnię tak były do siebie podobne, że zwracając się w przeszłość za długim ich szeregiem, panna Izabella nie widziała tylko blade i coraz już bledsze widmo przeszłości. Poetyę jej codzien potrosze zabierała rzeczywistość chłodna, serce zastygało w rachunku lub walce o bez celu zbierany majątek.

Wiadomość o wypadkach któreśmy opisali, nie rychło do panny Izabelli dojść mogła: nikt obcy nie miał tu przystępu, nikt nie przychodził z plotkami, których słuchać nie lubiła. Otaczało ją wielkie milczenie pustkowie lub gwar bez znaczenia, wyrównywający cichości głębokiej.

W takim życiu nałogi rosną jak grzyby, a są dziwaczne i uparte: nie dziw że pannie Izabelli wszystko co ją otaczało, potrzebne było i konieczne: stary ów sługus mrużący, służąca zapuchła, chłopak odarty, nawet Żereba codzien o jednej godzinie przychodzący z raportem o interesach. Odjazd jego do blizkiego miasta powiatowego, przedłużony w niem pobyt już ją niecierpliwił: wyglądała jego po-

wrotu, bo kilka spraw zostawiła w zawieszeniu, a jedna godzina nie zajęta niczém zbywała.

Nareszcie późnym już wieczorem dnia jednego dano jęj znać, że pan Ignacy powrócił, i że ma pilne bardzo interesa, dla których zaraz się widzieć pragnie. Panna Izabella kazała go natychmiast przywołać do siebie, nie posądzając wszakże, by tak ważne przynosił jęj nowiny.

Żereba wszedł, nadając sobie więcej powagi niż kiedy, ze smutkiem na twarzy wyrobionym do okoliczności, medytując jak mu należy obrócić to co miał na głowie, w sposób, iżby się p. Izabella nie domyśliła, iż ważność tych wieści i znaczenie ich rozumiał.

Jakkolwiek śmiesznie się wyrażał Żereba, nie był on pozbawiony instynktu zachowawczego, i umiał się trzymać na wyrobioném stanowisku, którego zachwiać ani utracić sobie nie zyczył.

A że jeździł dla zawikłanej sprawy pieniężnej, do której papierów i świadectwa poszu-

kiwał, wszedłszy, najprzód uznał za słusne zdać sprawę z poselstwa.

Pocałował panią swą w rękę, do której wzdychał nadaremnie myśląc o kapitałach jakimi władała, i odezwał się:

— Spieszyłem co sił, ale przeciwnie losy nieco mnie dla niesłychanego wód rozlewu, że się tak wyrażę, i kataklizmowych deszczów, zatamowały. Jakże zdrowie?

— A papiery?— spytała p. Morosz.

— Są wszystkie.

— To główna: bardzo dobrze. Mnóstwo tu interesów czeka na WPana.

— Spieszyłem też, aby u stóp pani Dobrodziejki złożyć gotowość moję na jej posługi.

Tu już miało przyjść do rzeczy, ale jak?

Żereba się zaciął.

— Nie wiem, czy to w jaki sposób zasłuży na jej uwagę—dodał—ale na drodze przejąłem wiadomość, że hrabia Góra, który tu był niedawno...

Oczy p. Izabelli zwróciły się nań żywo i pochylona głowa wyprostowała.

— Cóż to tam?—spytała.

— Historia cała dosyć dziwna, choć upewniamy z wiarogodnych źródeł, że ściśle prawdziwa.

— Znalazł syna?

— W istocie, niespodzianie, odszukał go jakoby... nawet nastąpiło zbliżenie się i pojednanie, gdy zaraz prawie paralizem tknięty, na rękę dziecka skonał.

— Umarł!—podchwyciła Izabella blednąc i usiłując pokryć wrażenie; powoli osunęła się na blisko stojącą kanapę.

— Ale to nie koniec—dodał Zereba—bo nim tego syna odszukał, zrobił widać testament, w którym nic o nim nie wspominając, cały majątek oddał bratu. A że śmierć ta nastąpiła nagle i niespodziewanie, brakło mu czasu by go cofnąć: dziś więc ów młodzieniec ogołocony jest zę wszystkiego.

P. Izabella milczała, łzy które usiłowała ukryć, spływały jéj po twarzy.

— Jak mówisz?—spytała cicho—co się z synem jego stało?

— Stryj zabiera mu cały majątek, chłopiec zostaje bez żadnego funduszu.

— Gdzież jest?

— Właśnie spotkałem się z nim, gdy opuszczał rodzinne swe gniazdo, które go przytu-
liło na chwilę — dodał wymowny Żereba —
teraz nie wiem dokąd się udał.

— Ale czyż stryj zechce z tego testamentu korzystać?

— Najpewniej, bo przysłał zaraz delegowa-
nych dla zajęcia majątku.

Panna Izabella wstała i przeszła się po po-
koju, źle udając obojętność; Żereba łatwo po-
znał, że usiłowała napróżno odegrać przed nim
rolę obcej, pokrywając wrażenie silne i niepo-
kój gorączkowy.

— Ten testament — dodał — tylko palcem
kiwnąć obalić można, ale młody nic nie chce;
zaklął się, że nic nie przyjmie i pójdzie pra-
cować.

— Testament można obalić? — spytała pan-
na Izabella.

— Rzecz pewna, ale na to potrzebaby ja-
kiego nakładu.

Usiłując ciągle się pohamować, panna Morosz zamilkła na chwilę, i skinieniem głowy pożegnała nagle plenipotentą.

— Przyjdź Wpan do mnie jutro rano.

Nazajutrz o ósmój Żereba już był u drzwi, znalazł ją bledszą, niespokojniejszą niż zwykle, ale zrazu długo mówili o rzeczach obojętnych, które panna Izabella z roztargnieniem, jakby dla formy zbywała. Nakoniec, nie mogąc się przybrać, żywo i nagle odwróciła się do Żereby.

— Wiesz Wpan—rzekła—żem dobrze znała hrabiego; żal mi jego dziecięcia, chciałabym dla niego coś uczynić: jestto daleki mój krewny nawet... Możeby się dało tam coś zrobić, by nikt o tém nie wiedział, rozumiesz mnie Wpan?... Jeżeli da się obalić testament?

Powoli od tych słów zaczęły się narady: wyszedł z dotychczasowego ukrycia pan Alexander Szperka, i w tej izdebce opuszczonej, skrycie ułożyły się projekta, mające wpłynąć stanowczo na los Jurasia, który się wcale nie domyślał tej potajemnej nad sobą opieki.

Szperka nazajutrz wyjechał z Pińska, mrugając okiem i gładząc brodę, że mu się tak dobrze udało stracony już interes za włosy pochwycić, i to w sposób tak zręczny, tak skryty, tak misterny, że mógł w nim nie występować widocznie, przyznać się lub zaprzec w nim udziału.... Na przyszłość zawsze zostawały mu dwie drogi, z których jedną dogodniejszą wybrać nic nie broniło. Aż mu się serce uradowało, że tak sobie dał rady.

Dziękował więc Panu Bogu gorąco, nie zastanowiwszy się tylko, że tego rodzaju spraw, wcale się nie podejmuje Opatrzność.

We dworku Ottona w Robowie, Martynek i przybrany jego ojciec grali sobie spokojnie Sonatę Beethovena, i okna stały otworem, a cichy wieczór wiejski powoli spływał z ciszą na tę melodią, w którą oba całe piersi swych życie wlewali; gdy szelest jakiś przerwał im jedno z tych cudnych adagiów, które tylko spracowana boleścią dusza nieśmiertelnego mistrza wydać mogła. Głupie, chłodne, nie-

znośne bravo odezwało się za oknem z pustej piersi, która śmiała przerwać uroczą pieśń, by swój czczy zachwył na miejscu jej postawić.

Otto odwrócił się zagniewany, oczy mu płonęły oburzeniem i zgrozą na profana, drżał cały; Martynek nie wiedział spełna, czy dach domu się załamał, czy ziemia się zatrzęsła i pochłonać ich miała, czy głupiec wpadł wpoprzek natchnionej melodyi: ręce jego stężale nad fortepianem, zawisły.

Wtém głowa Maxa z włosom na tył zarzuconym ukazała się w oknie, i głupio uśmiechnięta twarz pseudo-artysty.

— A! bravi! bravissimi! przepraszam, że przerywam.

— Prawda, że z oklaskiem, bez któregośmy się wysmieniecie obejść mogli, wybrałeś się nie w porę — rzekł zimno Otto — wolałbym mieć szczęście później cię nieco oglądać.

— Ale kończcież, kończcie: ja posłucham chętnie, bo to wcale ładne.

— Kończcie! — uśmiechnął się Otto, — ty myślisz, że jak przzerwana modlitwa da się na nowo zinnemi skleić ustami pieśń złamana

w pośrodku, że ją można na nowo rozpocząć gdy się zechce!! kiedy z serca uleciało natchnienie, myśl, gdy złoty sznur się przerwał. A! człowiecze!!

I rzucił skrzypce na fortepian.

— Znasz — dodał zamyślony — tę chwilę w powieści Immermana, gdy łowiec na ustach złotowłosej Lisbethy złożyć ma pierwszy pocałunek, a w chwili téj właśnie nadchodzą drużki weselne. Już on później na téj przechadzce, którą poeta opisał tak cudnie, nie powtórzy się tak jak go tu miała stworzyć poezya, drżenie serca, miłość wybuchająca obojga. Toż z muzyką, co z tym pocałunkiem; ale....

Tu przerwał sobie Otto jakby przypomniawszy, że Max go nie zrozumie, i spojrzął na osmuconego Martynka, który, jakby nań kto zlał wiadro zimnej wody, wytrzeźwiony nagle ocierając pot z czoła, poglądał smutnie na nuty niedośpiewane.

— A! wy, gracie sobie szczęśliwi! — zawołał Max z ogromném westchnieniem kowalskiego miecha — gdy ja już mojej kochanki wiolonczeli dla innéj zapomnieć musiałem. Miłość ma

swe prawa — rzekł powtarzając na zimno westchnienie.

I wszedłszy do pokoju rzucił się na kanapę.

— Uczucie to.... — chciał mówić dalej....

— Dajmy pokój uczuciom — przerwał Otto seryo — nie godzi się o nich rozprawiać tylko tym, co już nie mają ich w piersi: są to rzeczy święte i nietykalne.

Max popatrzał nań strapiony.

— Nie słyhać tam co o Jurasiu? — dodał.

— Dziś się go tu spodziewamy, — rzekł Otto — wiem już z miasteczka, że tu przybędzie lada chwila.

— Oryginalna historia! Prawdaż to, że hrabia chciał coś uczynić dla niego, a on nie przyjmuje?

— Tak mówią i tak sądzę.

— Zawsze był dzieckiem....

— Serce poczciwe, dusza czysta....

— Ale to się zmarnuje z tą pychą i dumą, bo, proszę, kiedy mu chcieli coś dać, dlaczegóż odrzucił?

Otto się tylko uśmiechnął, gdy jakby na zawołanie, sam Jerzy wszedł przez drzwi od

ogrodu, z twarzą tak jasną, z tak pogodnym czołem, jak gdyby przez chwilę nie był milionowym panem, by potem znowu zostać nazajutrz ubogim włóczęgą.

Rzucił się w objęcia Ottona i ścisnął dłoń poczciwego Martynka.

— Oto mnie znowu macie — rzekł — wolnego jak ptaki niebieskie, nauczzonego doświadczeniem, że są poczciwe serca na świecie, powracającego trochę się otrzeźwić pod waszą strzechą i pod skrzydłem przyjaźni. Jakże się macie?

— A mnieto nie powitasz, Janku — spytał Max, który z kanapy nie powstał i bawił się brelokami, zbogaconemi pierścionkami pułkownikowej.

— Nie spostrzegłem cię, kochany Maxie.

Otto pochwyił go jeszcze raz za obie ręce.

— Wiecie wszystko? — spytał Jerzy wesoło.

— Wiem, i byłem pewny, że tak zrobisz jakś uczynił — rzekł Otto — ale cóż dalej?

— Co dalej? będę sobie pracował! Wezmę Pawła na gospodarstwo... Dobrzy ludzie wpechnęli mi trochę grosza, mam z czem począć

i szczęśliwszym jestem od wielu, co nic nie mieli prócz rąk i ochoty.

— Mógłbyś mieć daleko więcej — odparł Max — bo ludzie mówią, że testament dmuchnieniembyś obalił... Zresztą i hrabia dał się z tém słyszeć, że mógłby ci coś ofiarować...

— Mój drogi — rzekł Juraś do Maxa — na mojem miejscu przyjąłbyś to może... ja nie mogę. Tyś wielki artysta a życie lekko bierzesz jak podściół dla sztuki: ja przedewszystkiem chcę spokoju w duszy, swobody w piersi... Ale dość tego; mówmy o czém inném. Jak się tu mają wszyscy? Jak mi wygląda Otto? co robi Martynek? gdzie febra jego? kiedy wesele Maxa? Widział kto z was piękną moję siostrzyczkę Lolę? lub tę żywą z marmuru wykutą fantazyą, Anetę?

— A! ileż pytań naraz! — zaśmiał się Otto — czekaj... Martynka febra sama porzuciła, oburzywszy się, że jej pielęgnować nie chciał: jak ja wyglądam, widzisz! Max powie ci kiedy jego wesele.

— W tych dniach, najpewniej we czwartek, ale *incognito*; was tylko proszę; nikogo wię-

cój.... Będzie ledwie parę osób, nie lubię tłumnych zgromadzeń; szczęście jest natury fijołka...

Otto się uśmiechnął, bo fraza ta wyraźnie razem z pierścionkami pożyczoną była od pułkownikowej, i wziętą gdzieś, kędyś ze starego francuzkiego romansu.

— Hrabianki nie widziałem — przerwał Otto — ale mi mówił Żółtowski, że z powodu tego testamentu ciągle tam płacze... Lola rozpacza... Hrabina nie wychodzi z kaplicy; hrabia tylko niezachwiany w postanowieniu, przed sumieniem własnem tłumaczy się to tém, to owém, byle majątku nie oddać, choć czuje sam, że do niego nie ma prawa. Rachował coś na opór z tamtej strony i miał nadzieję, że walka dostarczy mu argumentów, ale gdy Burda i sędzia powrócili, opowiadając żeś wyszedł z kijem i uśmiechem, hrabia trochę posmutniał i zmieszał się. Tu krzyk na niego powszechny; on utrzymuje, że się zdobył na heroizm umyślnie, aby winnego potępić...

Jerzy ruszył tramionami.

— Ale dość już tego — rzekł — jutro sam u niego będę, bo mu mam coś powiedzieć.... Tymczasem Maxie, powiedz nam co o tej czarodziejce Anecie?

— Widzę, że cię już w swoją siatkę złapała — zaśmiał się Max zakłopotany trochę — w istocie czarodziejka! Ale to dziecko popsute! dziś u niej to, jutro drugie na myśli i w sercu: rodzice nawet tak muszą skakać jak ona zagra.

— Całą drogę obraz jej innie prześladował — dodał Juraś.

— Chcesz, bym jej to powtórzył? — spytał Max.

— A do czegoż się to jej przydać może?

— Zawsze to pochlebia, obudza wdzięczność, a wdzięczność ruszyć może inne uczucie sąsiadnie; i tak po nitce...

— Wolałbym żebyś nic nie mówił o mojem trzpiotowstwie — odparł młody chłopak — do tej swobody o której marzę, należy i swoboda serca; wiązać się nie chcę, choćby...

— Choćby miłością? — spytał Max z westchnieniem.

— Choćby szczęściem!

Muzyk nic nie odpowiedział.

— To znowu teorya, która do niczego nie prowadzi, bo jest całkowicie fałszywą — przerwał Otto — takiej swobody ani drugim życzyć, ani dla siebie pragnąć nie można. Jestto odosobnienie i śmierć. Człowiek, by był w pełni z sobą, musi się związać z tym łańcuchem istot które go otaczają, inaczéj elektryczna iskra życia przezeń nie przejdzie.... Trzeba kochać, potrzeba z siebie uczynić ofiarę, aby spełnić posłannictwo ziemskie. Sam jeden człowiek jest ziarnem rzuconém na rozdrożu, z którego nikt nie zeżnie kłosa: w polu tylko do snopa należy, i na chleb pójść może.

Jerzy nic nie odpowiedział Ottonowi; zamiast słów dał mu szczery, serdeczny uścisk dłoni.

— Ty wiesz — rzekł po chwili — jak ja życie rozumiem: gotowem je dać, ale chcę niem sam swobodnie rozporządzić; chcę, ot! sam może dobrze nie wiem czego chcę, a to tylko pewna, że mi tu z wami dobrze, żem dawno muzyki nie słyszał, i że mi coś zagracie.

Tak zwróciła się rozmowa: Martynek poszedł do fortepianu i zagrał balladę Chopin'a.

— Ten Chopin — rzekł Max — to taki dziwak jak Juraś: pół chłopa, pół eleganta, niby wieśniak a śpiewa uczenie chłopskie trele: ja go nie rozumiem.

— To nie dla ciebie pisano — odparł Otto.

Wieczór upłynął cały na długiej rozmowie przerywanej, i Max nawet, nad którym ciążyła groźba wiekuistych ślubów i szczęścia na łonie pułkownikowej, rozweselił się, rozgadał, zrzucił trochę komedyanctwo, rozgrzał u tych młodych piersi; a gdy mu przyszło powracać, nie mógł się wyrwać z pod słomianej strzechy, z której nań wiała taka swoboda i szczerota.

Nazajutrz rano Juraś pieszo poszedł do Zarubiniec. Przewidział on trudności swego spotkania z hrabią, ale spokojny na duszy, nie lękał się go wcale; myśl jego więcej zaprzętniona była Lolą, dla której miał czulsze niż braterskie uczucie, więcej niż przyjaźń, więcej niż sympatyą młodzieńczą... i hrabiną, która jak cień własnej, nieznannej matki przed nim stawała... Taką sobie wyobrażał swoją, taką chciałby był mieć i kochać.

Znając ścieżkę która od Robowa wiodła pod ogród Zarubiniecki, wsunął się pocichu do domku Żółtowskiego i zmieszał go swoim niespodzianem przybyciem: stary milczący zwykle, języka w ustach zapomniał.

— A! pan tu! pan tu! — powtórzył kilkakroć — czy? — ale? — I zamilkł.

— Wszak to już godzina w której zobaczyć się można ze stryjenką? — zapytał Juraś.

— Od dwóch już godzin w ogrodzie na modlitwie przy kaplicy: tam pewnie ją znajdziecie, tylko....

Żółtowski chciał pytać i nie śmiał, nareszcie się zdobył.

— Ale cóż pan myśli?

— No! zobaczyć się...

— A sprawa, a tego, a ten?

— Jakaż może być sprawa? testament święty i ważny, ja wolny: ot po wszystkiem.

Żółtowski pokiwał głową...

— I nie pan nie chce? nie weźmie?

— I nie chcę, i nie mogę i nie wezmę! — rzekł ruszając ramionami.

A! panie, uspokójże hrabinę: ona tak cierpi....

— Więc tém bardziej spieszyć do niej muszę....

Ścisnąwszy Żółtowskiego, który niespokojnie za nim poglądał, Jerzy szybko poszedł ku kaplicy, która stała nieco opodal od pałacu w klombie czarnych świerków i brzoź białych.

Drzwi jój były otwarte, w głębi błyszczał ołtarz z obrazem; hrabina zewnątrz na marmurowych wschodkach klęczała napół schylona i zatopiona w modlitwie. Twarz bladą miała i zmęczoną, świeże ślady łez znać było na oczach; obok Lola trochę roztargniona ale równie smutna czytała w książce, która leżała na jój kolanach. Dwie te postacie równie piękne, stanowiły obrazek wdzięczny, ale przejmujący, tak były napiętnowane boleścią.

Juraś zatrzymał się i zwolnił kroku, ale szelst obudził Lolę, która spojrzała w tę stronę, przerwała modlitwę, przeżegnała się żywo i rzucając książkę z uśmiechem podbiegła ku niemu. Cień jój postaci przemykającej się obok, obudził matkę, podniosła głowę i lekko wykrzyknęła, jakby przełęczniona; różaniec wypadł z jój rąk, łzy potoczyły się po twarzy.

! — Jakże ty się masz, mój drogi? — zawołała podając mu rękę — spojrzże mi w oczy, nie maszże żalu do mnie? nie posądzasz mnie o chciwość? nie obwiniasz o zdradę? Jurasiu, Bóg widzi jam winna może, ale niewinna...

— Ale któżby posądził was o jaką winę?

— Prawda? — przerwała Lola — nie twoje chyba serce! Jeśli nie znasz mamy, toś ją przeczuć musiał.

Oczy jej spotkały się z wejrzeniem Jerzego, zamieniając uczucie którym jaśniały.

— A jednak w oczach świata, któż wie — przerwała hrabina wstając — ja ujdę może za... nie! nie! to być nie może. On zmieni postanowienie, ty swoje odebrać musisz! Jego serce, wierz mi, poczciwe, ale pojęcia ma inne: omylił się chwilowo...

— Moja stryjenko kochana — przerwał Juraś — uspokój się, nie mówmy o tém; cóż tak wielkiego się stało? Dla mnie to nic to szczęście! to właśnie czego chciałem!

— Ale dla nas! dla nas! — przerwała rozplakana znowu hrabina — myśl na co nas wystawia ten testament, na ludzi czyhających, by

cudzą własność pochwycić, rozumiesz ty to! Na Boga, ty chyba jeden, poczciwe dziecię, bronić nas będziesz.

Gorączkowo, przerywanemi słowy mówiła biedna kobieta, a łzy strumieniem płynęły po jej twarzy.

Lola z żywem uczuciem zbliżyła się do Jerzego.

— Gdybyś ty widział — rzekła — co mama ucierpiała, ile łez się jej wylało! Ja nawet pocieszyć jej nie mogę, tak się tém gryzie i męczy! Potrzebny nam byłeś żeby ją uspokoić: dziękuję ci żeś przyjechał.

— Stryjenko, na Boga, nie mówmy o tem.

— Będziesz zapewne widział się z Rajmundem?

— Muszę: chodzi mi o stare sługi.

— Jakże się wy spotkacie? wszak mu wymówek robić nie będziesz?

— Ja? za cóż; nie żądał tego, przyjął i jest w swém prawie.

— Ale on się trochę gniewa na ciebie — pocichu dodała Lola — i to ci wiedzieć potrzeba.

— Nie! nie! Mógłżeby się gniewać? za co? co ty pleciesz dziecko moje, — przerwała matka, — jest smutny że nie chciałeś go posłuchać, żeś tak uciekł...

— Jeszcze raz, kochana stryjenko, nie mówmy o tém. Wszystko się stało dobrze, źle tylko że twoje oczy zapłakane i Lola nieswoja.

— A! byleby to tylko przeszło, ja się zaraz rozweselę! — zawołała uśmiechając się dziewczeczka, — zobaczysz Jurasiu.

— Rachuj jak gdyby już przeszło! Ja idę do stryja i w pół godziny powracam, a wszystko będzie dobrze.

Hrabina schwyciła go za rękę.

— Pamiętaj, — rzekła, — to brat twojego ojca, to człowiek stary; szanuj choćby uprzedzenia, choćby słabości wieku; bądź dlań pobłażającym: ja ci ręczę, że to się lepiej skończy niż myślisz...

— Stryjenko, proszę być spokojną, zaufaj mi i nie myśl o tém.

Gdy Juraś szedł do kaplicy, Malczak właśnie kierował się ku pałacowi, a ujrzawszy go,

naturalnie pospieszył oznajmić Hrabiemu kogo widział, dodając że go zastał na naradzie z Hrabinią.

Stan duszy hrabiego Rajmunda dość trudny jest do odmalowania: nie można powiedzieć żeby nie pojmował co czynił i chwilami nie wiedział jak się to po prostu nazwać mogło; ale interesa ciężkie, mania, potrzeba grosza, wspomnienie działu, w którym się czuł pokrzywdzonym, prawość testamentu, były aż nadto wystarczającemi na uspokojenie sumienia. Powoli wyrozumował sobie, że w sposób bardzo prawy może przyjąć legat, z tém tylko, że coś synowcowi dać wypadnie. Zrazu dawał mu w myśli klucz Horycki, potem zmniejszył dar do jednej wioski, a ostatecznie zamierzał wyznaczyć mu pensyjkę na utrzymanie, aby marnotrawca nie strwonil zaraz co mu się w ręce dostanie.

Jak rozum ludzki biegłym jest, kiedy mu co sobie wmówić potrzeba, i o czémś się przekonać, wiemy to dobrze na sobie; sofizmatów dostarcza mu miłość własna: wielki mistrz logiki w swoim rodzaju. Hrabia jednak choć

spokojnie układał już wszystko, nie był jeszcze bez zgryzot; czuł się jakoś niepewnym, potrzebował przed każdym tłumaczyć się i uniewinniać: ale jak potakiwanie wywoływało w nim wątpliwość, którą sam rzucał, tak sprzeciwianie się oburzało go i niecierpliwiło. Powrót Burdy, opowiadanie o znalezieniu się Jurasia, rozgniewały nawet Hrabiego, rozdrażniły go więcej jeszcze.

— To natura nieugięta, dumna, niepokonana! — mówił, — miał ojciec wielką słuszność wydziedziczając go: w takich rękach majątek byłby wielkiem niebezpieczeństwem... Coraz bardziej przekonuję się, jak ostrożnie nawet w tém co mu się uczyni, postępować potrzeba.

Jednak odrzucenie wszelkiej ofiary jakoś nie na rękę było Hrabiemu, czyniąc go prostym wydziercą cudzego dobra. Jerzy przyjmując dar jakiś, byłby uświęcił zabór reszty; nie chcąc nic, zdawał się protestować.

Gdy Malczak wbiegł z wiadomością o przybyciu Jerzego, Hrabia powziął myśl, że nareszcie przychodzi dopraszać się i zdaje na ła-

skę; znowu więc śmielej począł wnioskować jak go wypadło upokorzyć i związać.

Na to był przygotowanym, gdy mu znac dano, że Jerzy oczekuje na niego; jednakże z dwóch ich, Hrabia wyszedł daleko bardziej skłopotany niż synowiec, który nań czekał spokojnie i nie dając znaku najmniejszego wzruszenia. Przywitali się zimno, z daleka. Hrabia począł pierwszy, przybierając poważny i surowy ton sędziego.

— Wiadome już WPanu rozporządzenie jego ojca; ta wola jego wkłada na mnie wielkie i ciężkie obowiązki: będę się starał im podołać. Sam WPan wyparłeś się rodziny, zerwałeś najświętszy na ziemi węzeł, wzgardziłeś opieką, nie masz więc prawa do jej dobrodziejstw... Ojciec W Pana surowym był, ale sprawiedliwym.

Juraś milczał.

— Ale ja, wchodząc w jego położenie,— kończył Hrabia,— nie myślę przecie zostawić go bez sposobu do życia. Chcę, żebyś się poddał mojemu kierownictwu, upokorzył, stał posłusznym, a wówczas widząc poprawę, po-

trafię los WPana i spokojną przyszłość zapewnić.

— Za pozwoleniem,— przerwał Juraś,— testament mówi o majątku, ale nie wspomina wcale o mnie; wolą ojca szanuję, ona mi właśnie zostawia zupełną swobodę, i téj, spodziewam się, nikt prawnie ograniczać nie zechce i nie może. Nie żądam nic, ale nie przyrzekam téż nic wcale.

Hrabia spojrział mu w oczy.

— Ja nie mogę pozwolić na to.

— Jakże pan możesz chcieć tego, do czego nie masz prawa?

— Ja, nie mam prawa?

— Do majątku, zupełne; do mnie, żadnego,— rzekł Juraś,— ale o tém nie mamy co mówić.

— Więc zawsze ten upór i duma?

— Jak się tam nazwać podoba... ale zawsze jeden charakter znajdziesz pan we mnie. Obcy sobie jesteśmy, i próżnobyśmy mówili o tém. Mam wcale co innego do pana Hrabiego,— rzekł Jerzy.

Rajmund bojaźliwie jakoś spojrział na siłą

i energią spokojną napiętnowaną postać, stojącą przed nim.

— Co się tyczy woli ojca, mówiłem, że ją szanuję i chcę, by ją drudzy szanowali. Wiem to bardzo dobrze, że testament zrobiony był nimeśmy się spotkali, nim mi przebaczył; że chciał go cofnąć i byłby go cofnął, gdyby miał czas na to; wiem i to, że gdybym dziś chciał obalić to rozporządzenie, mógłbym to uczynić najłatwiej.

— Jako obalić?—zawołał Hrabia.

— Testament jest dobry dla mnie i dla pana, ale w obec prawa nic nie wart.

— A! to WPan wiesz!—zawołał Hrabia,—wiesz co ci intryganci powiedzieli.

— Ale o to mniejsza,—rzekł Jerzy,—wiesz pan, że go przecie szanuję.

— Czynisz mi tę łaskę?—urągająco spytał Hrabia.

— Nie,—odpowiedział Jerzy,—czynię sobie to z czém mi dogodniej, ale łaski także dla siebie nie dam zrobić,—dodał dumnie.—Słowo tylko, panie Hrabio, byśmy w zbyt cierpkie nie zaszli rozprawy. Chodzi mi o stare

sługi ojca, o ich byt i spokój. Pawła wezmę z sobą zapewne, ale nic nie mając tylko pracę, wszystkich zabrać nie mogę, a nie chcę, by się im krzywda działa.

— Jakto krzywda?

— Proszę was, aby ci starzy przyjaciele mieli to, co za ojca: utrzymanie i opłatę do jakich przywykli.

Hrabia się zawahał.

— To mieć będą co ja uznam słuszném.

Jerzy okazał trochę niecierpliwości.

— Panie Hrabio, w tém i ja chcę mieć sąd i wolę, to z mojej strony jedyna rzecz, której wymagam. Nic nie żądam dla siebie, nic nie przyjmę, bo się żadnym warunkom nie poddam, ale oni mieć muszą,—dodał z przyciskiem,—to, do czego przywykli.

Hrabia nadto miał uporę i dumę, by ustąpił, Juraś zbyt silnie był przekonany o obowiązku, by o łaskę prosił: oba nie zmienili tonu.

— A jeśli ja nie zechcę?—spytał Hrabia.

— Natenczas ja pomyślę jak mam radzić,—odparł Jerzy,—a że dość jestem uparty, we-

dle wyrażenia pańskiego, więc że nie ustąpię, to pewna.

Zmierzyli się oczyma.

— Ale WPan sam dla siebie, cóż myślisz? włóczyć się i żebrać, jeśli nie chcesz nic ode mnie?— spytał stryj po chwili.

— Żebrać? co pan mówisz? — przerwał gwałtownie Jerzy, — to słowo z ust innych byłoby obelgą... tu jest tylko nadużyciem niegrzeczném położenia, i dlatego muszę puścić mimo uszów. Nie mam co na to odpowiadać.

Posunął się ku drzwiom powoli.

— Posłuchaj WPan, jeszcze słowo, — rzekł Hrabia, — daję ci Horycę, dla ciebie i sług; oto masz ostatnie słowo: aż nadto ci tego dosyć.

— Ja nic nie chciałem i nie wezmę, — odparł Jerzy.

— Chcesz się prawować?

— Nic nie żądam.

— Tak! rozumiem, chcesz mię upokorzyć łachmanami swemi, chcesz by ludzie widząc twoje ubóstwo, wskazywali jako niepoczciwego przywłaszczyciela, żebym ja pokutował za

twoją winę i za rozporządzenie ojca: rozumiem!

— Myśl ta nie powstała we mnie. Co ludzie powiedzą nie wiem; nie skarżę się, nie biore nic, bo wszystko cobyś mi Hrabia dał, byłoby łaską. Po ojcu albo mi się należy co zostawił, lub nic wcale: wolę nic, niż jałmużnę.

Odchodził już, Hrabia okazywał coraz gorętszą niespokojność.

— Namyśl się, — rzekł, — daję Horycę.

— Zwracam ją panu.

— To upor i szaleństwo.

— Może być, dziwactwo, szal, — odparł Jerzy, — ale ja śpilki nie chcę z domu wziąć, i nie mogę. Prawa pańskie jasne, mój obowiązek równie jest widny dla mnie: rzecz skończona.

Skłonił się swobodnie i odszedł powoli spokojny, a przybrawszy pozór jak mógł najwesejszy, pospieszył do pokoju Hrabinej, gdzie ona czekała na niego drżąc za każdym szelestem. Lola była smutna i zamysłona.

Na progu zaraz spojrzały mu w oczy, chcąc

się dowiedzieć co zrobił; ale odgadnąć nie mogły, bo Juraś umyślnie się im uśmiechał!

— A! powiedz, jakże to tam było?

— Nic, poszło dobrze; nie ma już mówić o czém. Stryj był grzeczny, ja starałem się być powolnym: rozstaliśmy się w jak najlepszych stosunkach.

— Dzięki Bogu, ale jakże?

— Nic, wszystko zostało jak było; nie mówmy już o tém, nie mówmy.

I obrócił się do Loli.

— Nic przykrzejszego jak te nudne sprawy ludzkie majątkowe, pieniądze, — rzekł śmiejąc się, — to truje życie, które nam jest na inny cel dane: prawda siostrzyczko? Czy wiesz, żem bardzo tęsknił za tobą?

— A ja, ja, ciągle o tobie myślałam.

I zarumieniła się mimowolnie.

— Ale mama mówi, że w tém nie ma nic złego, — dodała, — bośmy bratem i siostrą, możemy się bardzo kochać, i nikt nam słowa nie powie.

— A! Lolciu! co ty znów pleciesz! — przerwała matka.

—- Wszakże ani słowa nie dodaję!

— Ale cóż sobie Jerzy pomyśli?

— Jerzy jeszcze mocniej kochać was będzie.

— Widzi mama!—plaskając w dłonie zawołała Lola, —ja wiedziałam, że Juraś dobry chłopak.

— Dziękuję ci, siostrzyczko.

— Dobry! dobry, poczciwy, —całując go w głowę, odezwała się Hrabina, — nawet w sercu do nas nie ma żalu.

— Do was! a mój Boże! mogeż mieć dla was co innego jak wdzięczność?

— A dla ojca?

— Ojciec, mógł się omylić, ale nie sądzicie żeby mi uczynił krzywdę, — rzekł Jerzy, — nie gryźcie się tém. Ja jestem dobrowolny sierota i wygnaniec od dziecka, dla mnie straszne były i te majątki i ten świat wasz, w które mnie one ciągnęły; lepiej mi, że zostanę jak byłem.

— Ale cóż ty poczniesz z sobą, — spytała Lola.

— Oto już prawie począłem, — rzekł Jerzy, — znalaziono mi kawał ziemi dobry, biorę

go dzierzawą, pójdę pracować, siać, żąć, zbierać i dorabiać się chleba, tak jak człowiek powinien.

— Mój Boże,—zawołała Hrabina,—a my! my zostaniemy z cudzém dobrem w rękach i na sumieniu. Nie! nie! to być nie może, ja tego nie zniosę, to się musi przemienić.

— Moja droga stryjenko,—rzekł siadając Juraś,—nie frasujcież się tak bardzo; co się stało, zrobiło się jak najlepiej: gdybyście mi oddawali teraz to co po ojcu zostało, jużbym nie przyjął ofiary i ciężaru. Wola jego nie została odwołaną widocznie, jawnie; możemy sądzić, że chciałby być może zrobić inaczej, ale na to nie mamy dowodów: niechże tak będzie jak postanowił. My zostanmy dobrymi przyjaciółmi.

— To najważniejsza,—zawołała Lola uśmiechając się,—będziemy sobie siostrą i bratem.

I zbliżyli się do siebie pociągnięni urokiem, z którego oboje nie zdawali sobie sprawy. Jerzy mimowolnie zszedł myślą w głąb serca, i porównał wrażenie jakiego w téj chwili doznawał z tém, które go ciągnęło ku Anecie:

tamto nie sięgało po za granicę wszystkich silniejszych wzruszeń powszednich, to miało w sobie coś tajemniczego.

Tamta go bawiła, ta pociągała; z tamtą śmiać się potrzeba było i trzpiotać, aby z nią przyjść do zgody: z tą każde słowo łatwo stroiło się do tonu, myśli ich zgadzały się. Bez wysiłku byli w harmonii zupełnej.

Jerzy to sobie tłumaczył uczuciem siostry i brata, którego nie znał, a siłą jego był zdziwiony.

Wprawdzie Hrabina przytrzymywała go w tym domu, który tyle miał powodów co najprędzej opuścić, ale ona sama nie byłaby go potrafiła zatrzymać; uśmiech i spojrzenie Loli, z którą się tak odrazu dobrze rozumieli, przykuwały go do tych cichych pokoików, których opuścić żal mu było: silił się, wstawał, odejść nie mógł.

Hrabina zamyśliła się głęboko, młodzi usnęli się trochę.

— Dalekoż to, — spytała Lola, — ta twoja nowa dzierzawa?

— Trochę będzie daleko: tak prawie jak Horyca.

— O! to bardzo daleko! Ty jak się tam zsiądziesz, nie wiem czy do nas zechcesz przyjechać.

I spojrzała mu w oczy.

— Bo choć się nie gniewasz na ojca, wszak prawda, że się nie gniewasz? ale cię przecie wstrzymywać coś będzie: wy się nie rozumiecie. Powiedzże mi, kiedy my się znowu zobaczymy?

— Bóg wie! To prawda: do was natrętnie się tu cisnąć mi trudno, każda moja bytność będzie się zdawała wyrzutem, co gorzej, przy mówką o jakąś pomoc, a samo posądzenie o to, już dla mnie bolesne. Jednak, wyście całą moją rodziną na świecie, jedyną; nikogo nie mam, a przez te krótkie, pamiętne godziny nieszczęścia poznałem was, przywiązałem się do was, do ciebie, więcej niż myślicie!

— Doprawdy? Jakże mnie cieszy, Jurasiu! Ty także nie wiesz, jak ja cię bardzo Kocham: nie wiem czybym tak rodzzonego brata potrafiła. Pamiętasz, kiedyś się tu pierwszy raz nie-

spodzianie zjawił, oczy się nasze spotkały, zadrzałam cała, przeczułam już w tobie brata. Nie wiedziałam wówczas co to znaczyło: dziś rozumiem. A! gdy się nam przyjdzie rozdzielić na długo, smutno, smutno mi będzie.

Ale, choć ja tych rzeczy nie rozumiem,— dodała Lola,—słuchajno, może ja nieźle poradzę. Tam czy tu pracować wszędzie można. Dlaczegoż tam, daleko masz koniecznie szukać tego ziemi kawałka: tuby ci go Otto znalazł. Tu my, tu Max, tu on, tu trochę życzliwych i znajomych, i lepiej między niemi być może.

— Dziękuję ci za radę. Kto wie, może pójde za nią, gdybym znalazł co gdzie blisko?

— Koniecznie blisko,—dodała żywo Lola,—choć czasem widywałybyśmy się mogli, i mama i ja. My często długie, dalekie odbywamy przechadzki, moglibyśmy nawet bywać u ciebie. Dla mnie byłaby to wielka pociecha.

I uśmiechnęła mu się podając obie rączki z tą dziecinną prostotą, która ją wdzięcznym czyniła aniołkiem.

— Teraz,—rzekła,—zostaniesz jeszcze pe-

wnie choć kilka dni u Ottona, w okolicy: wszak prawda? nie myślę się?

— Być może.

— Możemy więc zobaczyć się jeszcze?

— A! jeśli pozwolicie, jabym, — dodał Jerzy nieśmiało, ale z uczuciem głębokim, — jabym się wieki patrzył i patrzył na ciebie, tak mi błogo i dobrze, gdy mój wzrok oczy twoje spotyka.

— A! żartujesz sobie ze mnie, a tego ja nie lubię.

— Ja nigdy nie żartuję.

— Więc doprawdy? ale nie! czyżbyś ty wołał mnie nawet od tego trzpiota Anety, która...

Lola się zarumieniła.

— Która? co?

— A! wiem, żeś był z nią u Pułkownikowej, żeś ją tam poznał, że ci się bardzo, bardzo podobała.

— Powiedz, że mnie bardzo zabawiła.

— Ale ja o to nie mam pretensyi: ja jestem siostrą twoją.

— Ja mam pretensyą, — rzekł Jerzy, — boś

ty mi więcej niż siostrę: tyś moim ślicznym snem, ideałem.

— A! zmiłuj się! mówisz coś tak już jak pan Emil, który tu był poza wczoraj: ja tego doprawdy nie lubię.

— Jaki Emil?

— A! wystaw sobie — szczebiotała Lola pocichu, uśmiechając się do niego — póki ojciec miał tylko Zarubińce, nikt nie myślał o mnie; teraz, gdy posłyszeli, że ta biedna Lola może tam mieć coś więcej, choć to cudze, choć ona tego nigdy nie weźmie i nie tknie, już ich przyjeżdżało trzech, co mi zaraz od pierwszego wejrzenia takie rzeczy prawili!!

Juraś uśmiechnął się smutnie.

— I przyjdzie — rzekł — jakiś cawarty, który ci to powie tak, że trafi do serca.

— A! nie! nie! nie! Najprzód ty nie wiesz jeszcze, że ja postanowiłam nigdy nie iść za mąż, dla mamy: mamie byłoby bardzo smutno. Powtóre, ot tak, nie wiem czemu, ale mi wszyscy po tobie śmiesznymi się wydają.

— A! mój Boże! jakże ty mnie zawstydzasz. Ja taki nieokrzesany, prosty, niezgrabny...

— No! ja tam nie wiem, ale ty także wydajesz mi się jakimś ideałem mężczyzny, z siłą, z charakterem, z mocą duszy; gdy tamci, jakby kto ich z pajęczyny utkał, lub z pianki ukleił.

— A ten Emil?

— A! Emil; ja ci już nie powiem: uchodzi on tu za bardzo ładnego chłopca, ale jest tak ładny jak lalka drewniana, i zdaje się, że chodząc stłuc się boi, a mówi jak nakręcona do mówienia machinka. Ty już widzisz jakem ja niecierpliwa, gorączka: jakże mi się może taki porcelanowy Emilek podobać?

— A drugi? a trzeci? — zapytał Juraś.

— A drugi? drugi to znów taki poważny, że tylko z papą mówi o polityce, zawsze seryo. Straszny, musi być bardzo rozumny, bom ja go nic a nic zrozumieć nie mogła: ciągle wielkimi tylko rzucał słowami...

— Trudna jesteś, siostrzyczko... A trzeci?

— Trzeci sobie tak jakiś, że doprawdy nic o nim powiedzieć nie można: blade, mizerny, kaszlący, zdaje się że tylko chorować umie i obawiać się o swoje zdrowie. To czyni go

sentymtalnym; wzdychał aż mi było nudno: dużo widać francuzkich rzeczy czytał.

— O! biedacy! jakżeś ty ich osądziła?

— Ja ich nie sędzę, kochany Jurasiu, mówię ci tylko jak mi się zdają, co o nich myślę. Cóżem winna, że oni mi się tak wydali? Ale wróćmy do naszej rozmowy: kiedyż i jak się zobaczymy.

— Nie wiem.

— Będziesz u Ottona?

— Zabawię u niego może: będzie podobno wkrótce i Maxa wesele.

— Myślisz być i na weselu? Kiedy pogoda piękna, my z mamą chodzimy spacerem drogą lipową ku Robowu: tambyśmy mogli się spotkać... Gdy mama chora, czasem ja chodzę sama, to droga pusta, a ogród blisko...

Zarumieniła się dając mu rękę.

— Moglibyśmy się zobaczyć!

— Ale doprawdy — dodała — ty mnie wziąć gotów jesteś za jakiegoś trzpiota. O! gdybyś nie był moim bratem, nigdybym ci się tak nie narzucała; ja wiem, że to nie uchodzi i nie dobrze... ale z bratem...

— Moja droga siostrzyczko—odparł Jerzy —nie bój się, bym cię wziął za inną niż jesteś: za dobrą, serdeczną, szczerą i miłą istotę, jakiej drugiej na świecie nie ma.

— Cicho! chodźmy już do mamy; ona cię tak kocha jak ja: ręczę.

Zbliżyli się do Hrabinej, ale ją zastali jakąś zadumaną i pogrążoną; spokojna jej zwykle i łagodna twarz, nosiła ślady wewnętrznej walki i silnego postanowienia, które wiele kosztować musiało: łzy nie oschłe jeszcze świeciły na policzkach, choć usta, w chwili gdy się dzieci zbliżyły, uśmiechnęły się pogodnie.

— Mamciu droga! doprawdy! tyś znowu płakała—zawołała Lola grożąc jej—a mnie to nigdy i łezki wylać nie wolno, choćby mi się najbardziej chciało, a ty sama...

— Ale ja nie płakałam: śni ci się!

Lola przypadła i pieszcząc się, pocałowała ją w kolana; wtém na wschodach dał się słyszeć znany im dobrze chód powolny Hrabiego, a Juraś, który już i tak bawił zadługo,

pośpieszył pożegnać stryjenkę i siostrzyczkę. W progu spotkali się z Hrabią, który zmierzzył oczyma gościa, ale Juraś nie mówiąc słowa, ukłonem go tylko pożegnał i zniknął. Matka dała znak córce, aby odeszła i zostawiła ich samych.

Między małżeństwem, z których jedno całe życie ulegało, drugie panować przywykło, widocznie zbierało się na burzę. Cierpliwość Hrabinię była wyczerpana, oburzenie jej dochodziło do najwyższego stopnia; była w położeniu tych istot zawojowanych, które jak słonie w niewoli dostają czasem strasznego szału rozpacz.

Długo milczeli oboje, nareszcie Hrabina powstała.

— Był tu szanowny synowczyk, zapewne z żalami — odezwał się Hrabia. — Cóż? buntował was przeciwko mnie, usiłując zrobić koalicją!!

— Ani słowa nie mówił o tém — odpowiedziała Marya — ale ja sama z siebie mam ci coś do powiedzenia.

— Ty, moja pani? Ty?—I Hrabia spojrział prawie pogardliwie na żonę.

— Tak, ja; przywykłeś do tego, że się do niczego nie mieszam, ale tym razem i o mnie chodzi: mam prawo, mam obowiązek przemówić. Rajmundzie, poszedłeś drogą, którą nie chodziłeś nigdy w życiu; honor mój jest twoim: powinnam cię ostrzedz... Moją jest winą: zapomnienie o testamencie, tyś winien, że z niego chcesz korzystać i cudzą własność zatrzymać...

Hrabia zatrząsł się cały.

— Co to jest—zawołał—cudzą własność! honor! W Pani będziesz mnie uczyć prawideł honoru! pojęcia własności!

— Choćby ja, jeśli ty sam postrzedz się nie zechcesz, że cię cały świat palcami wytyka jak przywłaszczyciela.

— A co mi świat!—krzyknął Hrabia—i wszyscy! Ja wiem co czynię, ja widzę, z mocy czego to robię! Ten chłopiec nie chciał znać ojca i nie bierze po nim spadku. To co odbieram jest spuścizną po naszych dziadach, moją własnością, to tylko wynagrodzenie za krzyw-

dy jakich doznałem od brata, które mi umierając chciał powrócić...

— Krzywdy? czemuż się o nie nigdy nie upominał?

— Bom nie mógł i nie chciał czynić zgorzszczenia.

— A dziśże ono mniejszém będzie?—zawołała łamiąc ręce Hrabina—na Boga! mężu, myśl, rozważ: to tak pozostać nie może...

— Tak będzie. W Pani rola milczeć i słuchać, gdy ja co robię...

— Milczałam dotąd, ale dłużej nie mogę; karę i niebłogosławieństwo Boże ściągasz na nas: to cudza własność, to sieroce mienie!

— Jestem więc złodziejem?

— Jesteś przywłaszczycielem, jesteś nim nawet w twojem własnem sumieniu. Słuchaj—rzekła stanowczo—jedno z dwojga: albo powróć co mu należy, albo ja z tobą żyć nie będę.

Hrabia osłupiał, nie mógł uwierzyć uszom, aby ta słaba istota zebrała się na ten wyraz niepojętego zuchwalstwa, i rozśmiał się dzi-

wnie, szydersko, wzgardliwie ruszając ramionami.

— Zabieram dziecię moje—rzekła Hrabina—mam kąć własny, wyjadę i usunę się, bo tu pod tym dachem dłużej wytrwać nie potrafię, moją przytomnością uświęcając co się stało...

Hrabia pobladł i zatrząsł się z gniewu.

— WPani—rzekł—postąpisz jak zechcesz, ja zrobię jak postanowiłem: nie bronię. Tak się zawsze kończy małżeństwo równie nie dobrane jak nasze.

— A! Boże mój! czyż na tę wymówkę zasłużyłam życiem całym—zawołała płacząc Hrabina—życiem pokory i zaparcia, posłuszeństwem aż do wyrzeczenia się wszystkiego... Nie! wymawiać ci tego nie będę, jeśli sam nie czujesz... Słowo ci tego pojęcia dać nie może, gdy nie dało życie... Stało się! stało!

— Moja pani—rzekł Hrabia zimno—ja nie zwykłem cofać, co raz postanowiłem...

— Jam także myślała głęboko nad tem co mam uczynić—przerwała Hrabina—czy dać dziecku przykład gorszący zwady i poróżnie-

nia, czy gorszy przykład chciwości i zbogacenia cudzym kosztem; zostanę żoną twoją zdaleka, wierną ci do śmierci, ale się rozstaniemy, Rajmundzie: ja tego chleba jeść nie mogę.

— Masz W Pani swoje wolę — odparł Hrabia zimno kłaniając się.

Hrabina raz jeszcze zbliżyła się do niego.

— Mężu — rzekła czulej — na dziecko, na Boga, na pamięć twoich ojców zaklinam cię! mógłżeś się tak obłąkać! To niepodobna! nie! ty masz poczciwe serce! Na co nam te skarby, na co bogactwa? Czyż Loli nie dość będzie i tego co mamy? czyż nam nie starczy na starość chleba? czy nie lepiej dźwigać ubóstwo poczciwe, niż ten spadek nieszczęsny?

— Deklamacye! deklamacye! — zawołał Hrabia — kobiece romanse. Com rzekł raz, powtarzam: biorę moją własność i nikomu z niej nie winienem rachunku.

— Bogu! — rzekła Hrabina, odstępując — Bóg tylko spyta się o grosz sierocy: ludzie już potępili.

— Ja o ludzi nie dbam — zawołał Hrabia dumnie — mam sumienie moje: to mi starczy.

Marya usiadła starając się uspokoić, Rajmund przeszedł parę razy po pokoju, i powolnym krokiem nie już nie mówiąc wysunął się za drzwi.

Po odejściu jego Hrabina klękała i modliła się długo; wstała nieco uspokojona i choć już było późno, kazała natychmiast wołać Żółtowskiego, który stał właśnie w ganku i stawił się niezwłocznie.

— Mój Żółtosiu — rzekła — nie gniewaj się na mnie, nie pytaj mnie o nic, nie potępiaj. Są okoliczności, dla których chcę, muszę na jakiś czas zamieszkać w domu dawniej rodziców moich: ja z Lolą wyjeżdżamy ztąd jutro.

Żółtowski nie dowierzał uszom, cofnął się o krok, przerażony.

— Jakto, proszę JW. Pani? a JW. Hrabia?

— Hrabia pozostaje u siebie.

— To dla kąpieli? — zapytał stary.

— Tak, dla kąpieli — odparła Marya — ale że się one mogą przeciągnąć, każ mi tam co mam mojego poprzewozić... Mało tego jest: ja wskażę; niewiele potrzebuje, Lola także... Ale jestże tam dom?

— Dom stary zajmuje ekonom.

— Może się wynieść na folwark?

— Najłatwiej, trzebaby tylko mieszkanie przygotować, oczyścić.

— Nie! ja się tymczasem w jednej izdebce pomieszczę.

— Ale cóż to tak nagłego!

— Nie pytaj mnie.

Hrabina zamilkła.

— Proszę cię, spełnij czego żądam.

— A JW. Hrabia?

— Oznajmisz mu o tém...

— Juściż nie jutro?

— Jutro, mój Żółtosiu; dasz mi tam jakiegokolwiek konie, jaki powóz stary, bylebym dojechała. Michał rzeczy poprzewozi.

Zdumiony rządcą popatrzył na nią smutny, nie śmiał badać i skłoniwszy się odszedł zamysłony.

Z kolei nadbiegła Lola, nie domyślając się niczego. Przeprowadziła ona oczyma Jurasia, pożegnała go raz jeszcze ze swego okienka, marzyła o spotkaniu z nim w lipowej alei, a matce krwawiło się serce, nie wiedząc jak

jéj powie o rozstaniu się z domem, z ojcem, ze wszystkiém co nawykła za swoje uważać. —

Matka i córka milczały długo, aż Hrabina wstała, podeszła i pocałowała ją w czoło.

— Moję dziecię—rzekła—czy wierzysz w to, że serce matki się nie myli?

— A! gdzież się pytać o to, mateczko!

— Wierzysz, że jeśli czego chce, musi mieć silne do tego powody?

— Dlaczegóż mama mnie tak probuje?

— Bo może dziwnej, przykrój dla ciebie żądać będą rzeczy: nie posądzisz mnie o dziwactwo?

— Mamciu! mów tak jak zwykłaś do swego dziecka; ty znasz serce moje.

— Powiem więc, i tak lepiej, otwarcie... Ojciec twój jest w błędzie, szanuję go i kocham, ale chcę mu dowieść, że zabierając majątek Jerzego, myli się i przywłaszcza go nieprawnie. Nie wątpię, że zastanowienie zmieni jego zamiary; dziś on trwa w swoim przekonaniu, a w tem różnimy się tak wielce, że musiałam...

Tu ze łzami pocałowała córkę w czoło.

— Musiałam mu powiedzieć ciężkie dla serca słowo: rozdzielimy się, rozstańmy! Wyjeżdżam na wieś do siebie, a ty?

— A ja z tobą!—zawołała Lola dość smutnie—ale mamciudroga, czy to co pomoże?

— Bóg wie, przynajmniej mu na myśl różnicę zdań naszych przywodzić będzie; a może...

— Czyżby nie można zostając tu przekonać go?

— Zostając tu, ja przed światem zdawałabym się w zgodzie z hrabią; mówić nie mogę...

— Odjeżdżając, potępiasz go! — szepnęła Lola—ale gdzie ty, tam i ja... Przecież wrócimy tu, prędko wrócimy znowu?

— Mam nadzieję że powrócim, ty przynajmniej; zresztą Bóg rozporządzi nami: my robmy co sumienie każe...

— A! jednak żal nam będzie Zarubińce opuścić!—dodała Lola—ja tak do nich przyrosłam!

Długiem milczeniem tylko odpowiedziała na to matka, w jej sercu tyle było niepewności, tak ciężka walka dwóch obowiązków, że sama zdać sobie sprawy nie umiała z tego, co czy-

nić była powinna. Zdawało się jej chwilami, że zostać było lepiej, to znowu, że oddalić się było powinnością: nie wiedziała co począć. Jednakże nazajutrz spędziwszy noc bezsenną na płaczu, bez pożegnania z Hrabią, który się zamknął w pracowni, opuściła Zarubińce. Ani żony, ani córki Rajmund nie przypuścił do siebie, ale kroku nie zrobił, by je wstrzymać.

Można sobie wyobrazić jakim smacznym kąskiem dla kochanych sąsiadów, były te wszystkie, szybko po sobie następujące wypadki, nareszcie wyjazd Hrabiny z córką. Nie stworzone też opowiadano rzeczy z takimi dodatkami, uzupełnieniami i komentaryuszami, że każde nowe wydanie tej historii, wychodzące z innej oficyny, coraz było bogatsze w dramatyczne szczegóły; a choć między sobą wcale się wersye nie zgadzały, wszystkim przyznano po trosze prawdy. Jerzy szczególnie zwracał oczy wszystkich. Hrabinę jedni potępiali, utrzymując, że żona zawsze i do ostatka los męża i przekonania dzielić powinna; drudzy ją uniewinniali, dodając, że daleko dawniej powinna była sobie postąpić w ten sposób.

W trzy czy cztery dni potem i Jerzy dowiedział się o wyjeździe, ale nie rozumiejąc dobrze co go spowodować mogło tak nagle, poleciał do niej przestraszony, aby się bliżej o szczegóły wypytać.

Dawne rodziców Maryi mieszkanie, opuszczone od śmierci ojca i jej za mąż pójścia, ów stary dwór szlachecki, z którego teraz pośpiesznie wynoszono ekonoma, przysposabiając go dla pani, wyglądał bardzo niepocześnie, bo późniejsi mieszkańcy popsuli go i zdarli ślady dawnej powagi i zamożności. Żyli w nim przybysze, zmieniający się co lat parę; każdy sam sobie coś klecił i odmieniał, a poszpecili bardzo. W dziedzińcu nagrodzono warzywnych grządek co niemiara, w sadzie zapuszczono ścieżki, a porobiono zagony; w samym domu ledwie ślad był dawnego ładu i wygody, bo się mu dano zrujnować. Dach gontowy gdzieś połatany był słomą, ściany ogołoczone z tynków, okna pozabijane deskami. Po wygodzie pałacu, jakkolwiek opuszczonego ale jeszcze pańskiego, dwór ten smutnie się wydał Hrabinie, a choć powoli przewoził Żółtow-

ski co tylko zdawało mu się pani potrzebnem, trudno to było na razie urządzić, i choć znośną starą ruinę uczynić. Hrabina, dla której wspomnienie lat młodych, szczęśliwie w tém miejscu spędzonych, drogiem było, starała się napróżno dać mu fizyonomią jaką pamiętała.

Nic prędkiej nie zaciera się nad ślady człowieka: niszczą je czas i ludzie. Marya ledwie mogła poznać to, co w jej umyśle daleko wyraźniejszem pozostało, niż było w rzeczywistości. Bóg wie jak poginęły pamiątki, a miejsce nawet zmałało, zdrobniało, zestarzało. Lola usiłując odgadnąć życzenia matki, krzątała się jak mogła, zapytując co chwila jak to gdzie było, gdzie co stało, jaki pokój na co był przeznaczony. Z tego co przeszłość przypomnieć mogło, nadto już mało przeżyło, żeby ją można odtworzyć; Hrabina chodziła śledząc resztek i śladów; i płakała.

Wśród tych smętnych przygotowań do nowego życia, przyjechał kilka razy Żółtowski, milczący jak zawsze i widocznie nierad postanowieniu pani, które potępiał. Hrabina niepokojnie dopytywała go o męża, ale dowia-

dywała się tylko, że Rajmund ani wspominał o niej, nie pytał o nią, nie dowiadywał się, nie mieszał się wcale do tego co czyniła. Wiedział o wszystkim przez Malczaka, ale trwał w swoim uporze i milczeniu.

W kilka dni po tych przenosinach, Jerzy przybiegł do stryjenki z Robowa, gdzie dotąd przesiadywał, szukając sobie w sąsiedztwie dzierżawy wedle rady Loli. Nie domyślał się on istotnej przyczyny oddalenia Hrabinej, ale przeczuwał, że sprawa jego przyczynić się do tego musiała: ciekawy był bliżej się dowiedzieć. Wchodząc w dziedziniec na którym mnóstwo dziewcząt i chłopców pracowało około oczyszczenia ścieżek, spotkał się na wstępie z Lolą, która jako czynna gosposia była przy robocie. Ujrawszy go dziewczę, podbiegło ku niemu żywo, klaskając w rączki.

— A! wiesz braciszku, zem się nawet spodziewała ciebie u nas, i przeczułam, że dziś będziesz: widzisz co się stało!

— Ale cóż się stało?

— Nie wiem doprawdy! Mama potrzebowała jakoś zmiany powietrza, czy starych

wspomnień; doprawdy, nie rozumiem tego dobrze, dosyć żeśmy się do tego dworku przenieśli.

— Jakże się ma stryjenka?

— Dosyć dobrze, żyje tu wspomnieniami czasów, które spędziła z rodzicami; urządzamy się, i nie tak nam źle będzie jak się zdawało. Z początku zdawało mi się, że bardzo po pałacu tęsknić będziemy obie, że nam tu wszystkiego zabraknie; ale widzę, że i tu żyć można, jakoś może jeszcze swobodniej i ciszej. Ja mam dużo zajęcia! to mnie bardzo bawi; robię na nowo dziedziniec i ogród, domyślając się, zgadując jak to tu dawniej być musiało... Nie sztukaby coś nowego stworzyć, ale ja chcę odgadnąć jak niegdyś tu było, i czasem mi się doskonale udaje; ale chodźmy do mamy.

Jerzy smutny jakoś pociągnął za Lolą w głąb domu, który stał jeszcze napół pustką, napół urządzającym się dopiero mieszkaniem, jak wszystko co niedokończone przykrém, niepełném, niewygodném. Gdzieniegdzie poprzywożone meble, jeszcze nieporozwiązane,

połamane trochę, gromadziły się kupkami, inne nie mając jeszcze oznaczonego miejsca, czekały w środku pokojów, gdzie im stanąć każą.

Hrabina chodziła wśród tych sprzętów obezwładniona, zapłakana, smutna. Zobaczywszy Jerzego, z czułością macierzyńską podbiegła ku niemu i Loli, usiłując udać wesołość.

— Widzi mama, jeszcześmy się nie pospieszyły urządzić, a już mamy gości.

— E! takich to my się nie boimy—odpowiedziała Hrabina.—Jak się masz Jerzy? cóż u ciebie słyhać? co robisz?

— Nie mam jeszcze nic stanowczego do powiedzenia o sobie, ale cóż się stało wam? dlaczego te przenosiny?

— Nic, najprostsza rzecz w świecie; zawsze mi mury jakoś w lecie szkodziły, przywykłam dawniej do drewnianego domu, więc na lato przeniosłam się tu z Lolą odpocząć.

— Ale będziez tu wygodnie?

— Wszędzie jest człowiekowi aż nadto wygodnie. Czyż to nam, wiele potrzeba? Cóż ty porabiasz?

— Posłuchałem Loli, muszę się tém pochwalić, bo rzadko komu jestem posłuszny.

— Czyż i tobie dawała jakie rady?

— Za które jój serdecznie jestem wdzięczny. Szukam sobie dzierżawy w sąsiedztwie, i mam ją już tak jak znalazioną. Trochę tylko chcę zadrogo, a ja się obawiam.

Lola przerwała zaraz rozmowę, usiłując matkę rozerwać.

— Wié mama, doszłam dziś śladów ścieżki, która szła do drewnianéj kapliczki w ogrodzie, po trawach i po resztach porzéczek, któremi była wysadzana. Z troskliwością starożytnika śledzącego wał rzymski szłam jój śladami i już nastąpiła restauracya, z której mama powinna być kontenta.

Hrabina pocałowała ją w czoło.

— Mój ty skarbie jedyny! jak dla ciebie wszystko weselem i zabawką!

— A! doprawdy, nie dla mojej rozrywki, ale się to robi dla kochanej mamy... Jabym tak chciała, aby ci tu było dobrze!

— I tobie, mój aniołku.

— Mnie z tobą wszędzie jak w raj; przy-
tém tak tu swobodnie, tak cicho, tak jakoś in-
ne powietrze i życie! Codziennie nową piękność
odkrywam.

— Dalekoż będzie twoja dzierzawa? — spy-
tała Hrabina Jerzego.

— Dobra mila, godzina drogi.

— A! to będziemy prawie sąsiadowali —
rzekła Lola wesoło — ale zawsze nie tak jak
Zarubińce z Robowem.

— Ty dotąd siedzisz w Robowie?

Pytania, odpowiedzi, szły tak przerywanie,
gdy oznajmiono przybycie Żółtowskiego, któ-
ry teraz dzielił się na dwoje i zawsze milcząc
przejeżdżał się to do Zarubiniec, to do swęj
kochanej pani.

Z oczów jego widać było jakąś pilną no-
winę, którą miał zwiastować, i wszedłszy za-
raz do drugiego pokoju, ostrożnie się dokoła
obejrzał.

— Wié pani — szepnął pocichu — testament
w sądzie obalony został i uznany nieważnym.

Hrabina z okrzykiem podniosła ręce do
góry.

— Możeż to być?

— Najpewniej, ale Hrabia apeluje dalej.

— Czy się o to kto starał?

— Zdaje się, że nie było komu. Hrabia posiada tylko... Sąd uznał go nieważnym z powodu, że jest prawu wbrew przeciwny: majątek kazano oddać we władanie synowi. Hrabia wysłał mnie sam do Hr. Jerzego, z którym się chce widzieć, i nie znalazłszy w Robowie, przybyłem tu po niego.

— Jakże mu to powiesz?

Żółtowski niewiele wiedział jak począć sobie, ale mieli czas do narady, bo Jerzy poszedł już z Lolą w dziedziniec i do ogrodu przypatrywać się wszystkiemu co zrobiła i co jeszcze zrobić miała, aby to nowe gniazdko upięknąć, a nadewszystko, aby je do dawnego przywrócić stanu. Powracali do dworu, gdy Żółtowski naradziwszy się z Hrabinią, wziął na bok Jerzego i rzekł mu:

— Hrabia prosi, abys się pan z nim widział.

— Kiedy?

— Choćby dziś jeszcze.

— A no, więc jedziemy do Zarubiniec, choć mi się bardzo ztąd ruszyć nie chce.

— Rzecz musi być pilna.

— Jedziemy.

I pożegnawszy zaraz Hrabinę, której nic o tem nie wspomniał, i Lolę, która go mocno wstrzymywała, siadł z Żółtowskim natychmiast, udając się do Zarubiniec.

Tu zastali całe stado krucze: Burdę, Korokowicza i parę jeszcze mniejszych urzędników, składających przyboczną radę Hrabiego do spraw sądowych, których on wszakże odprawił zaraz, aby sam na sam rozmówić się z synowcem. Twarz jego zdradzała podrażnienie i niecierpliwość.

— Mości panie — rzekł zamykając drzwi z powagą, która go nie opuszczała — mówmy otwarcie.

— Ja, inaczej nie mówię nigdy.

— W Pan udajesz bezinteresowność...

— Ja nigdy nic nie udaję.

— To są słowa: mamy dowody że się robi inaczej. Intrygą zakłócasz mi spokój domowy, postawiłeś przeciw mnie żonę...

— Ja? ja?

— A któżby inny? Przecież po ostatniej naradzie z WPanem wyjechała z domu.

Jerzy osłupiał.

— Mówisz mi -- dodał Hrabia żywo — że nie żądasz nic, że wyrzekasz się wszystkiego, a pokątnie starasz się i wyrabiasz obalenie testamentu.

Krew gorąca oblała twarz Jerzego.

— Stryju — rzekł poważnie — jakiegokolwiek mogą być pozory, ręczę ci słowem uczciwego człowieka, że to co mi przypisujesz jest fałszem, jest potwarzą, jest najniegodniejszém zmysleniem.... Z stryjenką nie mówiłem nic, namawiać jój nie mogłem, o testamencie nie wiem.

— Dlaczegoż sąd go obala? — zapytał Hrabia szydersko — któż się o to postarał?

— Sąd go obala? — zawołał Jerzy — jak to być może? ja go przecie przyjąłem.

— Poprzestań WPan udawania, mówmy: co chcesz? co mam dać?

— Nic — odparł Jerzy spokojniej — bo ja nie wezmę.

Hrabia z niecierpliwości targnął suknię na sobie.

— Ja sam uznaję potrzebę, słuszność dania W Panu jakiejś części. Człowiek naszego imienia nie może pójść walczyć między ludźmi.

— Walają się tylko ci, co się chcą zwać — rzekł Jerzy — do imienia to nie ma nic: powtarzam że nie chcę nic i nic nie wezmę.

— A jeśli sąd przyzna W Panu spadek — zapytał Hrabia.

— Ja się go zrzeknę!

Jerzy wymówił to z takim przekonaniem, z taką siłą, że Hrabia nawet jakkolwiek pełen podejrzliwości, zastanowił się i zdumiał.

— Uczyniłbyś to W Pan? istotnie?

— Uczynię.

Stali i mierzyli się oczyma. Hrabia był skłopotany, walczył z sobą; szlachetniejsze uczucie dobywało się z niego: miłość własna tłumiała je i odpychała.

— Odrazu nie zrozumieliśmy się i nie zrozumiemy — dodał Jerzy. — Szanuję wolę ojca, której wyrazem dla mnie jest testament: nic

go odwołać nie może. Wiem to doskonale, że obalić go łatwo, że prawnym nie jest, ale ja majątku tego nie chcę, i w żadnym razie nic z niego nie przyjmę.

Hrabia naprózno w oczach Jerzego szukał fałszu i znaleźć go nie mógł: stał zmieszany i niemal upokorzony.

Usprawiedliwiała w pewien sposób przywłaszczenie forma prawna zapisu, ale jak skoro ten okazał się nielegalnym, mógłże mieć jaki powód trzymania się przy swoim, grabienia cudzej własności i przyjęcia jakby daru od synowca? Domyślał się kłopotów, ale ich dowieść nie mógł. Nie było co mówić dalej, ani się o co układać: potrzeba było pomyśleć co czynić, aby się nie zbrukać więcej.

Jerzy ze swojej strony w żadne układy wchodzić nie chciał.

— Wezwałem W Pana — rzekł po namyśle Hrabia — w przekonaniu, że sprawę tę załatwimy zgodnie; miałem i mam to przekonanie, że nie chcesz mi powiedzieć prawdy.

— O tém dopiero później zapewne będziesz się pan mógł przekonać—dodał Jerzy biorąc za czapkę— tymczasem żegnam.

I wyszedł powoli.

Sędzia Mejszagolski wcisnął się zaraz po jego odejściu, gdy Hrabia stał jeszcze niepewien co pocznie, prawie ze zgryzotą w sercu, że się w tę sprawę wplątał, z której wyjść nie wiedział jak i kędy.

— A cóż? — spytał z ukłonem, zacierając ręce—a cóż?

— Wypiera się wszystkiego: nic nie chce.

— Chytróść!—odparł Mejszagolski—przecież są śladziki; już dochodzimy, już jesteśmy na drodze.

— Więc sąd nie dla odarcia mnie, grozi obaleniem testamentu?

— To swoją drogą, a to swoją drogą; ale że tam ktoś chodzi koło tego interesu, to pewna. Są ślady, są poszlaki—dodał misternie.— Prawie jawno, że stara się o to niejaki Szperka, nawet, o czém się teraz przekonywam, i ma, i daje pieniądze. Któżby, proszę JW. Hrabiego, dawał pieniądze, jeśliby się ich

z naddatkiem nie spodziewał odzyskać? Dla miłości ludzkiej to się nie robi; obcy tegoby dla zabawy nie uczynił? za co? po co? Jest nawet łacińskie przysłowie prawne: *is fecit cui prodest*. A *cui*że tu *prodest*? — spytał sędzia naiwnie — proszę rozważyć?

— Cóż to za jeden ten Szperka?

— Szperka, prawnik, bardzo zręczny choć nieznany człowiek. Kryje się, że koło tego chodzi; ale ja to wiem pewnie i najpewniej. Żeby zaś robił to komu na przekorę lub sobie dla satysfakcyi, niewidziana rzecz!!

— A dla odarcia mnie? — spytał Hrabia.

— Toby się przecie targował, wystąpił, dał do zrozumienia; a on się z tém tak ukrywa, że kiedym go zastał *insperate* u sekretarza z papierami na stole, o mało appoplexyi nie dostał, usiłując je co prędzej pochować. Ale sekretarz i ja, to jedno; zarazem spenetrował o co to chodziło! Szperka człowiek, który darmo palcem nie kiwnie; któż go namówił? kto ugodził? kto mu dał na to pieniądze? pytam?

— I ja pytam—dodał Hrabia— a nie znajduję nikogo prócz tego chytrego chłopca, który mi się tu w oczy wypiera, wyklina, a pocichu intryguje. Ale jeśli tak! — rzekł Rajmund—nie wie, że i ja chodzić potrafię, i ja nie ustąpię... pójdziemy do Izby Cywilnej, do Senatu, do Ogólnego Zebrania: nie zrzeknę się...

— Już to — rzekł sędzia pokornie — jakkolwiek uznaję, że JW. Hrabia masz słuszość w gruncie wszedłszy w rzecz, ale prawdą a Bogiem z tym testamentem utrzymać się będzie trudno, bardzo trudno. Gdyby się nikt nie starał i nie protestował, no, to jeszcze; ale za najmniejszym staraniem krucha ta lepianka się obali.

Hrabia stał zamyślony.

— Co tu począć?

— Jeden i jedyny środek — rzekł sędzia pocichu — naturalnie, kiedy się broni tego co w przekonaniu naszym jest *bene et valide* nam przynależnym, to wszystkie środki dobre. Szperkę tego ja znam: człek ubogi, chciwy, dzieci kupa, żona krzykliwa: możnaby do niego trafić i przekonać go w ten sposób (tu po-

kazał na dłoni sędziego jak się liczą pieniądze), aby nam nie psuł interesu.

— A! to robota pokątna! to przekupstwo i zdrada — zawołał Hrabia.

Sędzia Mejszagolski zaczerwienił się, a potem rozśmiał, bo już musiał choć śmiechem nadrobić.

— W prawie — rzekł — proszę JW. Hrabiego to tak jak w bójce na pięści: chodzi o to tylko, aby być na wierzchu i nieprzyjaciela zmódr, a czy wśród roboty kto komu nogę podstawia, czy sypnie piaskiem w oczy, mniejsza o to, byle położyć przeciwnika na ziemię.

Hrabia cofnął się z niejakim wstrętem od człowieka taką wyznającego teorią, i ostygł.

— Bądź co bądź — rzekł — ja środków tego rodzaju użyć nie mogę i nie chcę; stanie się co ma być: bronić się będę do ostatka, ale na prawej drodze.

— Ale i ja — przerwał sędzia, którego to dotknęło — i ja jestem tego zdania, żeby iść prawo i jak najprawiej; cóż, kiedy tu podstęp widoczny: jakże go odeprzeć? minę chyba kontrminą. Czemuż oni nie występują przeciwko nam wyraźnie?

— Nie jest to racya, abyśmy środków które naganiamy, używali: ja tego nie chcę.

— Prawdziwie JW. Hrabia uwielbieniem mnie przejmuj!—łamiąc ręce rzekł sędzia—takich charakterów antycznych—dodał podnosząc oczy do góry — nie ma już na świecie; chlebabyśmy nie jedli, gdyby człowiek stał tak marmurowo przeciw szelmostwu ludzkiemu, które nas otacza. A! zepsucie, JW. Hrabio, nie do uwierzenia zepsucie i demoralizacya!

I ten co przed chwilą doradzał najohydniejsze środki, z głębi przejętego serca wzdychał teraz nad zepsuciem wieku, obwiniając je o własny występki. Nie dziejeż się to tak codzień i wszędzie?

— Prawość! prawość! ja sam mówię—dorzucił sędzia—nie ma jak prawość, ale z tym światem i z temi ludźmi, a jak trudno! Człowiek szlachetny, niemówiąc tego do siebie, zawsze najnieszczęśliwszy.

Westchnął głęboko.

Hrabia zrozumiał to dobrze, wiedział on już, że gdy rozmowa na ten się przedmiot stacza-

ła, zawsze się datkiem i ofiarą na otarcie tych łez prawości kończyć musiała; schwycił więc kopertę ku temu przygotowaną, i wcisnąwszy ją w rękę serdecznego przyjaciela, który z roz-targnienia dłoń wcześniej trzymał z ręcznie wyciągniętą i otwartą, pożegnał gorliwego do-radzcę.

Czuła pułkownikowa Amelia dożyła dnia nareszcie wesela, oczekiwanego z biciem ser- ca, a mającego jej szczęście całego życia za- pewnić... Niecierpliwość jej rosła z dniem każ- dym, lecz indult nie nadchodził. Max prze- ciwnie, w miarę jak się zbliżał do *uwieńczenia swych ogni* (?), bardzo jakoś głowę zwiesił i osmutniał. Codzienne oglądanie powabów przyszłej żony, głośno i wcześniej czynione jej projekta, powlekły czoło jego chmurą jakiejś niewytłumaczonej melancholii.. Szczęście wła- sne zdawało się go zatrwazać. Oboje przy- szli małżonkowie smutni byli, ale ona smę- kiem dziewczyczych nadziei, on niepokojem przy- szłości.

Przypuszczony do wszystkich tajemnic toaletowych i arkanów dezabilu, Max mocno się zamyślał rachując, czy wdzięków reszty, choć dobrze i umiejętnie zakonserwowanych, potrafią na wodzy utrzymać burzliwe serce jego.

Ale kość była rzucona, indult nadszedł... Pułkownikowa melancholicznie robiła przygotowania do ślubu. Max zabierał się do wyrzeczenia przy ołtarzu swych artystycznych nadziei: oboje zgadzali się na to, że chlubić się szczęściem i ludziom niem robić oskome wcale było nieprzyzwoicie, że wypadło ślub w małym kółku przyjaciół serdecznych ograniczyć. Amelia więc prosiła tylko Anetę z matką, i starą jakąś kuzynkę, opuszczając nawet Hrabinię, która nie była bardzo zdrowa i dosyć daleko. Max wezwał Ottona i Jerzego. Miano pojechać do kościoła około południa, powrócić na obiad do domu, spędzić wieczór na pogadance, potem rozjechać się — zostawując młodą parę w najpożądańszem osamotnieniu.

Tak się też stało zgodnie z programem.

Jerzy był w żałobie, ale nie wątpiono, aby bądź co bądź, assystował Maxowi; Otto także

nie mógł naleganiom się oprzeć, choć Maxa nie bardzo lubił a Pułkownikową znał dawno i zbyt dobrze. Aneta z matką i ojcem, na którego nikt nie zwykł był uważać, bo jedynym jego obowiązkiem było nosić szale i mantylki, wołać o konie, kazać zaprzęgać i bawić cudze dzieci, jeśli by nadto krzyczały — przyjechali paradnie, strojno i świetnie. Wiedziała ona że znajdzie tu Jerzego, ale zaszłe wypadki znacznie ją ku niemu ostudziły. Jerzy téż tak był teraz siostrą zajęty, że o Anecie zapomniał.

Wielkiego namysłu i narady z matką przedmiotem było, jeszcze w domu, potem w drodze: jak Aneta miała znajdować się względem Hrabiego. Matka i ojciec wiedzieli, że zrazu go sobie życzyła, ale wówczas na postanowienie jej wpływały nieznacznie dobra które posiadał, i miliony, dziedzictwo dziś całkiem postradane. Aneta nawet nie tała teraz, że to co się jej w pierwszej chwili wydało oryginalném i piękném, trochę było przesadzoném i nie bardzo dobrego tonu. Kilka razy dała się z tém słyszeć przed matką, naturalnie potakującą... Ojciec machał ręką tak zrecznie, że nie można

było odgadnąć czy protestował, czy się dziwił... choć uwielbienie jego dla dziecka, opozycyi przypuszczać nie dozwalało.

— Może się mama dziwi—mówiła Aneta— że ja dziś trochę go inaczej sędzę, gdy zubożał; ale ja mam przyczyny ważne! Człowiek takiego charakteru jak on, będąc bogatym ma wiele środków do ukształcenia się, uspołecznienia, pozbycia szorstkości charakteru. Stosunki, pieniądze same, są to sposoby zmięczenia, gdy tymczasem zostając ubogim, to wcale co innego: zdziczeje do reszty...

— To jest rozum!—zawołał ojciec— cóż to to? To Meternichowski rozum!! Ktoby to i pomyślał co ona?

— Prawdziwie, gdyby ludzie ją znali, powinni by jej stawić ołtarze!—zawołała matka.

I oboje popatrzyli na siebie, a ojciec korzystając z kataru, który go zmuszał do użycia chustki, otarł zarazem łzę rozczulenia. Matka na sucho westchnęła tylko wznosząc oczy w niebo, gdyż jej na łzy nie tak się łatwo zbierało.

Aneta obszerniej potem i łatwiej do pojęcia raczyła im wyłożyć swoją ideę i sama znalazła, że potrzeba było nieco chłodniej, ostrożniej, znajdować się względem Hrabiego.

— Przyszaje — rzekła — że na mnie dość wielkie zrobił był wrażenie w pierwszej chwili; skorzystał z tego, zbliżył się; jestem pewna że to pamięta, że zechce iść dalej; ale ja inuszę teraz być ostrożniejszą: z takimi ludźmi potrzeba się trzymać na wodzy.

Ojciec i matka schylili głowy i pojechali do Pułkownikowej, przekonani, że Aneta dopełni powinności i odpowie wysokiemu powołaniu swojemu.

Jerzy nie bez jakiegoś wzruszenia zobaczył Anetę, ale dziwnym skutkiem, po świeżem Loli wspomnieniu, w uczuciu które ona rozbudziła w jego sercu takim jakimś czystym, świeżym, niebieskim: ta piękność majestatyczna, dowcipna, szyderska, śmiała, prawie mu się wydała śmieszna... Na nieszczęście na wszystkich prawie Aneta toż samo robiła wrażenie: zrazu uniesienie niezmiernie, potem zdzi-

wienie tylko, nareszcie rozczarowanie i znużenie.

Teraz znalazł ją inną niż nosił we wspomnieniach, ale chwila żywszej rozmowy mogła ich nastroić znowu na ton, w którym zrozumieć się i sympatyzować mogli.

Jerzy przystąpił do niej ze śmiałością dawnego znajomego, który dobrze ostatnią pamiętał rozmowę; Aneta lekko skinęła mu główką, a chłopak ostudzony natychmiast, zaraz się na bok usunął.

To znowu nie zgadzało się z rachunkami Anety, która dobrze liczyć umiejąc, różne jeszcze wypadki i możebne zmiany fortuny przewidywała w oddaleniu. Poznała zaraz, że z Jerzym inaczej postępować sobie było potrzeba i że z nim do końca trafić może być niełatwo.

Tymczasem wszyscy ruszyli do kościoła, gdzie Pułkownikowej trochę się źle zrobiło, nie wiadomo z jakich powodów. Max miał minę tryumfatora, dość już sobie lekceważącego zwycięstwo.

Amelia gdy wysiadła z powozu, w którym z mężem powracała, oczy miała czerwone tro-

chę, on usta zagryzione, ale niepodobna przypuszczać znowu, aby zaraz w pierwszej godzinie jakieś nieporozumienie zajść mogło. To pewna, że jako gospodarz na dobre się zaraz rozporządzać Max zaczął w domu i niezmiernie mało do czynienia żonie zostawił, oszczędzając jej słabemu zdrowiu, pracy i kłopotu. Tę staranność posunął nawet do tego stopnia, że niektóre dyspozycje żony poodmieniał; zapewne w widokach zrobienia jej niespodzianki przyjemnej w dniu ślubu.

Zresztą pyszny był Max dnia tego, tylko z uczucia obowiązku, z typu artysty znanego nam z karykatur francuzkich, na który zrazu nadto się był wymodelował, zszedł zaraz na inny typ obywatela i półpanka, mając nadzieję z czasem zostać prototypem w tym rodzaju. Włosy nawet poświęcił w części nowemu stanowi który obierał, a wąsy za to przedłużył; i biedna Pułkownikowa zaślubiwszy genialnego artystę, z zadziwieniem znalazła się połączoną z dość prozaicznym szlachcicem, który sztukę nienawidził, wspominać o niej nie chciał, a mówił jej ciągle o koniach, wybo-

rach, obowiązkach urzędnika i t. p. Metamorfozy tego rodzaju nie są zapewne nowością, lecz szybkość z jaką się ta dokonała w kilku tygodniach przedślubnych, czyniła ją wielce zastanawiającą.

Przy obiedzie jakimś przypadkiem, który na zręczną rachubę wyglądał, Aneta znalazła się przy Jerzym; ale Juraś był zastygły i zamyślony. Nie chcąc go zupełnie zrażać, zaczęła z nim powolną rozmowę, trzymając ją w chłodniejszej sferze ogólników.

Ale rozmowa taka doskonała być mogła z wyłamanym człowiekiem, przywykłym do świata, do jego półsłówki, do nastrajania się w pewien ton potrzebny, zmieniania głosu i postawy, a nawet myśli jak wypadało; z Jurasiem na którym step i zdziczenie znać jeszcze było, który zawsze był sobą nie umiając udawać, gra ta jakoś nie szła raźnie. Zbijał on nieraz z siodła najwprawniejszych szermierzy jedném zapytaniem wprost otwarcie i szczerze zmierzającym do celu i łamiącym rusztowania, które tak zgrabnie budują ci, co nic lepszego do czynienia nie mają; z nim potrzeba było

albo być otwartym, lub dobrze przynajmniej szczerowość udawać.

Aneta sama nie wiedziała dobrze jak to zrobić, żeby się i swęj przeszłości nie zaprzęć, i tęg rozmowie pierwszęg, w któręg zadaleko zaszła nie skłamać, i chłopca nie zrażać. Zbyt była pewna że go pochwyci gdy zechce, gniewał ją chłód na jaki trafiła, nie domyślała się, że wspomnienie Loli szkodziło jęg w sercu Jerzego,

Obojętność jego już ją gniewać zaczynała, musiała mu pokazać znowu i ten warkocz tak bujny, że piękną jęg główkę przechylał, i białą wytoczoną rączkę, i trochę ramion marmurowych, które kaskadą śnieżną cudnie spływały w bogate fałdy sukienki. Aneta wiedziała że i te środki skutkują, że dla wielu ramiona i postawa tyle mówią co oczy i usta—bo wszystko jest symboliczne w kobiecie.

Jerzy znalazł ją też cudownie piękną, a strojne weselne ubranie, czyniło z niej istotnie zachwycający obrazek. Miała suknię czarną z materyi ciężkięg, z koronkami, przystrojoną w koralowe gałęzie; takież wieniec na głowie, i bransolety na rękach, a białe jęg ramiona wśród te-

go czarnego tła i ponsowych ozdób, ślicznie odbijały, rumieniąc się chwilami jakby przyplływającą falą życia, która pod atlasowém przezroczem skóry płynęła gorącym strumieniem... Dlaczego istoty, w których najmniej jest płomienia i uczucia, często się nam tak ognistemi i namiętnemi wydają? — trudna to do rozwiązania zagadka. Może to życie, które z nich tryska całe na zewnątrz, wyczerpuje się tém właśnie; może iskra tlejąca żywo, potrzebuje istotnie szarego popiołu, któryby ją okrywał, ażeby nie zagasła. Któż to wie? kto to powie? Dość że Aneta miała chwilami postać muzy natchnionej, chwilami rozognionej szałem bachantki, a w piersi jej, a w główce były tylko falami ostygłemi próżność i zimne rachuby.

Powoli jednak zrazu chłodna, ożywiać się zaczęła rozmowa. Jerzy uczuł się pociągniętym ku temu zjawisku, które go nęciło samą swą niespodzianą obojętnością.

— Powiedzże mi pan, jeśli o to spytać wolno — odezwała się w końcu Aneta — jakie są jego na przyszłość projekta?

— Będę na wsi/gospodarzył.

— A! to nie zabawne, — zawołała śmiejąc się—z temi chłopami, z tą rolą, a w dodatku kłóć się jeszcze z chmurami, z wiatrami, z deszczem, jak czasem papa w czasie żniwa stoi w oknie i fladze pięść pokazuje...

— Ja mam więcej cierpliwości.

— I ręczę, że pan marzysz sielankę?

— Nie, zbyt blisko dotknąłem się rzeczywistości, żebym pisał eklogi, a Wirgiliuszowskie bardzo mi się zawsze wydawały nudne: pastusi Sabiny inaczej bawić się musieli...

— Jednak to coś będzie nakształt sielanki...

— Nie! konie, myślistwo, życie napół rycerskie, nawpół rolnicze, jak za dawnych czasów.

— Ale to coś dzikiego.

— I ja jestem trochę dziki: myślę nawet, że trochę dzikościby nam nie zawadziło.

Aneta popatrzyła nań ciekawie.

— Wszakże cywilizacya zależy na tém, aby tę pierwotną szorstkość zetrzeć z siebie?

— Szorstkość zewnętrzna to nic, ale wewnętrzna siła pozostać i wzrosnąć powinna:

zaczyna się od pierwszej, a potem i drugiej się wyrzeka.

— Pan masz bardzo dziwne pojęcia! — rzekła Aneta.

— Tak mnie Bóg stworzył.

— Mówiono nam, żeś pan odrzucił co mu stryj ofiarował, nawet znaczną bardzo majątność?

Jerzy się uśmiechnął.

— Odrzuciłem, bo mi się to nie należało, a dary się przyjmują chyba wówczas, gdy pochodzą od tych, których się kocha, lub gdy człek rąk nie ma i żebrakiem siedzi nad drogą.

— Ale to była trochę tylko restytucya, — odparła Aneta.

— Nie rozumiem tego; nic mi nie należało: nie mówmy o tem. Spadek po ojcu został rozporządzony, za cóż miałem brać nagrodę?

— I mówią jeszcze, żeś pan mógł nawet wszystko odzyskać?

— Mógłbym, ale — nie chcę.

Aneta popatrzyła nań z góry zdziwiona.

— Czy pan i z kobietą tak bybyś dumny jak i z majątkiem? — spytała.

— Gdybym kochał, — rzekł Jerzy, — wierzyłbym, że miłość się nie kupuje ani wywalcza: przychodzi, narzuca się, jest konieczną lub istnieć nie może. Starać się o nią, to procesować się o majątek.

— Lecz przypuść pan gwałtowną namiętność?

— Żadnaby mię nie zmusiła do poświęcenia kobiety dla siebie, do ujmowania jęj pochlebstwem, do przekupstwa.

— Cóż to za dziwne teorye! A cóżbyś pan robił gdybyś kochał?

— Nic: tyłkoby kochał z całej duszy.

— Choćby nie kochany.

— Zawsze.

— Bez nadziei?

— Na wieki.

— Myślisz pan, że miłość może być wieczną?

— Jeśli jest miłością; jeśli jest fantazyją, zabawką, namiętnością tylko, to co innego.

— A! a! miłość pana jest książkowa i idealna.

— Nie wcale, jest taką jakiejś pojęcie przynosimy na świat z sobą, a psujemy je potem obcinając aż się nam na starość suchy z mięjszkielet zostanie.

Spojrzenie Jerzego zelektryzowało Anetę; zimna istota poczuła jakieś wzruszenie, jakieś pragnienie zbliżenia się do tego człowieka, który tak śmiało mówił co myślał, a obiecywał tak wiele.

Że często przychodzimy z rachubą chłodną tam, gdzie nas potem chwyta gorące uczucie, że wpadamy w zastawione przez nas samych sidła... któż tego nie wie? Ileżto razy człowiek upada, gdzie myślał tryumfować? Tak prawie stało się z Anetą, której warkocz nie związał serca Jurasia, ręka nie pochwyciła serca, ramiona nie uwięziły wejrzeń namiętnych, a dość było jednego spojrzenia młodego chłopaka i kilku słów śmiałych, by dziewczę to zimne, rachujące na zwycięstwo, uczuło się niespo-

kojnym i zachwianym. Spuściła głowę powoli, zadumała się.

— A! — rzekła ciszej, — gdyby to taka miłość była na świecie?

— Ktoś tam powiedział i słusznie, — dodał Jerzy, — że nie ma poczwary wymarzonej najbujniejszą fantazyą człowieka, którejby prototyp poszukawszy nie znalazł się w naturze. Jeśli tak jest ze stworzeniami, czemuż nie z uczuciami raczej? Człowiek nie może wymarzyć niepodobieństwa, natura kładzie mu granice i nie puszcza po za nie...

— Więc taka miłość byłaby możliwą?

— Nie wiele o tem myślałem, — rzekł Jerzy, — i nie kochałem nigdy. Gdybym się zebrał na miłość, kochałbym raz, na wieki; tak mi się przynajmniej zdaje. Czytałem coś o tem i myślę sobie, że wielkim trafem czasami spotykają się dwie dusze, co dla siebie stworzone były tak, że jedna do życia drugiej jest potrzebną, a gdy się znajdą i dusze i serca i umysły tak sympatyczne, wówczas raz zbliżone oderwać się od siebie nie mogą: następuje Abelardowska miłość... Ale na ten wypadek

ileż prób nieszczęśliwych, ile miłości nie anielskich a czysto ludzkich, zwierzęcych, śmiesznych lub tylko granych na zimno i bez poklasku!!

— Mówisz pan, że nie wiele o tém myślałeś: ja znajduję przeciwnie... Nie sądziszże, iż jest potrzebą duszy miłość? że kochać potrzeba choćby się omylić?

— Wiem, że rwie się serce ku uczuciu temu, ale to tak jak dziecię do gwiazdy, jak bezsilny chciałby wzlecieć, jak niemy przemówić pragnie... ale umieramy z zaschłemi od żądz ustami, choć często przepojeni tém, co nie gasi pragnienia.

I szła tak rozmowa, a po niej stało się coś dziwnego z Anetą: zmieniła się, straciła śmiałość, łza jakaś błąkała się po jej oku; osłoniła ramiona, zapomniała o warkoczu, pobiegła do matki szepcząc jej, aby Jerzego zaprosiła do siebie, ojcu aby się z nim bliżej zapoznał.

— Ale sama uważałaś, moje dziecię,— rzekła powolna matka— że może nie byłoby dobrze nazbyt go ośmielać.

— Dziś go lepiej poznałam...

— A, już jeśli ona go lepiej poznała, — podchwycił ojciec składając ręce jak do modlitwy — to nie ma co mówić, moja duszko. Ja lecę go zaraz jakoś ująć! Ale jakby go ująć?

Matka spojrzała na córkę i instynktowo jakoś się przełęka.

— Jaka ty jesteś zmieniona! co ci to jest?

— Mnie! nic! Ale cóż mama uważa we mnie?

— Ale ona śliczniutka! niezmieniona! tylko taka zaanimowana, — przerwał ojciec żywo. — Anastazyja trąciła go łokciem i umilkł zaraz, spoglądając po sali.

— Czy mam do niego pójść? — zapytał.

— Niech ojciec idzie.

Ojciec natychmiast zatoczył się posłuszny, złożył mantylkę którą trzymał, na krzesło, i poszedł z ukosa kołując do Jerzego. Stał, założył ręce w tył, co uwydatniło jego okrągły brzusek i uśmiechając się rzekł po namyśle:

— Hm? czemu to pan nas nie odwiedzisz?

— Ja? — rzekł Jerzy, — bardzo panu wdzięczny, ale dotąd nie miałem czasu.

— Otóż to jest, i ja nigdy nie mam czasu; to prawda: bo któż, proszę pana, ma czas? Ale odwiedź nas pan jednak: moja żona bardzo sobie tego życzy, a i Anetka nasza także.

— Bardzo mi będzie przyjemnie.

— Gdzież pan teraz mieszka?

— Przebywam w Robowie.

— Tak, u Ottona Marzyckiego, pół mili, nie daleko; droga na karczemkę, pan wie, gdzie kiepski mostek: ale ja go każę naprawić.

Potém chrząknął i zamilkł myśląc czy tego już dosyć, ale mu się zdawało, że było za mało.

— Bardzo nam będzie przyjemnie—dodał — żyjemy ustronnie, gości tak miłych jak Wpan dobrodziej miewamy mało: będziesz nam wielce pożądanym. Pan gra w warcaby?—zapytał niespodzianie.

— Nie! — odparł zdziwiony Jerzy, — nie.

— A! to ja pana nauczę: gra mądra i zabawna.

Na tém się już skończyło. Rozmowa i zaproszenie nie były zbyt zachęcające, ale wnet

zbliżyła się i mama z uśmiechem, a Juraś zdziwiony tą grzecznością, której pierwsze z nimi spotkanie nie obiecywało, musiał z nią teraz odbyć tę samą zaproszenia ceremonią.

— Ale pan nas odwiedzi! ale pan musi być u nas! tak mało miewamy osób.

Ledwie się z nimi rozstał Jerzy, gdy Otto wziął go na bok.

— Słuchaj-no, — rzekł — ci ludzie widocznie cię łapią: czy się im dasz złapać?

— Złapać? nie.

— Panna piękna i posażna, ale koziołek.

— No, nie obawiaj się o mnie — odparł Jerzy, — wdzięczny ci jestem za przestrożę, ale nie sądzę, by serce złapać się dało.

— Owszem, — rzekł Otto, — za serce się chwyta; trzeba je dobrze znać, by wiedzieć co jego bicie znaczy: miej się na baczności.

— Najpiękniejsza partya — dodał wciskając się Max, który już wcieliwszy się w obywatelstwo, wiedział, co która panna reprezentowała — najpiękniejsza partya w powiecie, a w dodatku ojciec i matka najniżsi słudzy i gotowi oficjaliści.

— No, ale i gotowi córki sprzymierzeńcy, na wypadek wojny—dodał śmiejąc się Otto.— Siła złego, trzech na jednego.

Gdy się to dzieje, roztkliwiona Pułkownikowa, której artysta z rąk się wymknął, zmieniając się w prozaicznego obywatela, chciała w tym dniu uroczystym, widzieć go jeszcze takim, jakim oglądała raz pierwszy objawiającego się sercu. Musiał uleść ogólnym naleganiom mąż młody i zagrał; Jerzy towarzyszył mu po dawnemu, i rozśmieli się serdecznie przypominając dawne swoje koncerty po miasteczkach, przecierpianą biędę, niedostatek, wesołe chwile nieopatrzego młodzieńczego życia, które się już dla nich obu kończyło: temu troską surowszą, drugiemu dostatkiem okupionym stratą włosów, artystycznej przyszłości i potrzeby odegrywania komedyi.

W czasie muzyki Aneta usiadła w kątku, jakby nie swoja i wpatrzyła się w piękną twarz Jerzego, tak zawsze spokojną, tak pogodną, jakby żadna burza zewnętrzna téj złotej tafli zmarszczyć nie mogła. I wydał się jój pięknym

jak Antinous, a co lepiej, pod tą twarzą czuła serce, na którym bezpiecznie złożyć było można głowę i spocząć przez życie; czuła w niém prawdę, której wartość teraz dopiero jakiś jej instykt wskazywał: zawstydzila się niemal siebie i odegrywanęj z nim komedyi.

— O mój Boże! jakże ja mu się wydać musiałam! jak on mnie osądził! on co tak kocha szczerotę, prawość, prostotę...

I przyłożyła rękę do serca, które żywo biło pierwszy raz w życiu.

— Miałabym go kochać? — spytała się siebie, — ja? com dotąd była panią mojego uczucia, com chciała być panią mojego losu? Cóż to jest? ta obawa, ten niepokój, ten smutek duszący pierś, i łzy, co mi się kręcą na powiekach? miałabym ja kochać i być ukaraną?

A jeśli on mnie kochać nie zechce? a jeśli odepchnie? a jeśli... ale nie! nie!...

Zdziwiła się i przeraziła zmianą, którą w niej jedna chwila jak iskrę elektryczną przesywając zrobiła; powiodła ręką po czole, wstrzęsła się i osmutniała, przysiadła w ciemnym kątku, co nie uszło bacznosci ludzi.

— He! he! — rzekł Max do Ottona, — rodzice koło niego tańczą, to nic; ale panna, uważasz, jak zwarzona: serduszko zakolało! dalipan! a to będzie śmieszne, doprawdy.

Jerzy, szczęściem, nie widział tego wszystkiego: wspominał niedawne dzieje, uśmiechał się do Maxa, który podwójnym zwycięstwem ozdobiwszy skronie jako mąż i wirtuoz, chodził z miną solenizanta.

— Ktoby to nam był przed kilką miesiącami wyprorokował — rzekł Jerzy, — że ty się ożenisz, a ja pójdę na zagon rolę orać.

— A dobre to były te złe czasy nasze! — zawołał Max wzdychając.

— Nie wrócą już, nie wrócą! — dodał Jerzy.

— Miěj się i ty na baczności, żeby ciebie także nie ożenili — rzekł pocichu nowożeniec — okrutnie podejrzewam Anetę, że ci już stryczek rzuciła na szyję: tylko ścisnąć.

Jerzy się uśmiechał.

— A ty — spytał Max dalej, — jak się czujesz? podobała ci się?

— Nie wiem sam, jeszcze się siebie nie spytał i przyznaję ci się tylko, że tak pociągającej kobiety w życiu nie spotkał.

Max rzucił ręką.

— No! toś już przepadł!— rzekł odchodząc.

Jerzy zamyslił się. Aneta widząc go samym, błędziła po salonie tak zręcznie, że się nareszcie zbliżyła ku niemu. Ale jakże odmienna!! Nie myślała o warkoczu, o rączce, o nóżce i ramionach; myślała o nim tylko, chciała się poprawić, chciała nie ciałem, ale duszą podnieść się do ideału. Ta nagle rozplómienna miłość dźwigała ją wysoko, a na czole jaśniała jak płomień geniuszu. Teraz w istocie była majestatycznie piękną, a uczucie tryskające z niej, tak ją przeistaczało, że Jerzy był uderzony na nowo pięknością Anety, jakby ją ujrzał raz pierwszy.

— Nie znajdujesz pan jak ja — rzekła do niego, — że wesele każde jest czegoś smutne? Nieprawdaż, że z tym dniem uroczystym przysięgi, należałoby się ukryć od oczów i obchodzić go postem i modlitwą?

— I ja nie widzę w tém nic wesołego, nic nadewszystko miłego dla nowożeńców w popisywaniu się szczęściem, które w téj chwili tak jest jeszcze niepewne.

— Przysięga! na wieki! do grobu! a! to straszna rzecz dla tych, co zimno ją sobie składają z rachuby — odezwała się Aneta.

— Miałabyś pani posądzać kogo?

— Ja? — zawołała Aneta, — ale nie! Amelia kocha jak ósmnastoletnia dziewczeczka, on jak dwudziestoletni artysta, który nie miał rodziny ni dachu.

Przeszli parę razy po pokoju z sobą, i Aneta spytała go znowu, ale innym głosem i ze wzruszeniem widoczném:

— Wszak nas pan odwiedzisz? Śmieję się pan ze mnie, jeśli chcesz, ale dwa razy go tylko widząc, czuję się jakby starą znajomą, której potrzebą stał się widok tej twarzy i dźwięk tego głosu. Może zanadto mówię, ale chcę być szczerą:

— O, dziękuję pani — zawołał Jerzy — taką tylko pojmuję kobietę, szczerą, prostą, mówiącą co myśli, i właśnie dlatego, że mi to pani mówisz, ja pewnie więcej w tém nie będę szukać nad to, co znaczy słowo; a dowód jej dobroci i współczucia dla sieroty głęboko mnie porusza...

— Przyjedź pan! przyjedź— dodała cichszym głosem.

Ale wtém papa nadszedł oznajmując, że konie czekały, i niosąc mantylki, które ze szczególną gracyą umiał, udrapowane na lewym ręku, z miejsca na miejsce przenosić.

— Kochana Anetko— rzekł— jedziemy, a pana dobrodzieja czekać będziemy i wyglądać w Koniuszynie.

— Dziękuję państwu za ich dobroć..

Otto brał także za kapelusz, ale Max wstrzymał go z gorączkowym niepokojem.

— Chwilkę tylko: musicie ze mną wypić kielich rozstania z kawalerskiém życiem, którego wrota już się niepowrotnie zamknęły za mną. Czuję, jakby Orfeusz wstępujący do... do tego co się dziś nie mówi... okrutny trzask ich zamka i pisk nie smarowanych wrzeczadźców.

Pani Pułkownikowa tak była szczęśliwa, że się chętnie zgodziła na jeszcze jeden kielich, choć Max już kilka zbytecznych miał na sumieniu: przyniesiono puhar dorodny, napełniono i odjeżdżający musieli wychylić z kolei. Ale toast ten oficjalnie zwał się życzeniem

szczęścia dla małżonków, a nie owym pożegnaniem Maxa wiwatem. I pito go przyklękając, a Amelia rozplakała się rzucając na szyję Maxowi, który za tę pieszczotę, ledwie się zdawkową monetą pocałunku, na czole złożonego, wypłacił.

Noc już była, gdy Otto z Jerzym odjechali z przed ganku dworu Pułkownikowej, a dzisiejszej pani Maxowej Fermer, i zadumani oba ruszyli do Robowa. Długo bardzo milczeli, wreszcie Otto przerwał zamyslenie, biorąc rękę towarzysza i wstrząsając nią silnie:

— Słuchaj, mój młody przyjacielu — rzekł — znamy się dosyć dawno; jużem miał nawet czas pokochać ciebie, a bardzo mało jeszcze wiem twojej przeszłości. Często pytasz mnie o radę: jeśli myślisz, że ci się na co przydać może i chcesz, by była skuteczną, powiedzże mi szczerze a otwarcie, jak na spowiedzi, całą przeszłość twoją. Wiem, że się jej wstydzisz nie będziesz, przekonany jestem, że czysta: wybac mi żem jej trochę ciekawy...

— Nie mam powodu nic taić, choć i pochwalić się nie mam z czém tak dalece... Powiem ci najprzód szczerze, kochany mój mentorze, że jeslim cały lub nie bardzo połamany wyszedł z przeszłości, to wielkie szczęście i Boża opieka nademną. Znałeś mojego ojca, jak wiem, aleś go znał młodym na ławie szkolnej, a potem widziałeś tylko parę razy już złamanego sieroctwem: nie widywałeś go w chwili życia, w której właściwie był sobą... Dziś zimniej i bezstronniej wpatrując się w tę postać, inaczej ją widzę i sędzę jak wprzód, ale w dzieciństwie, jak zapamiętam przedstawił mi się groźnym i straszliwym widmem. Był to charakter twardy, nieugięty, który sobie wmówił potrzebę egoizmu mimo serca, i do zimno narzuconego planu gwałtownie nagiął życie całe.

Nie poddać się, nie ustąpić, okazywać hart niezłomny, było jego głównem zadaniem; szczerze i otwarcie wyznawać uczciwy ale chłodny egoizm, i wziąć go za podstawę życia, stało się jego marzeniem. Otwartość posuwał aż do przesady, miłości i przywiązania strzegł się jako uczuć osłabiających człowieka. Były to

usterki więcej z planu niż z serca pochodzące. Od dzieciństwa, gdyż matki mojej nie pamiętam, jak zasięgnę myślą, pomnę jego tylko żelazną ręką usiłującego ze mnie zrobić istotę, któraby tak była zastaloną, aby jej nic w świecie przełamać i skruszyć nie mogło. Na dosyć z natury drażliwym chłopcu, który się nie łatwo uginał, ta metoda wychowania, w której miłość nie miała udziału (bo ojciec mój mawiał: że dziecka do uczucia, którego w świecie nie znajdzie, przyzwyczajając niepotrzeba) robiła wrażenie męczarni. Ciało i duszę moję usiłowano ciągle zatwardzać i hartować, oblewano zimną wodą i przestrogami surowemi, wdrażano do niedostatku, do głodu, do chłodu, do pracy, a nigdy ani uśmiechu, ani uścisku nie znałem: grozę, karę, przestrach tylko. Dopókim jeszcze był w domu z nauczycielem, stan mój, jakkolwiek okropny i ciężki, był jeszcze znośniejszy: nie miałem go z czem porównać; zdawać mi się mogło, że wszystkie dzieci równie surowo się wychowują: lecz gdy z planu ojca wypadło oddać mnie do szkół, a tu sam jeden znalazłem się w takiej ryzie,

wśród innych mających pieśczęoty, swobody i wygodki życia, poczęło we mnie burzyć się wszystko i stan mój jaśniej przedstawił się oczom. Towarzysze moi wyśmiewali odarte suknie, utrzymanie ubogie, niewolą w jakiej zostawałem.

Postawiono mnie na stancyi z tak srogimi przepisy, że i jadło i suknia i najmniejsza życia przyjemnostka obrachowane zostały tak, abym nie poczuł nad sobą opieki serdecznej, ale jakby nieustanne tylko prześladowanie... W końcu obejście takie, przy otwierających mi oczy złośliwem szyderstwem towarzyszach, litości obcych, doprowadziło do rozpacz, do zburzenia.

Przyczyniło się jeszcze do rozwinięcia tych uczuć we mnie to, że byłem celem powszechnej litości, uzaleń, że mnie prawie pokazywano palcami, że mi, jak nędzarzowi każdy obcy starał się czemś wynagrodzić te męczarnie, które uznaniem całego świata, niesłusznie ponosiłem.

Do osób które szczególnie losem się moim zajmowały, należała niejaka Izabella Morosz,

podżyła już panna, znająca moją rodzinę i ojca.

— Wiem—odrzekł Otto—ale ty nie wiesz może, że ojciec twój w młodości starał się o nią, a potem porzucił.

— Były to okoliczności całkiem mi naówczas nieznane, ale panna Izabella szczególnie losem się moim zajmować zaczęła. Sprowadzano mnie ukradkiem powracającego ze szkoły do stancyi towarzysza, gdzie i ona przychodziła; pojono, karmiono, dawano pieniądze, a skutkiem tego wszystkiego było, że mi mój stan, moje sieroctwo i opuszczenie coraz bardziej dojmować zaczęły, żem sobie ojca wystawił jako nieprzyjaciela, a jego obejście jako umyślne znęcanie się nademną.

Oprócz innych przyjaciół i towarzyszków, na jednej ze mną ławie siedzących, szczególnie jeden przywiązał się do mnie i pozyskał przyjaźń moją. Niejakie podobieństwo położen zbliżało go do mnie: był to syn starego Tatara Azulewicza, człowieka ubogiego, samem pochodzeniem swém skazanego na prześladowanie, ubóstwem na upokorzenie. Nie ma nic nielitości-

wszego nad dzieciństwo: mimo pokory, cichości, potulności Azulewicza, w klasie był on przedmiotem szyderstw nieustannych, naigrzań, figlów, a prześladowanie to, częste jeszcze żarty nauczycieli nieostrożnych, to z powodu wiary, to z twarzy niepozornej, to z niepoprawności języka, powiększały. Obaśmy cierpieli, a ja, choć uczyłem się nieźle, skutkiem rozporządzeń ojca bojącego się mojej miłości własnej, zawsze prawie na ostatniej siadywałem ławie, gdzie się z równie nieszczęśliwym Azulewiczem spotykał: ztąd pierwsza znajomość, potem przyjaźń. Tatar był mi tak wdzięcznym jak jeszcze nikt na świecie: ja jeden tylko podawałem mu rękę, mówiłem z nim, chodziłem, broniłem go w potrzebie i nie wstydziłem się braterstwa z biedakiem. Miał on ojca staruszka, dziwną postać wojaka, który zszedł na niańkę. W dość późnym wieku Pan Bóg mu dał to dziecko: matka zmarła, a stary wyhodował je sam, wychuchał, teraz w szkole sam mu bakałarzował, dozorował go: uczył się z nim razem. Niegdyś był to żołnierz, jak wszyscy prawie u nas Tatarowie, ale w potyczce jakiejś prze-

cięto mu rękę prawą tak, że choć mu się została, władać nią już nie mógł. Ożenił się tedy, osiadł na wsi na małym zagonie i powrócił do życia rolniczego. Ale tu żona zmarła, chata osmutniała, a dziecię potrzeba było wychować; Azulewicz przeniósł się więc do miasteczka, kupił małą dominę, żył nadzwyczaj ubogo, a całą swą siłę, mienie, serce i staranie, skierował na wychowanie jedynaka.

Resztę czasu poświęcał czytaniu ksiąg swoich mahometańskich, w których jakąś rozrywkę znajdował. Był to poczciwy, łagodny i cichy człowiek, a mimo to dla pochodzenia i wiary pogardzony, i jak to u nas często się dzieje, odepchnięty przesądem, dlatego, że przed stami lat jego rodzice zdala tu przyszli szukać opieki i gościny. To co z młodym Mahometem w szkole, robiono w życiu codzienném z Azulewiczem: szydzono z jego zagłębiania się w Alkoranie, z modlitwy przejętej, z przywiązania do dziecka nawet, a gdziekolwiek wszedł, pewien był że go nie minie urągowisko z wieprzowiny, obrzędów dla niego pamiątkowych i szanownych, z samego nawet prawodawcy, jego

klaczy i t. p. Dlatego usunął się on od ludzi, żył samotnie, a dziecko swe tém bardziej pieścił, im ludzie dlań byli niesprawiedliwsi.

Parę razy obroniwszy Azulewicza, stałem się dlań przyjacielem od serca; chodziliśmy odtąd razem, a chłopak przysiągł mi wiarę i przyjaźń dozogoną. Wracając ze szkoły zaproszony do ich dworku, poznałem się ze starym ojcem, który mnie przyjął ze łzami; rozpytywał, pocieszał i stał się także dla mnie przyjacielem i powiernikiem. Byłem nieco starszy od jego syna: mnie go Azulewicz zwykle powierzał, chodziliśmy parą, nierozłączni. Stary Tatar i panna Izabella osładzali mi życie, ale ich powolność dla mnie, jeszcze surowość ojca wydatniejszą czyniła; litość ich pomnażała moje niecierpliwość, potakiwania i pobłażanie wyrobiły powoli we mnie uczucie niesprawiedliwego ucisku, oburzenie, chęć uwolnienia się z pęt żelaznych.

Sam nie wiem jak w głowie mojej urosła pierwsza myśl ucieczki. Ojciec wciąż mi okazywał, że ze mnie nie był kontent; zamiast cokolwiek dać mi swobody, spróbować czy jej użyć

potrafię, związywał mnie w najmniejszych drobnostkach, niedopuszczając abym cokolwiek sam mógł pomyśleć i uczynić; karciał każde słowo, każdy postępek najniewinniejszy. Za przybyciem do Pińska przeglądał wszystkie moje papiery, badał życie, w sukniach nawet szukał powodu do gniewu. Zamiast mnie spętać, wszystko to razem rozwinęło oburzenie, przekonanie że nie był kochany, że w takim życiu wytrwać nie potrafię, że powinienem jego i siebie oswobodzić od tych męczarni. Myśl ucieczki zrodziła się w młodej głowie. P. Izabella dowiedziawszy się o niej, wcale jej wybić nie usiłowała; stary Azulewicz, z natury swej może mniej to znajdując dziwnem, że się ktoś na swobodę wyrywa, nie zgromił mnie od razu. Powzięty zamiar utkwiał w myśli, pozbyć się nie mogłem tego marzenia wolności, której tak łaknąłem, na której wspomnienie drżałem: takem się obawiał spętanej przyszłości całej.

Gdy się to dzieje, biedny Mahomet, który był słabowity jak dziecię starości, zachorzał, przestał chodzić do klaszaru, a choć ojciec z koń-

ca świata sprowadzał dlań lekarzy, choć się do ostatniej sukni na leki i środki ratowania go wyprzedał, biedne dziecko umarło.

Rozpacz ojca była straszliwa: zamknął się, płakał, tarzał po ziemi, potem zdrętwiał jak drewno. Po śmierci syna, która i dla mnie była stratą wielką, a wrażeniem niezmierném, bo widok śmierci dziwnie gorąco na młodém piętnuje się sercu, długo nie widziałem starego Azulewicza; chodziłem zapraszany do domku drugiego towarzysza, gdzie czasem znajdowałem pannę Izabellę, i tam już otwarcie mówiliśmy, radzili o ucieczce mojej.

Przyspieszyły ją i popchnęły ku temu dwie główne przyczyny: zrobiłem mały dług o którym dowiedział się ojciec, i jednego dnia później niż zwykle powróciłem do domu, o czém mu doniesiono, nie objaśniwszy żem z towarzyszami przygotowywał się do zbliżających egzaminów. Zapowiedziano mi więc, że za to na święta nie pojedę, odjęto małą pensyjkę, osadzono na chleb i wodę. Byłem już dorastającym chłopakiem, a środki tego rodzaju okrutnie mnie upokarzały.

Płaczącego prawie spotkał Azulewicz, który chodził za miasto płakać także na mogile syna; wziął mnie stary do domu, a gdy mu nieszczęście moje opowiadać zaczął i nadmienił o ucieczce, nie tylko że mnie nie odwiódł od tego, ale przekonany, że ojciec istotnie mnie nienawidzi, począł szukać sposobów jakby mi w tém dopomódz.

Przyjeżdżał co roku na Wołyń znajomy mi z Krymu, może powinowaty, niejaki Mustafa Seferowicz. Często zostawując tabun swój w Berdyczowie, dobiegał do Pińska dla widzenia się ze starym Azulewiczem, a z końmi przewędrowawszy część naszego kraju, znowu do Krymu powracał. Azulewicz poznał mnie z nim: ztąd myśl zbiegnięcia do Krymu. Przyznałem się do niej przed p. Izabellą, która mnie wcale nie wstrzymując, ofiarowała jeszcze pomoc pieniężną, jeślibym jej potrzebował. Zapaliła mi się tém głowa, a gdy ojcowska surowość coraz bardziej dolegała, plan został osnuty w chwili. Seferowicz obiecał mnie zabrać z sobą, na miejscu chłopca do koni, który mu był zmarł w drodze. Ażeby

ślady ucieczki zatrzeć, rzuciłem odzież moję nad wodą, gdzie ją później znaleziono, a sam opatrzony w zapas grosza przez pannę Izabelę, najprzód czófnem najetém, przebrany dostałem się do osady Sernickiej, potem łądem na furze chłopskiej dobiłem się do Berdyczowa. Ażeby się nie domyślano i nie wysłano pogoni, której spodziewaliśmy się wszyscy, Seferowicz nie wziął mnie z sobą aż w Bałcie, gdzieśmy już całkiem byli spokojni.

Życia, które tu prowadzić zacząłem, opisywać nie będę: nie odpowiedziało ono nadziejom moim, ale zrazu miało dla mnie wiele uroku.

Nie była to swoboda o jakiej marzyłem, bo takiej nie ma na świecie; ale ze stosunków niewolnika względem pana życia i śmierci, zszedłem na daleko znośniejsze obowiązki służki poufałego. Seferowicz był prosty, gburowaty, ale poczciwy człowiek; ludzie jego, jeszcze mniej okrzęsani: mnie książka i szkoła czegoś już więcej żądać nauczyły. Ale życie to stepowe podobało mi się, choć w niem i pustka była wielka, a podróż, pochód przez

kraj nowy, przygody drogi, noclegi pod go-
łem niebem, nawet ostrość tego tatarskiego
obyczaju, i głód który znosiłem wiedząc jego
przyczynę, nie tyle mi ciążyły. Takeśmy po-
woli dobili się do Krymu i przebywszy niezno-
śnie długą pielgrzymkę ziemiami, które w koń-
cu naprzykrzyły mi się, bom po nich więcej
obiecywał sobie, dostaliśmy się do południo-
wego brzegu, na pierwszy rzut oka pięknego
i uroczego jak raj.

Tu w orzechowych sadach, na górze miał
Seferowicz biały domek, a raczej chatę, gdzie
z-liczną mieszkał rodziną. Widok tego kraju,
cudów natury nieznanej mi a majestatycznie
pięknej, nowego obyczaju, zrazu mnie oczaro-
wały. Ale potrzeba było uczyć się języka no-
wego dla mnie, nawykać do żywota więcej
niż prostego, łamać z uprzedzeniami Tatarów,
którzy poglądali na mnie niechętnie, choć Se-
ferowicza miałem za sobą. Dla reszty byłem
brudnym Giaurem, a téj nienawiści i wstrętu,
której Azulewicz doznawał u nas, ja tu na-
wzajem doświadczyć musiałem, jeszcze się do-
tkliwiej często wyrażającej. Swobodę miałem

wielką, alem się z nią męczył okrutnie; poczułem zaraz, że i tu nie wytrzymam i tęsknota za krajem, za językiem, za twarzami do których przywykłem pędziła mnie od tych laurów, od gór, od morza które było tak piękne, a po za które uciekając myślą, nie miałem kogo tam gonić. Przebyłem w Krymie póty, póki tęsknota nie urosła prawie do choroby, do zgryzot. Seferowicz postrzegł że mnie tu przyswoić nie potrafi, choć szczerze nad tém pracował...

Z jednym Ukraincem zwiedzającym Ałusztę dostałem się jak prosty chłopak do Odesy. Dziwak to był, ale serce miał dobre, jak u nas większa część ludzi: instynkta miał poczciwe, a głowę przewróconą. I jemu tatarskie najprzód, potém czumackie smakowało życie... Spotkaliśmy się na Czatyrdachu, przemówiłem do niego znajomym językiem, alem zataił moje dzieje; dobył ze mnie tylko wielkiej za krajem tęsknoty, a że chorował właśnie na ukochanie stanu natury i powrót do prostych obyczajów, porozumieliśmy się łatwo: zabrał mnie z sobą. W drodze osnuli-

śmy najpiękniejszy w świecie projekt prowadzenia życia w stepie, z końmi razem i książkami, ożenienia cywilizacyi z naturą, hartowania się do czynnego życia i t. d.

Ale przyjechawszy z nim do Odessy, postrzegłem już, że przyszedł syn przyrody, co tak miał twarde wieść życie, przedzierzgnął się tymczasowo na eleganta: balował, hulał i dopiero gdy mu pieniędzy i kredytu nie stało, ruszył nareszcie na wieś razem ze mną. Był to sierota i jedynak bogaty. Wróciwszy na wieś, zajął się powoli doprowadzeniem planu swojego do skutku, ale na tém się skończyło żeśmy grywali, czytali po dniach i nocach, a ja za dwóch jeździłem konno, polowałem i koniuszowałem przy pięknem jego stadzie. Panicz zawsze na jutro początek hartowania się odkładał.

Nie wydałem się przed nim wcale kim byłem, przezwałem się Janko Zbój, i podmieszony przez niego zostałem do stopnia bohatera romansu. Nie powiem, żebym nie był rad z mojego stanu. U niego zetknąłem się z całą podobnych jemu młodych ludzi czereda,

którzy prawiec nieustannie o harcie, zapijali szampana, zjadali przysmaki, jeździli konno czasem i uganiali się z chartami po stepie; ale dogodziwszy młodzieńczej fantazyi, szczebiotali potem po francuzku w salonach, i w glansowanych rękawiczkach lepszą część życia spędzali.

Mnie tu dosyć było dobrze, podbudzony do urzeczywistnienia myśli mojej, bujałem swobodny, utworzywszy sobie życie całkiem nowe. To co dla nich było wyjątkowem, dla mnie się stało zwyczajem. Ubrany w prostą odzież chłopską, dzień spędzałem w stepie, na koniu, z prostym ludem, potem wieczory u fortepianu, z książką, lub w towarzystwie młodzieży, która sympatyzowała ze mną; ale tak znowu surowo spełniać co się jój pięknem wydawało, nie była w stanie. Jadłem tylko proste potrawy, nie pijałem nic, wstrzeźliwość i surowość moja zjednały mi zarazem podziw i śmiechy. Jeszcze, sądzę, krążyć i tam muszą podania o tym Janku Zbóju, który potem znikł im bez wieści. Szczęściem dla mnie, dla mody i na pokaz było wiele książek u Ge-

rarda; mogłem nie zardzewieć, i czego mi brakło, chciałem czytaniem dopełnić.

Jako majątny pan potrzebował mieć nowości wszelkie na stoliku: trzech księgarzów przysyłałi mu je całemi pakami z różnych stron świata; służący je rozbierał, rozcinał, rozrzucał po stolikach i chował stare, gdy nowe nadeszły: właściciel nigdy nie tykał, prócz romansów sławniejszych i dramatów. Miałem to wszystko do swobodnego użycia; a choć wśród tych nowości dużo było śmiecia, trafiały się rzeczy poważne i dobre, które księgarze choć tędy przepchnąć usiłowali. Biblioteczce Gerarda winienem, że nie zamarł i nie upadł całkowicie: czytanie stało mi się potrzebą, nałogiem, koniecznością.

Gerard dosyć mnie lubił, byłem mu też trochę potrzebny, bo miał wielkie stada, konie kosztowne, a ja przyjąłem na siebie cały zarząd stajen; często wyłączałem go w gospodarstwie i brałem na siebie co tylko mu ciążyło. Zjawiałem się w jego salonie kiedy chciałem, siedziałem póki mnie to bawiło, odchodziłem z zupełną swobodą. Byliśmy na stopie

poufałej przyjaźni, zresztą nie nadużywałem jego życzliwości, bom prawie nic od niego nie potrzebowałem. Z Krymu przysłał mi Seferowicz kilkanaście koni, które tam sobie kupiłem; ze sprzedaży ich amatorom wpłynął mi grosz dosyć znaczny: miałem zapas nienaruszony. Gerard chętnieby mi był swój worek otworzył, ałem z niego czerpać nie chciał.

Po roku pobytu w Zasiłowcach u Gerarda, jużem go tak znał, że tu sobie nadziei długiego pobytu budować nie mógł. Wychowanie i jedynactwo tak go zepsuły i rozbijały, jak mnie ucisk i surowość, ale w inny sposób.

Chęci miał najlepsze, wytrwania w niczem; przy dobrém sercu fantazyą, kaprysy i dumę niewypowiedzianą. Rzadko z kim w zgodzie wytrwał długo, ze mną z wielu powodów trzymał się jeszcze, ale jużemy kilka zwałych mieli utarczek, i wiedziałem że się to prędzej później skończy jakąś awanturą.

Życie w tej ukraińskiej rezydencyi, świeżo, bo dopiero przez ojca Gerarda, który na dzierżawach z małego człowieka doszedł obrotami i pracą do milionowego majątku, wystawio-

nej, tak szło oryginalnie, jak oryginalne było to obozowisko w którym mieszkaliśmy.

Zasipowce wieś ogromna, do ośmiuset dusz licząca, w czarnej ziemi położona, nad kilka ogromnemi stawami, w zielonych sadach, miała obszerne niezmiernie i rozległe pola. Oprócz tego należały do niej dwie inne wioski równie ludne i bogate. Stanowiło to klucz, który, jak sędzę, ze dwakroć sto tysięcy przy złém gospodarstwie mógł robić dochodu, a kupiony był przez ojca Gerarda za niespełna tyle co dawał intraty i to wypłaconego nabytymi długami, i kapanią. Ojciec, gospodarz skrzętny i zabiegły, zostawił tu synowi stada koni, owiec, gorzelnię i co tylko było potrzeba do użytkowania ze ślicznego dziedzictwa tego, tylko domu nie miał czasu zbudować.

Mieszkaliśmy więc w folwarku starym, do którego różnemi czasy doklecono kilka salonów i pokojów, pod słomą, z dziedzińcem gołym i bez drzewka. Założony na górze ogród i fundamenta pałacu, zostały jak je osnuto: pierwszy miał więcej kołków niż zieleni, drugie kisły od deszczów pod lichem pokryciem.

Zdaleka przybywając do Zasipowiec, ani się domyśleć było można wewnętrznego w nich przepychu. Pod tym dachem słomianym, wśród ścian oblepianych naprędce co wiosna i co jesień odpadających, najwytworniejsze mieściły się meble, brzozy, dywany, nagromadzone tak obficie, że na pałacby starczyły.

Niewiele może było w tym smaku, ale im napozór dwór był lichszy, tym Gerard starał się dobitniej dowieść przybywającym gościom, że nie brakłoby mu na postawienie pałacu, gdyby go sobie życzył. Grał im rolę syna stepu, Ukraińca, myśliwca, tylko w pewnych danych dniach gdy mu do tego przyszła ochota; ale wolał życie wygodne, miękkie, swobodne, powiedzmy prawdę, próżniacze, a niczém nie wstrzymywany, robił tylko to, co mu się podobało. Częstośmy się o to sprzeciali: on dowodził że zbytek go nudził, że tylko towarzystwo drugich pchało go ku niemu; ja się śmiałem z tego otwarcie, okazując mu że nie miał hartu ani siły do trybu życia, jaki ja prowadziłem. Jak najczęściej ludzie słabi, Gerard stał o to najwięcej, czego mu w istocie

brakło. Oburzały mnie hulanki, które często wracając z moich wycieczek zastawałem w domu, i orgie naśladowane niedołęźnie, wśród których rozprawiano o życiu ostrém, o stepie, o kozactwie, o prostocie obyczaju, polewając je szampanem i burgundem, utilając przytomnością biednych istot uwiedzionych, na których dla chwili pańskiej fantazyi, na wieki piętno spodlenia i rozpusty zostać miało. Klóciłiśmy się o to i wychodziłem niemogąc patrzeć na to ich rozpasanie. Nie wiem jak się stało, że młody, młodszy od nich daleko ciałem i duchem, nie uległem przykładowi, nie poświęciłem dla szalu moich i jasno jeszcze nie wyrobionych myśli o obowiązkach życia. Wstyd jakiś dziewiczy wstrzymywał mnie zapewne.

Nareszcie przygoda spodziewana zerwała stosunki nasze z Gerardem. W Zasipowcach nad jeziorem mieszkał zamożny mielnik Iwan Prochor, który miał śliczną czarnobrewą córkę. Rzadkie są wśród ludu prawdziwie piękne twarze, ale gdy się tam trafi kwiatek, to doprawdy już cud; taką była Marysia, a że

ojca miała bardzo zamożnego, który ją pieścił i kochał, choć nie wyszła z życia wieśniaczego, trzymała się biało, strojnie, wykwintnie, wyglądała jak laleczka. Zawsze strojna nawet na codzien, przybrana zalotnie, Marysia podobniejszą była do przebranej panienki, niż do prostej chłopki.

Piosenki ukraińskie wykołysały ją do życia, więc to było tęskne jakieś, rozmarzone, naiwne, spragnione i ciekawe życia, chwilami trzpiotowate jak dziecina. W moich wycieczkach po wsi i polach, często spotykałem Marysię, alem z nią prawie nie mówił; dopiero sam jej ojciec mielnik stary, widząc mój rodzaj życia, upodobanie w podaniach i pieśniach ludowych, wprowadził mnie do chaty i z córką zapoznał. Byliśmy z nim jakoś w przyjaźni, alem umyślnie unikał dziewczęcia, co mi się samo nastręczało, bo ładna jego twarzyczka, świeże usta i uśmiech nie robiły mi innego wrażenia nad smutne przecucie losu, jaki ją czekał, gdy w pracy i zdziżeniu uwiędnąć miała.

Gerard, który wcale sobie z tego nie robił

wyrzutów sumienia, szukając łatwych po wsi miłostek, rzucił okiem na Marysię. Począł podjeżdżać pod różnemi pozorami do chaty mielnika, przywozić korale i dziewczę wszelkimi sposoby wyzywać do dworu. Ojciec porozumiał rzecz i zląkł się sromoty, ja obaczywszy to, oburzyłem się, aż gdy Gerard nie tail się z planem pochwylenia Marysi, którą miał zaraz wywieźć do Odessy, by ją tam na panienkę przestroić, odkrywszy co było wszystkim prócz mnie wiadome, stanąłem przed nim z gorzkimi wymówkami.

Namiętnością rozhukana fantazyja, już w nim była górę wzięła, ścięliśmy się bardzo ostro.

— Słuchaj,—zawołał Gerard, — ktoś ty jest, żebyś mi tu nauki dawał? Jakiem prawem śmiesz mi się rzucać w oczy?

— Prawem jakie mi dają własne twoje, głoszone codziennie zasady, twoja miłość dla ludu, zalecanie sprawiedliwości.

— Co to ma do tego?

— Jakto! więc słowa nie obowiązują do czynu? Będziesz drugim polecał czystość, a samemu brukać ci się wolno? Wieszże jaki los

gotujesz tój istocie, którą poświęcasz chwilowej fantazy?

— Pewnie lepszy niż tutaj.

— Jaki przykład dajesz ludziom?

— Nie potrzebuję nauki.

— Potrzebujesz jej i misisz mnie słuchać: radzę ci dobrze.

— Nie chcę rady.

— Nie chce jej nigdy namiętność, ale obowiązkiem jest dla mnie dać ci ją. Ja na krzywdę starego mielnika nie pozwolę. Robiłeś coś chciał z innemi: na krzywdę tego dziecka nie pozwolę.

— Co to jest nie pozwolę? tybys śmiał?

— Co znaczy to ty? — spytałem.

— Ty, znaczy sługa...

— Ja! twój sługa: któż ci to powiedział?

— Jiesz mój chleb.

— Ale pracuję i pracuję jako przyjaciel.

— Nie chcę takich przyjaciół.

— Gerardzie, — zawołałem, — zapominasz się.

— Włóczęga jakiś, — rzekł Gerard.

— Mileżże! — krzyknąłem, — jeśli chcesz wyjść cało.

— To ty milcz.

Przyszlśmy tak do słów grubych, wreszcie do pistoletów; biliśmy się: postrzeliłem go i uchożyć musiałem. Wprawdzie raniony, podał mi rękę, uznał że miał słusność, ale powrócić nie chciał i poszedłem w świat dalej. Zapas mój zmniejszył się, bom go pożyczył w potrzebie Gerardowi; ten nie pomyślał aby mi oddać, a jam czekać i upominać się nie chciał.

Błądząc po Ukrainie, dostałem się znowu na koniuszego do jednego hrabiego, ale w tydzień rozstać się z nim musiałem, bośmy się nie mogli porozumieć o stanowisko nasze.

Jakiś czas wędrowałem po wioskach i siadywałem po chatach wieśniaczych nad Dnieprem, pół roku nawet parobkowałem u starego kozaka. I nie poskarżę się na to życie i zbliżenie się do ludu. Nie powiem by to byli święci, ale porachowawszy ubóstwo, brak wszelkiej oświaty, jakież to cudo, że ów lud żyjąc samą pieśnią, podaniem i powietrzem, jeszcze jest takim, jakim go widzimy: tak w duszy poczciwym, tak

rozumnym, tak silnym. Co go trzymał i ho-
duje? Bóg jeden wie. Ja podziwiam go i ko-
rzę się przed prostaczkami, jak niepojętym dla
mnie zjawiskiem. Wiele więcej mamy aby być
lepszemi, a o ile w istocie lepszemi jesteśmy:
nie wiem. Nauka prowadzi nas tylko do ma-
tactwa i szachrowania z sumieniem. Czyśmy
łagodniejsi w istocie? czy tylko napozór, czy
mniej namiętni? czy jaśniej widzimy stosunek
społeczny my z góry niż oni z dołu? Ale tém
cię nudzić nie będę—dodał Jerzy.

. — Długożeś się tak włóczył po chatach?—
spytał Otto.

— Kilka miesięcy, rok może, a ręczę ci, że
mnie tam przyjmowano gościnniej może,
z większém zaufaniem i wiarą, niż w innych
sferach; a tak mi było swobodnie, tak dobrze
w tém życiu, że go nigdy nie zapomnę. Tró-
chę tylko tęskniłem po książkach, po rozmo-
wach wznioślejszej treści, bom sobie z nich
w domu Gerarda, gdzie różny świat bywał,
zrobił nałóg i potrzebę. Otóż masz całą pra-
wie treść mego żywota. Z chat wieśniaczych
znowu potem przyszło mi zajrzeć do dworu:

poznałem się z ukraińskim dzierżawcą, który chodził w kożuszkach, lubił myśliwstwo i zdał mi się ciekawą postacią, graniczącą między ludem a szlachtą: mającą cnoty obojga. Był to człek już nie młody, który trochę z szablą po świecie się uwijał, szparki, żywy, wesoły, nie lubiący fraka i salonu, kochający stepy i naturę i chatę swoją. Ten namówił mnie, abym się do niego przeniósł, a że miał chłopaka wyrostka do nauki, uprzął sobie abym go uczył; na co wreszcie przystałem, bo mi już grosza zupełnie brakło. Z ojcem tedy polowaliśmy, śpiewali piosnki rusińskie, uganiali na koniach; z dzieckiem siedzieliśmy nad książką, a że była i córka, i fortepian: grywałem także, i czas mi schodził szybko a wesoło. Lucynicz byłby mnie jak najdłużej trzymał i zgodziłbym się z nim może, ale po roku znowu, moja postać, nazwisko, brak zupełny papierów i nieszczęśliwe jakieś podejrzenia o stosunki z wieśniakami, ściągnęły na mnie tak wielką i troskliwą baczność, że prawie zmuszony był uciekać. Z trochę grosza puściłem się w świat, nie wiedząc już co robić; dostałem się w miaste-

czku w ręce Maxa, i oto jak znalazłem się niespodzianie w Zarubińcach, a reszty los dopełnił.

— Ha! jest to rzecz pewna—rzekł Otto— że często najtroskliwszy ojciec nie wypiełgnuje tak dziecka jak Opatrzność, która napozór rzuca niém bez celu, jak igraszkę czyniąc, a w istocie każdym uderzeniem zostawia na niém piętno. Skorzystałeś i z chat kózaczych, i z Gerarda, i z Tatarów!

— Jestem tego pewny, nie widzę swoich wad, tak jak swojego ucha zobaczyć nie mogę; ale to co mam w sobie nie złego, winienem różnej biedzie, którą przebyłem i pocziwemu jakiemuś pierwiastkowi, który z domu wyniosłem, jak ów dzieciak w bajce, czarodziejski listek, przyległy kędyś niewidzialnie do jego sukienki.

— No? a dziś nie jesteś znowu pod wrażeniem tego życia nowego, mniej rozrzuconego, więcej skupionego; nie straciłeś trochę dzikości i tego zamiłowania swobody?

— Może się to trochę złagodziło—rzekł Jerzy—ale cygan zawsze cyganem. Jak długo

siedzę w miejscu, czuję tęsknotę; w towarzystwie jak dzisiejsze obracam się ciężko, a gdy wyjadę na pole, między drzewa i lud prosty, dopiero czuję się jak w domu.

— Jest w tém trochę dobrego — rzekł Otto — a wiele pychy, bo gdybyś jój nie miał, wszędzieby ci było jedno, tu czy gdzieindziej.

— Ojciec mi mówił toż samo — przerwał Jerzy — musi to być prawda. Być to może słabość, ale zawsze zostanie mi, nawet po oswojeniu się ze światem waszym, tęsknota za innym.

— Tak, za idealnym — rzekł Otto — to rozumiem, bo lud niestety, w którego sukmankę ubieramy nasze ideały, jeszcze nim nie jest. My w nim szukamy tylko tego Boskiego wizerunku człowieka, prostego, mądrego, dobrego, który nosimy w duszy, nie mogąc mu dorównać sami, ani go nigdzie wyszukać. A! Jerzy mój drogi, życie jest snem ideałów i bojem z rzeczywistością; nie tak nie dowodzi nieśmiertelności duszy jak ten kwiat, co w niej nieustannie rozkwita: w młodości rajskim paproci kielichem, w starości goryczą i żalobą.

Nadzieje dni pierwszych i zniechęcenie ostatnich, to dwa bieguny jednej osi, to dwie ostateczności złączone z sobą jednem pasmem życia. W pośrodku nich stoi człowiek: chwilą najboleśniejszą w życiu jego, gdy się musi wyrzec nadziei ideału, wiary, a przejść na stronę zwątpienia. Jeśli naówczas nie spojrzy w niebo, zginiony, bo ziemia ciemnością dłań i mrokiem, a żywot bydlęcym rykiem rozpaczy...

Konie zatrzymały się przed gankiem w Robowie, Martynko wstał z ławki na której siedział, oczekując ich powrotu i rozmowa nagle się przerwała. Jerzy wszedł do sypialni z głową spuszczoną, pełną obrazu Anety, z której twarzą mieszala mu się łagodna, anielska twarz Loli, patrząca nań oczyma łzawymi a uśmiechnioną ustami.

— Która z nich ideałem? — spytał siebie — czy ta słodycz i niewinność sama uskrzydłona weselem? czy ten ogień i fantazyja śmiała? gdzie prawda? gdzie szczęście? gdzie ideał?

Ale nie było odpowiedzi, szczęście wydało mu się jak Janus: dwutwarzne.

Jeszcze spokojnie przesiadywał w Robowie Jerzy, układając się o dzierżawę, na której wypuszczenie oczekiwał, gdy jednego poranku dano mu znać, że jakąś chłopską furką przybyły jegomość z bardzo pilnym interesem, koniecznie się z nim widzieć domagał.

W istocie, w pierwszym pokoju od kwan-dransa stał już ów gość w wyszarzanym wice-mundurze i łapciach, z różową twarzą i wielce poważną fizyonomią; sparty na kiju nie bez fantazyi, upominając się o JW. Hrabiego Jerzego Górę.

Strój przybysza niezwykajny, szczególnież te łapcie na nogach, jakkolwiek eleganckie, ale nie dosyć do munduru stosowne, pewne znaki niewstrzeźliwości na obliczu opryszczoném i trochę podpuchlém, sprawiały, że ludzie nań dosyć koso patrzyli, a Maciek chłopak od kredensu, zostawiwszy go sam na sam w pokoju z resztkami śniadania, srebrne sztucce instynktowo zaraz posprzątał.

Przybyły, czyto nie odgadł nieufności chłopaka, czy zdjęcie śniadania przykre na nim czyniło wrażenie, za buteleczką wódki powiódł

okiem pełnem macierzyńskiej troskliwości, i wstrzymał Maćka w zapędzie.

— Panie N... N... jak waszeci imię?

— Maciek.

— Panie Maciek... możeby się nie spieszyć z uprzątaniem, bo mam niepłonną nadzieję że mi dacie coś przekąsić, a będziesz się asindziej darmo na nowo fatygował.

Maciek z powodu téj interpelacyi gorzej jeszcze zniepokojony o los solniczek, łyżki i widelca, kiwnął tylko głową i co prędzej wyszedł. Prawie w tejże chwili ukazał się Jerzy i zmierzył p. Jana Piotra Mąkiewicza okiem nieufnem, co zaraz przeczuł urzędnik.

— Czy z JW. Hrabią Jerzym mam honor?

— Tak jest.

— A! przepraszam! stokrotnie przepraszam, jakże mi było nie domyśleć się, nie przeczuć, nie odkryć w tych rysach szlachetnych, żywego obrazu nieodżałowanego niegdyś s. p. ojca.

I oczy zakrył chustką zatabączoną.

— Tak jest — dodał tragicznie — widzisz JW. Pan przed sobą, jednego z najwierniejszych

sług i przyjaciół ojca swojego, nieoszacowanego Hrabiego, który mi nieraz powiadał: Słuchaj Mąkiewicz...

— Mam honor prezentować się — przerwał — Jan Piotr Mąkiewicz, niegdyś urzędnik, okolicznościami i tyranią losu przywiedziony do łapciów, które jednak, i *ex re* nagniotków także noszę.

— W Pan znalazłeś ojca mojego? — spytał Jerzy.

— Czy go znałem! a! panie! czym ja go znał! On był moim ojcem, przyjacielem, opiekunem, dobrodziejem, matką, mogę powiedzieć; on jeden tylko pozostał mi na świecie: tracąc go, straciłem wszystko.

I oczy znowu chustką przysłonił, zabrakło mu głosu, począł tylko kiwać głową, poszlochując nieznacznie, a po chwili dodał:

— Wzruszenie i fatyga JW. Panie... sił nawet nie miałem czém pokrzepić: głód mnie uciska.

Jerzy zadzwonił żywo.

— Proszę cię Maćku, podaj śniadanie.

Mąkiewicz na samo to słowo odzyskał trochę siły.

— Cóż pana tu sprowadza?

— Nic! nic! JW. Panie, tylko chęć oglądania tego, po kim razem z JW. Hrabią wyleliśmy tyle łez, rozmawialiśmy poufnie tyle razy, chęć służenia JW. Panu... Trzeba albowiem wiedzieć, że byłem przez Hrabiego użyty do poszukiwania śladów naszej straty, które, jeśli się znalazły, chociaż do niczego nie posłużyły (w czém вина nie moja) mnie to był winien, nie pochlebając JW. Hrabia. Tenże JW. Hrabia znał mój los, życie poświęcone dla dobra ogółu, ideę dla której pracowałem; zaszczycał mnie swém zaufaniem, wspierał radami... a! o! a!

I począł wzdychać, ale wtém wniesiono śniadanie, a z niém weszła flaszczyka starki.

Oczy Mąkiewicza zajaśniały, postawił kij, powiesił na nim czapkę, a cicho zbliżając się do stołu, przygięty wpół, kiwając głową, drżącą rękę wyciągnął do flaszki, nalał i wychylił dwa jeden po drugim kieliszki.

Jerzy stał zadumiony.

— JW. Panie— odezwał się splunąwszy i zakąsiwszy chlebem z solą Mąkiewicz — niech to JW. Pana nie dziwi, że nieszczęsna losu ofia-

ra, tak chciwie rzucam się ku tej zgubie rodu ludzkiego, ku tej truciznie, gorzałce. Ale potrzebuję żyć, sił mi braknie, a przytém, przez poświęcenie dla dobra ogółu, czystość zamiarów i nieskazitelność charakteru...

Plół już bez związku, ale jako komentarz porwał buteleczkę, kieliszek nalał i wypił raz trzeci. Jerzy zmarszczony odszedł parę kroków.

— Pozwól JW. Pan nim tajemnicę moją mu objawię, z którą tu przybyłem, trochę się po-krzepić: siły utraciłem...

— Ale cóż pana tu sprowadza — zapytał zniecierpliwiony Juraś.

— Najprzód, drogi i nieoceniony panie, pragnienie widzenia i oglądania go...

Chciał pocałować w ramię Jerzego, ale ten się cofnął.

— Potem ogromnie wielka tajemnica, której nie mogę inaczéj objawić jak podjadłszy. Umysł mój skołatany nieszczęściami publicznemi, dotknięty tylu klęskami osobistemi, tylko pod gorącym naciskiem tej nieprzyja-

ciółki rodu ludzkiego, kotłówki, ożywia się cokolwiek.

Jerzy milcząc patrzył na opoja, który przecie nabrawszy wstydu, otarł usta i zbliżył się do niego tajemniczo.

— Nikt tu nas nie posłyszysz? — spytał.

— Nikt.

— A! bo świat pełen jest nieprzyjaciół, zasadzek i szpiegostwa: pewien pan jesteś?

— Zupełnie.

— Gardło bowiem ryzykuje — rzekł z czkawką Mąkiewicz — a wrogi, które się na mnie nasiały... ale to mniejsza: rzecz idzie o JW. Pana...

— O mnie? — spytał Jerzy.

— Tak jest, nie dosyć, że JW. Pana wyzuli z fortuny, jeszcze czyhają na jego życie, zastawiając sidła.

— Na moje życie? — śmiejąc się zawołał młody chłopiec — na moje?

— Otóż to niewinność lat młodzieńczych, która w bezceństwo i złość ludzką nie wierzy! Ale przekonasz się JW. Pan.

Odciągnął na bok Jerzego, obejrzał się, chrząknął parę razy i począł:

— Najprzód, że jestem istotnym przyjacielem ś. p. ojca pańskiego i całej rodziny, poświadczy to znany i czei najgodniejszy Paweł Siermięzki, który jest moim, mogę powiedzieć najlepszym też przyjacielem; świadczy to funt tabaki, który od niego dostałem w prezencie. Ale djabelnie mocna!—dodał.

Otóż o co idzie?

— O wielką jakąś tajemnicę.

— Los, a mogę powiedzieć Bóg mi ją odkrył umyślnie, aby ocalić dni wasze!—rzekł w uniesieniu, które wódka powiększyła, Mąkiewicz—za co spodziewam się przynajmniej zwrotu kosztów na furmankę i małej indemnizacyi, bo wiem, że JW. Panu dziś może być trudno, ale choćby na świstku i cokolwiek gotówki.

— Ale mówże pan o co chodzi...

— Niecierpliwość zupełnie ojcowska! Takim on był w kwiecie wieku i sił, gdym miał szczęście dłoń jego ścisnąć póki jeszcze byłem urzędnikiem, o czem nie wiem czy wspomniałem. Ale o tém później obszerniej, gdy zjem obiad. Więc tak było JW. Panie. W Pińsku,

gdzie zwykle przemieszkuję, nie mając stałej rezydencyi i przebywając u przyjaciół moich, oddawna już przesiaduje niejaka panna Izabella Morosz, osoba pełna tajemniczości, nieużyta dla ludzi dotkniętych przez los i bardzo podejrzana. Jedni mówią że robi bankocetle, drudzy, że pożyczka na lichwę, inni, że coś zna: w co ja nie wierzę, bo to głupstwo, *tandem* kto ona? co? tego? jak? nikt nie wie. Przynień tuli się niejaki Żereba prawnik, zauszniak, z którym ja razem służyłem w sądzie, ale dziś mnie znać nie chce z powodu łapciów, a ja tego też: bierz go diabli! mniejsza o to... Ten Żereba machinuje różne sprawy z Jejmością, to rzecz pewna. Trzeba tedy takiego wypadku... Żereba stoi w oficynie domu p. Izabelli, drewnianej, a tuż przez ścianę tylko mieszka jeden mój przyjaciel, trudniący się oberżą, u którego ja czasem nocuję. Najmuje on lokal od panny Morosz, i drzwi tylko lekkie przedzielają tę izbę, w której mi daje schronienie na tapczanie, od tej w której pan Żereba ma swoją kancelaryą. Nie żebym miał występna jakąś ciekawość, ale znużony we dnie pracą

około dobra publicznego, położyłem się spocząć, i dobrze było późno, gdy mnie dwa głosy przebudziły. Wstaję tedy z mojego barłogu i słyszę, o bogu rozmowę... Chciałem zrazu krzyknąć lub zakasłać, aby przestrzedz iż tam ktoś jest, ale mi w gardle zaschło, co jest moją chroniczną chorobą, że się z tego niemożę wyleczyć.

Otóż gadają, chcę krzyknąć: nie mogę, radbym uszy pozatykać, nie wiem sam czemu nie czynię tego... instynkt zbawczy, słucham: imię JW. Pana wpada mimowolnie w ucho.

Imię to drogie, na dnie duszy zachowane, obudza pieczołowitość moję, przykładam ucho i twarz do otworu klucza i słyszę wyraźnie jak ta pani odzywa się do Żereby:

— Chciałabym go koniecznie sprowadzić do Pińska.

— Ale jakimże sposobem?— oponuje tamten.

— Najprostszym w świecie—mówi znowu pierwsza—pojechać i powiedzieć mu, że jeden z przyjaciół ojca jego, prosi i pragnie go widzieć.

— Ale z jakichże pobudek — odzywa się Że-
reba.

— Dla ważnej sprawy.

Potem znowu o JW. Hrabi była mowa,
o jego ojcu: straciłem wątek, ale struchlałem...
Spisek na życie nie chybi! Że zaś zawsze je-
stem i byłem skłonny do poświęcenia się dla
ludzkości, a ku rodzinie JW. Pana czułem obo-
wiązki, siadłem na furę i stawię się tu z prze-
strogą.

Jerzy począł się śmiać.

— Mój p. Mąkiewicz — rzekł — nie trzeba ci
było sobie tej pracy zadawać... Panna Izabella
znała mnie dzieckiem, pomagała mi gdym był
jeszcze w szkołach, cóż naturalniejszego nad
to, że chce mnie widzieć, poradzić.

— JW. Panie!! — krzyknął przestraszony
Mąkiewicz, bojąc się, by jego zachód nie był
daremny — strzeż się JW. Pan tego zgubnego
mniemania. Pozory częstokroć myślą, ostro-
żność jest obowiązkiem wszelkiego sparzone-
go człowieka, który jak ja nie chce w łapciach
chodzić. Gdybym nie ufał ludziom zbytecz-
nie i nie poświęcał się dla nich, nie przyszedł-

był do tego stanu, w jakim mnie prawość charakteru, a po części nagniotki postawiły... Więc gdy mowa o łapciach...

Ledwie się można było pozbyć Mąkiewicza, który napojony, nakarmiony i wynagrodzony, po obiedzie, wśród którego ubawiał ich opowiadaniem swojego życia, ofiar i poświęceń, i wypił flaszkę naléwki, nareszcie odjechał.

Śmiano się jeszcze z niego, gdy list z poczty odebrany, niespodzianie potwierdził to, o czém oznajmił, przynosząc Jerzemu wezwanie, aby we własnym interesie przybył do Pińska, dla widzenia się z panną Izabellą Morosz.

Jerzy nie miał tak dalece nic do czynienia i sądził, że żądającej się z nim widzieć kobiecie odmówić nie mógł; postanowił więc, mimo przerażenia Mąkiewicza i przestroóg jego, pojechać na Horycę do Pińska, i zabrać razem Pawła, a resztę starych przyjaciół pożegnać.

Nim odjechał jednakże, chciał się wprzód widzieć z Hrabinią i Lolą, za którą tęsknił; chciał przez grzeczność być raz u rodziców

Anety, bo ei już tak dalece upominali się o jego odwiedziny, że stary ojciec w granatowym fraku i nankinach przyjeżdżał w odwiedziny do Ottona, aby Jerzemu obietnicę jego przypomnieć.

Nazajutrz zaś po tej natarczywej wizycie, Juraś namówił Ottona, który bardzo nierad wyjeżdżał z domu, i razem z nim udali się do państwa Żeligów.

Hulew był jedną z najpiękniejszych wiosek wołyńskich, od lat kilkunastu starannie zdobioną, aby na pańską rezydencję wyglądała. Jędrus pod rozkazami Stasi, swęj pani, cały się temu oddawał i poświęcał, powtarzając sobie pocichu:

— Żeby było *grandioso*.

Trzeba przyznać pocziwemu Żelidze, że chociaż nie miał głowy, na co sam chętnie się zgadzał, choć jedno oko miał zeszepeczone skałką i wąsów do pięćdziesięciu kilku lat dohodować się nie mógł, co go bardzo nieszczęśliwym czyniło, choć tak był niepozorny, że go często w przedpokoju za służącego brano; był jednak w ręku żony i córki narzędziem niepo-

spolitéj wartości. Jędrus spełniał wszelką ezarną robotę z poświęceniem się i zaparciem niesłychaném. Nigdy nie rozumował na swoją rękę, nie wdawał się w rozpoznawanie przyczyn i skutków, ale gdy mu dano dyspozycyą, święcie i punktualnie ją wypełniał, choćby przyszło życiem nałożyć. Przyznacie mi, że takich mężów nie trafia się wielu na świecie. Dobry, potulny, cichy, niemający w domu ani przyzwoitego pomieszczenia, ani żadnych wygódek osobistych, uważający się za subalterna przy żonie i córce, wesół zawsze, rad ze swojego położenia, rozkochany w Stasi, której rączkę smoktał z uniesieniem: było istotnie i bardzo użyteczny na świecie i szczęśliwy w dodatku człowiek. Głupstwo jego nawet nie raziło zbytecznie, tak je dobroć i serdeczność przyprawiała.

Miłości własnej miał mało dla siebie, wiele dla Stasi; pokorę przy niej niewyczerpaną, a córka napełniała go taką admiracyą, że w samej niemej kontemplacyi tego utworu, znajdował zupełne szczęście. Takiego mając męża i ojca, panie te były także najszczęśliw-

szemi w świecie, bo wiedziały, że nad niemi czuwa poświęcenie bez granic i miłość niewyczerpana.

Dwór Żeligów zdaleka, a nawet i zblizka bardzo pięknie i pańsko wyglądał: park angielski z przezroczystą wodą dwóch stawów ogromnych, dwór o piętrze zwany pałacem i „*notabene* z wieżą”, jak często bardzo powtarzał z przyciskiem Jędrus, gdy opisywał swój majątek, gazony strzyżone i walcowane, oranżerye, ananasarnie, szwajcarska chatka u bramy, aleje zwirem wysypane: razem stanowiły jakby piękną litografią. Nad utrzymaniem tego wszystkiego czuwał troskliwy Jędrus wstający o piątą rano, i pracujący do znoju wszędzie gdzie było potrzeba. Samby on może władzy nie miał tak wielkiej, gdyby nie to, że zawsze powtarzał:

— Pani kazała!

A pani bano się i nie żartem. Przytém wszelki rozkaz pani dawał mu energią niesłychaną. Gdy czasem trafiło mu się niefortunnie mieć swoją jakąś maleńką wola, Jędrus całę inaczęj brał się do jęj spełnienia; prosił tyl-

ko ludzi, uśmiechał się do nich i wdzięczył, zalecał się pokornie aby zrobili co chciał: ale gdy potężny rozkazem Stasi szedł na wyprawę jako jej umocowany, oho! nie można z nim było wówczas żartować.

Gospodarstwo i zarząd domu nie szły źle wcale: Stasia miała dość w głowie porządku, Jędrus sił do spełnienia, a Aneta gustu i fantazyi. Nie było więc u nich tak bardzo śmiesznie, jakby się domyślać można. Wprawdzie chorowano na państwo, ale słabość ta przeszła już w stan chroniczny, nie dolegała zbyt mocno, i nie raziała nadto.

Od ostatniej wizyty u Pułkownikowej, matka postrzegła z przestachem, że Anetka posmutniała bardzo, zmieniła się, i łzy nawet na oczach jej pokazywały się niekiedy; zawołała więc męża do swego pokoju i sama wykomenderowała go do Robowa.

— Mój Jędrusiu—odezwała się głaszcząc go pod brodę, co było tak pewnym środkiem zrobienia z nim co chciała, że nie wątpiła iżby się w ogień rzucił—mój Jędrusiu, czy ty widzisz co się z Anetą dzieje?

— Nie, ja nie widzę.

— A! moje serce, bo ty nic nie widzisz, czego ja ci nie pokażę.

— A, to prawda — rzekł Jędrus — to prawda...

— Ona smutna, mizernieje widocznie, i bo-daj czy — tu westchnęła Stasia — czy się ona tylko nie zakochała?

— Otóż tobie masz — zawołał Jędrus — ale w kimże?

— Ja się tylko domyślam, ale mówi o nim ciągle...

— O kim? proszę Stasi.

— Czyż ty nic nie postrzegłeś?

— Ja nie postrzegam...

— W Jerzym...

— A, prawda! jakież ja głupi! oczywiście, że zakochała się w Jerzym! No, cóż każesz duszko?

— Ty wiesz, że jej sprzeciwić się nie można!

— Oczywiście, że jej się nie można sprzeciwić!

— Hrabia nie był dotąd, choć obiecał: ona niespokojna.

— Ale widocznie niespokojna...

— Jedź do Robowa i oddaj mu wizytę.

— A jakie pójdą konie? — spytał żywo Jędrus.

— Na ten raz trzeba wystąpić: weź moje i koczyk nowy, a ubierz się porządnie...

— Otóż to, jak się mam ubrać? — spytał znowu mąż posłuszny, który nigdy nic nie robił bez pozwolenia.

— Frak granatowy, nankiny i guziki z brylantami.

— U ciebie schowane, duszko.

— Ja ci je dam.

I tak wybrał się do Robowa pan Jędrzej, a odwiedziny jego istotnie zmusiły Jerzego przybyć do nich nawzajem.

Pannę Anetę zastali smutną, zamyśloną i trochę mizerniejszą niż ostatnią razą; oczy jej tylko większym ogniem jaśniały, ale milcząca była przeciwko zwyczajowi swojemu: poważną, prawie bojaźliwą.

Jędrus, który się tego dnia gości spodziewał, bo miał szpiegów w Robowie, wszystko urządził stosownie, aby o domu dać wyobra-

żenie przyzwoite; służba wdziała wice-mundury herbowne, szwajcar siedział w chatce, w ogrodzie umieciono było i uporządkowano, w salonach pachnąco i strojno; on sam wdział pełny strój nankinowy, w którym tak się lubił widzieć, że się nieustannie w lustrze przeglądał. Zdawało mu się nawet, w takim był humorze, że z lewej strony trochę mu wąsy zgęśły, co podwoiło usposobienie wesołe.

— A, przecież! — rzekł do siebie przeglądając się w zwierciadle — aha! otóż skutek makassaru: będą wąsy, już nawet są! O to tylko chodzi, aby im dać czas i dopomagać do wzrostu, spacerując po słońcu...

Wyperswadował mu bowiem jakiś żartowniś, że włosy jak rośliny polewania i słońca potrzebują, i Jędrus moczył wąsy kilka razy na dzień, a wygrzewał je, aż się szpetnie opalił. Ale obywatel musi przecie mieć wąsy.

Salon państwa Jędrzejowstwa był dosyć oryginalny, bo cały w zieleni, kwiatach, bluszczach, festonach, z czém mu wcale było ładnie. Wprawdzie zauważył Jędrus, że to mno-

żyło mnóstwo robactwa różnego, ale je zabi-
jał pocichu, bo wiedział że córka i żona ten
ogródek lubiły, więc i on musiał.

U progu przyjął Jędrus w nankinach sąsia-
da i Jurasia uściskiem czułym, wilgotnym
i serdecznym, i poprowadził do żony, która
miała już *ad hoc* pończochę w ręku i książkę
rozłożoną przed sobą: Aneta czytała także.
Wspaniałe bukiety na wszystkich stołach ja-
śniały barw tysiącem, wśród nich i na tle tej
zieloności, blada Anna w czarnej sukni, wy-
glądała jak zachwycające marzenie.

Jerzy w tym bardzo wyelegantowanym sa-
lonie uczuł się jakoś ściśnięty, nie swój: nadto
mu było wytwornie.

— A, jakże tu u państwa ślicznie!—odezwał
się Otto na wstępie.

— Prawda że ślicznie?—rozśmiał się Jędrus
zacierając ręce—to wszystko żona moja i cór-
ka tak ubrały, bo ja tu nic... Jak w królew-
skim pałacu, a pachnie! pan czuje jak pa-
chnie?

— Czuję—rzekł z uśmiechem Otto—istot-
nie to raj przypomina.

Juraś był zimny i pomieszany.

Aneta podała mu rączkę drżącą.

— A, przecieżeśmy pana zwabili do siebie—
rzekła—pan doprawdy jesteś dziki.

— Nie taję się z tém.

— Czy to prawda—przerwała matka—że
pan tak długo bawiłeś w Krymie?

— I że byłeś Tatarem?—dodał Jędrus.

Żona spojrzała nań ruszając ramionami, da-
jąc mu znać, że głupstwo powiedział, a on
spiesznie się poprawił.

— Że pan nie byłeś Tatarem...

Ale widząc że i to nie do rzeczy, zamilkł
kręcąc wąsa.

— Żyłem istotnie czas jakiś z Tatarami...

— Baraniną?—spytał Jędrus cichutko, któ-
ry chciał także koniecznie do rozmowy na-
leżeć.

— Nietylko w Krymie z Tatarami—dodał
Otto—ale długo nad Dnieprem między ukra-
ińskim ludem i po ukraińskich dworach i Bóg
wie gdzie się włóczył, taki z niego utrapiony
wędrowiec... <http://rcin.org.pl>

— A! bo podróże, to rzecz tak zajmująca — odezwała się matka.

— Podróże to co innego — przerwał Otto — a taka włóczęga, potrzebuje ducha i sił młodych, bo żyć tém życiem do któregośmy nie przywykli wśród niewygód...

— Baraniną! — poddał znowu Jędrus, chcąc swoje wiadomości o kuchni tatarskiej zużytkować.

— Jestże tam przynajmniej poezya, coby płaciła za poniesione trudy? — spytała Aneta.

— Wiele! wiele! — rzekł Jerzy — ale ta poezya jest jak kryształ górny, który gdy go dobędą z ziemi jest nieprzezroczysty, bezkształtny i nie uderza prawie; dopiero gdy go kamieniarz oszlifuje i osadzi: błyszczy i świetnie się pokaże. Tak i z poezją ludową, która w obrazie i pieśni ubrana w szaty sztuki, jest prześliczną, a w życiu potrzebuje oczów kamieniarza, bo w niej przemagają pierwiastki z któremi nam oswoić się trudno...

Aneta znalazła porównanie bardzo trafném, rozmowa się rozpadła, sama pani zbliżyła się i zagarnęła Ottona, Jędrus poszedł pilnować

podania herbaty, młodzi państwo zostali z sobą i poczęli chodzić po salonie, zbliżać się do ganku nawet i zaglądać aż ku ogrodowi.

Jerzy znalazł Anetę tak różną od pierwszej, tak jakoś zmienioną, że sobie z tego sprawy zdać nie mógł; wewnętrzne jakieś uczucie przeistoczyło ją zupełnie, wzrok był inny, mowa skromniejsza i mniej śmiała, wzruszenie widoczne.

Ale jakże tu powtórzyć tę rozmowę dwojga młodych, która nie z samych słów się składa, w której przeważną rolę grają wejrzenia, ruchy i te tajemnicze prądy myśli, które przebiegają z serca do serca, z piersi do piersi, nie wiedzieć jakimi drogami, nie wiedzieć siłą jaką? Urwane słówko, niedokończona myśl, poruszenie, spojrzenie, wszystko ma głębokie znaczenie i wpływ na rozwinięcie coraz śmielsze tej pajęczej tkanki, która się zowie rozmową. Powoli zaczynali się ożywiać oboje.

Otto padł ofiarą wzięty na dwa ognie przez małżonków, którym znać chodziło o to, aby Anecie i Jerzemu nie przeszkadzano. Jędrus pomagał w tém Stasi z bezprzykładném po-

święceniem, potakując echem, lub niezręcznie dopełniając jej myśli, którym dodawał niepotrzebnego akcentu.

Wśród rozmowy zatętniało przed gankiem i wszedł po chwili Max, który, jak na młodego męża, trochę zanadto lubił oddawać wizyty w sąsiedztwie, i zawsze znajdował powód jakiś, dla którego z nim żona w żaden żywy sposób jechać nie mogła.

— A cóż to za szczęście!—zawołał w progu—wszak tu i Ottona i Jerzego znajduję, i pierwszy podobno mogę mu powinszować!

— Powinszować!—spytał Otto—czego?

— A wygrania procesu!

Jerzy zbliżył się zaczerwieniony, wszyscy otoczyli przybyłego.

— Ja żadnego procesu nie mam!—przerwał Jerzy.

— Ale jakże? o testament!

— Jam żadnego kroku nie robił.

— Ja tego nie wiem, ale to rzecz najpewniejsza, że testament został obalony, i że fortuna powraca ci nazad, czego z serca winszu-

ję. Zdaje mi się, że pewnie sztafetę zastaniesz w Robowie.

Jerzy zarumieniony cały, smutnie ręce załamał.

— Co to panu?— spytał Jędrus— może wody z cukrem?

— To niepojęte losu prześladowanie!— zawołał gorąco młody człowiek. Ja przeciwko woli mojego ojca! ja w procesie o testament?

Ale to potwarz! kabała jakaś! intryga! nie wiem... Nie szedłem wcale przeciwko testamentowi i nie pójdę.

— A więc jakże się to stać mogło?— spytał Max— my wiemy że u nas między moznym a ubogim, gdzie chodzi o miliony, gdyby sto razy biedny miał słuszość, sam bez starania przecie nie wygra.

— Ale ja czią moją i wszystkim najświętszém się świadcę— zawołał Jerzy— zem o to starać się nie myślał, nie żądał tego i nie przyjmę.

Wszyscy zamilkli widząc to jego oburzenie.

— Zaprawdę może pierwszy raz jak świat światém, ktos własnego majątku się wyprze

i odrzuci co mu samo w ręce idzie!—rzekł Max śmiejąc się.

— Oburza mnie i gniewa ta jakaś opieka nademną— przerwał Jerzy—jątrzy mnie, że mogę być posądzonym; pozwolicie państwo że ich pożegnam, bo chwili pod tém podejrzeniem zostawać nie chcę: muszę jechać.

— Gdzie? dokąd?—spytał Otto.

— Sam nie wiem: do Hrabiego, do stryjki, muszę coś począć. Jak się ludziom i im wydam!! Mówiłem, protestowałem, dziś pozory przeciwko mnie świadczą, czynią mnie fałszywym i kłamcą: to nie do zniesienia! Zdrajcą i wykrętaczem być nie chcę.

I twarz jego oblana wstydem i gniewem, wypromieniała powagę, a Aneta patrząc nań, uczuła się nim dumną; tylko Stasia i Jędrus dziwnie poglądali po sobie, nie wiedząc co mówić i czekając rozkazu córki. Oboje co do milionów mieli przekonanie gruntowne, że się ich nigdy odrzucać nie godzi.

— Głupstwo robi—rzekł pocichu próbując Jędrus.

— Cicho! cicho!

— Ale ja to mówię cicho — dodał gospodarz — to chyba waryat!]

Aneta dzieliła oburzenie Jurasia i odezwała się za nim, rodzice więc zamilkli zaraz, ale posmutnieli widocznie.

— Już na to widać nie ma rady! my jego nie przekonamy! — rzekł Jędrus — ale to ta młodzież, pstro w głowie.

A w duchu pomyślał:

— Miałaz Anetka kogo wybrać, dziwak jakiś i hołysz, który sobie upodobał w goliznie; piękny mi bohater!

Jerzy niecierpliwy już się wybierał, chciał porzucić wszystkich, ledwie go wstrzymano na herbatę, którą zaraz podawać poczęto. Chodziło wielce Stasi nie tak o to, aby wypił i zjadł Jerzy, jak raczej żeby mu pokazała srebra i porcelanę, żeby je choć zobaczył. Gospodarz pobiegl żywo aby przyspieszyć podanie, i służący wniesli na tacach paradnych wspaniałe przybory. Połowa ich do niczego nie służyła i nic w sobie nie zawierała, figurując tylko jak komparsy w teatrze. Dwa ogromne imbryki z fajerkami, srebrny samowar, dobra

liczba różnych przystawek, taką tu grały rolę, jak wojsko i lud na scenie w głębi.

Wstrzymano gwałtem prawie wyrywającego się Jurasia; Aneta zbliżyła się do niego słowem i ręką pociągając go do ganku.

— Panie Jerzy — odezwała się półgłosem — ja będę o pana niespokojna... Czy dobrze pan robisz, że się burzysz i opierasz temu, co dla pana los przeznaczył, co ludzie mu dobrowolnie oddają? — wszak to tylko dziwactwo?

— Dziwactwo! możeszże pani tak nazwać tę czynność?

— Słuchaj pan — rzekła — nie sądź żem chciwa, nie myśl, że nadto cenię majątek, ale i ja żyłam trochę, wiem że i on coś także zna- czy, że on też jest tą swobodą o której marzysz; że daje, jeśli nie skrzydła, bo te same rosną; to siłę i niezależność wielką.

— A ubóstwo daje widzenie prawdy: ono tylko jedno! — odparł Jerzy.

— Przecież to spadek po ojcu.

— Nie, wola jego dla mnie jest święta, ja nie mam nic, nie chcę nic po nim, kiedy mi sam nic nie zostawił.

Aneta uśmiechnęła się podając mu rękę.

— Doprawdy to trochę śmiesznie, że ja się panem opiekuję, tak mało go znając: nie miej mi pan tego za złe.

— Nie wcale, ale jeśli mnie pani bierzesz w opiekę, wiedzże co mnie oburza i doprowadza do rozpacz. Oto głośno i otwarcie powiedziałem, że nie chcę tego majątku, a los, a ludzie, nie wiem kto, narzucają mi go, posądzony jestem o fałsz! o pokątne staranie! o zdradę! Nie ma na świecie majątku, coby to opłacił!

— Tak, masz pan słuszność, ale to wyjaśnić się musi.

— Plama posądzenia zostanie! to okropnie!

— Więc któż weźmie te miliony?— spytała Aneta.

— Kto zechce? nie wiem? ale nie ja!

— Zapewne siostra.

— Siostra, stryj, hrabina, ubodzy: wszystko mi jedno.

— A! dziwactwo! dziwactwo! — rozśmiała się Aneta, — ale śliczne, ale niewidziane, bo

któż jest coby odmówił takiej fortuny, choćby zmieszanej z trochę błota?

I ścisnęła mu rękę.

— Panie Jerzy, bądź takim jakim jesteś— dodała z zapalem kobiecym— zostań sobą, zachowaj tę szlachetność i prostotę; patrząc na ciebie wierzy się w ludzi i uszlachetnia. Daruj tych słów kilka, pan pokazałeś mi drogę, teraz i ja widzę jaśniej: być ubogim, ale czystym.

— Tak pani, — czystym lub nie żyć! — zawołał Jerzy z zapalem.

W kilka chwil potem Jerzy już był na drodze do Zarubiniec ale wieczór był późny; gdy tam przybył, spali już wszyscy, musiał więc zanocować w karczmie i rzuciwszy sobie garść słomy pod głowę, usnął spokojnie jak zawsze, marząc o Anecie i Loli.

Gdy się obudził, rano już był dobry i godzina, w której w pałacu stawić się godziło; naprędce więc ogarnawszy się tylko, poszedł ku dworowi.

Zdala już postrzegł Malczaka, który w kaftaniku stojąc przy drzwiach, z krzywą gębą, fajeczkę palił, a poznawszy go widać, znikł

zaraz jak kamfora, pozostawiwszy sługusa jakiegoś na swoim miejscu.

— Chcę się widzieć z hrabią — rzekł Jerzy, — dajcie mu znać.

— A to ja nie wiem, trzeba będzie chyba przez Malczaka dać znać.

— Mów komu chcesz.

Jerzy wszedł do salonu. Pusto tu było i puściej niż kiedy mieszkała hrabina; choć na dole rzadko przebywała, schodziła jednak czasami, ślad jakiś przejścia zostawując po sobie: kwiatek, książkę, robótkę. Teraz w salonie pył szary okrywał wszystko, okna były pozamykane, powietrze duszne. Juraś przypomniał sobie ów koncert w tej samej sali, wieczór pamiętny w jego życiu, wejrzenie pierwsze na Lolę, wzrok ojca, i wiele a wiele rzeczy, które się z tej chwili wysnuły.

Spokojny usiadł i dumal, i nie wiedzieć dlaczego wracało mu ciągle na myśl wrażenie jakiego doznał, gdy oczy jego spotkały spojrzenie tej, o której wówczas nie wiedział, że była jego siostrą; szukał śladów w sercu uczucia, które go przejęło, walczył z myślą, która mu

piękną Lolę inaczéj niż chciał przedstawiała... i zapomniał o reszcie wypadków. Już wczorajsze zbliżenie się do Anety, jéj rozmowa, wywołane nią uczucie jakieś, zatarły się jedną nocą snów spokojnych, a Lola stała przed jego oczyma tak żywa, tak przytomna, jakby ją dziś widział dopiéro... Tęskniej wydały mu się Zarubińce bez niéj.

— Siostra!! nie wiem, czy takiém być może przywiązanie brata—mówił do siebie—czy to szał jakiś dziwny? Tamta jest mi obojętną za ledwie od niéj odjadę; téj obraz nie opuszcza mnie na chwilę...

I wszedł w targi z sercem, w rozbiory uczucia, a zadumał się głęboko, gdy służący przewał mu pogrążenie to, wołając nad uchem:

— Pan hrabia prosi.

— Gdzież jest?

— U siebie.

Jerzy poszedł prędko, pilno mu było. Hrabia czekał nań sparty o stół, z zaciętymi ustami, ale gniewny. Skłonili się sobie zdaleka.

— A więc nareszcie przychodzisz pan po to, co ci się wydrzcć mi udało,—rzekł Rajmund—

podstępem, zdradą, fałszem, bo tak jest! tak jest! Zaklinałeś się Wpan, że nie chcesz majątku, a knułeś i odbierasz mi go.

— Panie Hrabio, — rzekł Juraś — przyszedłem tu tylko po to, aby ci powtórzyć, że tego majątku nie chcę, że o tém wczoraj się dopiero dowiedziałem, że nie rozumiem o co mnie posądzasz....

— Przecież ci go oddają! ten majątek? Któż starał się o to?

— Ja nie wiem.

— Wpan nie wiesz!!

— Ale to wiem, panie Hrabio, że dziś, zaraz gotów jestem napisać przyjęcie testamentu, zgodzenie się na to abyś sobie wszystko zabrał.

— Jako? — spytał Hrabia.

— Najprostsza rzecz w świecie, każ posłać po adwokata, po księgi, napisać co potrzeba: podpiszę. Nieprawdaż, iż to dostatecznie przekonana, żem mówił prawdę?

— Cóż chcesz za to? — spytał Hrabia z niedowierzającym uśmiechem, nie mogąc pojąć Jerzego i przypuścić, by był tak dziwnie bezinteresownym.

— Co chcesz? tylko abyś mnie Wpan nie posądzał!—odparł Jerzy—i dał mi pokój.

Stryj nie wiedział co począć, zagryzł wargi. Jerzy dobył srebrnego zegarka, spojrział nań powoli.

— Jest godzina dziesiąta,—rzekł—jadę do Robowa, czekam tam do jutra, byście mi znać dali. Możecie zresztą przysłać adwokata, papiery, podpiszę co zechcecie.

— To bardzo pięknie, — odezwał się nareszcie Hrabia. — No, ale kiedy tak... jeżeli już... szanujesz wolę ojca, no! to przecież przyjmiesz coś od stryja.

Jerzy spojrział nań z uśmiechem.

— Wszakże dziś mam wszystko, nieprawdaż? Gdybym chciał, oddałbym wam część tylko, a sobie baz daru drugą zostawił. Mogę mieć co sam wybiorę, wszystko. Za cóżbym znowu pozwalał sobie robić łaskę, gdy jej nie potrzebuję?

Ruszył ramionami, skłonił się i wyszedł, a Hrabia pozostał osłupiały.

W drugim pokoju stał za drzwiami Malczak, który się zaraz wsunął pocichu.

— Posłać po sędziego — zawołał Hrabia, —
prędko dwóch ludzi, konie rozstawić: w mi-
nutę, natychmiast! żywo!

Malczak stał i patrzył.

— Nie do wiary! on mi wszystkiego odste-
puje.

— Bo to taki jak ja panu mówiłem, głupi
chłopiec — rzekł Malczak.

— Sam nie wiem! niepojęte rzeczy się dzie-
ją! co począć! muszę się poradzić.

— Czego się tu radzić? najprzód brać, a po-
tém się radzić.

— Ale ludzie! co powiedzą ludzie!

— Niech co chcą gadają...

— Tak, jednakże, to źle być może, i Hra-
bina! — szeptał zamyślony Rajmund.

Dziwna rzecz, Hrabia który w czasie dłu-
giego pożycia z żoną, żadnej dla niej nie oka-
zywał czułości, który często bardzo długo się
z nią nie widywał a nie tęsknił za nią, niecier-
pliwiąc się jęj dobrocią, zzymając na dowody
czułości; teraz gdy ona uszła mu sama, gdy
dom stanął pustką, często chwycił się na
jakięś tęsknocie, na pragnieniu widzenia jęj

i córki, czuł potrzebę rodziny, jakąś o nią obawę, jakiś w sercu niepokój. Dodajmy, że drażliwy na głosy i opinią ludzką, bał się gadania, tłumaczeń, lękał się być odepchniętym, a wiedział że zazdrość i niechęć różnie wykladać mogą całą tę historią małżeńską.

Kilka razy już sam wybierał się do żony, i w chwili wyjazdu pycha go tylko wstrzymała; teraz przyszło mu na myśl, że to wyrzeczenie się Jurasia może ich na wieki poróżnić. Ale z drugiej strony czuł, że majątek tak znaczny postawi go na nogi, może dogodzić wszystkim jego marzeniom, że jednocząc w ręku całą fortunę imienia, świetny los córce zapewni.

Malczak widział tę walkę na twarzy jego i śmiał się w duchu, bo dla tego bydłęcia nie było wątpliwości i wahania, gdy szło o zabranie grosza.

Jerzy tymczasem lipową ulicą poszedł ku Robowu powoli, przybył, siadł do fortepianu i począł najspokojniej grać z nut rozłożonych dawniej, a marzenia uniosły go w świat inny, daleko, tak daleko, że po za nim znikło

wszystko, prócz Loli. Twarzyczka jej okolona włosy jasnymi, jak te aniołki dwuskrzydłe na obrazach, co tylko główkę mają i parę piórek do lotu, ciągle po nad nim się unosiła. Chciał zaraz pojechać do niej, tak tęsknił za nią, ale musiał, zobowiązawszy się, czekać dwadzieścia cztery godzin na prawników i spełnić dane Hrabiemu słowo.

Szczęściem nadszedł Otto, i dzień szybko na muzyce upłynął niepostrzeżony.

Wieczorem przyjechali gryzipiórkowie z papierami, z wejrzeniem osobliwszą zaostrzoną ciekawością, jakby chcieli przypatrzeć się raz pierwszy w życiu spotkanemu fenomenowi, oddającemu miliony dla dzikiej jakiejś delikatności. Sposób w jaki zapatrywali się na Jurasia, godzien był zaprawdę postrzeżeń: nie wiem czy bracia Siamscy lub Albinos większą by się im wydawał osobliwością.

Jerzy nie wdając się wcale w rozmowę, popodpisywał wszystko, a że ta ceremonia przerywała im *trio* Mendelsohn'a, które grali przed chwilą, rzuciwszy pióro, szczerze i bez przesady zaproponował, aby wrócić zaraz do muzyki.

Panowie ci siadali śmiejąc się na bryczkę, gdy fortepian brzmiał już na nowo rozpoczętym *allegro*.

— Słuchaj— rzekł Otto—gdy skończyli *trio* jedno i spróbowali drugiego — stało się, ale żeś głupstwo zrobił, to pewna.

— Jakto? i ty to mówisz?

— Ale no posłuchaj: najprzód wszyscy jesteśmy tego przekonania, że ojciec nie chciał cię wydziedziczyć...

— Jednakże na to ja żadnego dowodu nie mam, a na przeciwną wolę jego jest dowód...

— Teraz drugie — rzekł Otto. — Pieniądz i majątek to siła; gdybyś miał miecz, a w chwili niebezpieczeństwa oddał go w ręce temu, który go użyć nie umie? Pomyśl tylko ilu to szczęśliwych mógłbyś uczynić, iluby ci błogosławiło, ile tybyś zrobić mógł dobrego?

— Tak, a jeszcze więcej gdybym miał skarby jakiegoś Monte-Christo. Ale cóż z tego marzenia, jeśli to nie jest mojem!

— Któż wie? prawo wyrzeka i powiedziało za tobą.

— Sumienie ma także swe prawa i osądziło inaczej. Niech żyją swoboda! sukmanka! praca! cichy dworek i życie ubogie! Jam nie stworzony na pana: co się stało to się stało!

Po długiej wieczornej rozmowie, nazajutrz rano Jerzy niespokojny popędził do stryjenki, marząc coraz goręcej w drodze o Loli, o spotkaniu z nią, o tém jak go powita, co będą mówić i jak rozkoszny dzień z sobą przepędzą. Niecierpliwił się nawet, że konie szły powoli, a im bliżej był, tém mu się zdały wlec nudniej.

Nim bryczka stanęła, wyskoczył i już był w ganku, a rzucając okiem niespokojném wkoło, postrzegł koczyk wytworny oznajmujący mu, że zastał gości.

Gość nie w porę gorzej Tatara, mawiali starzy; Juraś to sobie powtórzył pocichu. Potrzeba mu było samej stryjenki i Loli, poufałej z niemi rozmowy, uspokajającej, serdecznej, a tu... Zatrzymał się nieco w ganku, tak mu się przykro jakoś zrobiło, ale trzebaż było wejść nareszcie.

W małym saloniku, który skromnie ale ładnie urządzone był staraniem Loli, a wedle

opowiadań matki, miał jój nieco przypominać dawne czasy, siedziała na kanapie milcząca Hrabina, obok roztargniona Lola, a na krześle wyprostowany, nadzwyczaj wytwornie ubrany, bardzo piękny mężczyzna, jakby wprost z paryzkich przeniesiony tu bulwarów.

To zjawisko, zwłaszcza w okolicach Warszawy, nie jest tak bardzo rzadkiem; jednakże egzemplarz ten odznaczał się pięknością i wart był opisania przez profesora Wagę. Ten piękny okaz rodzaju owadu, który nam zjada nie jeden listek zielony, niejedną zabrzydza grzędę, niejeden posiew marnuje, zdałby się do gabinetu entomologicznego.

Emil Bączyński, o ile po świecie dowiedzieć się było można, wcale nie należał do tych liszek z których się wylęgają motyle salonowe. Ojciec jego *apteros* (bezskrzydły) prosty ziemianin, służywał po panach, był rządcą, potem dzierżawcą, handlował wołami i tem stworzeniem, które nie wiem dlaczego niegrzecznie jest mianować po imieniu, chyba dlatego może, żeby się kto nie poczuł do pokrewieństwa.

Jak z tego, tak prostego człowieka, wyszedł taki wykwintny młodzieniec, trudno pojąć; stało się wszakże, że stary Bączyński starając się, jak to nieraz bywa, zrobić z syna coś lepszego od siebie, dając mu wychowanie bardzo świetne, niespodzianie uczynił zeń jakby nie swojego syna i istotę, która do skromnej kolebki z jakiej wyszła, nie bardzo się miała ochotę przyznawać.

Emilek był tak dystyngowany, tak ślicznie mówił po francuzku, tańczył tak pięknie, jeździł konno tak śmiało, miał upodobanie tak arystokratyczne i stosunki również od młodości tak pańskie, iż mu już nie wypadało czem inném zostać tylko paniczem. Była w tém maleńka trudność, gdyż ojca jego, poczciwego Bączyńskiego, znali wszyscy i o pochodzeniu jego skromném dobrze naokół wiedziano; ale kiedy komu Pan Bóg da twarzyczkę i głosik, obyczaj i manierę pańską, a fortunę przytém, reszty się już jakoś dorobi. I tu się tak stało: szperając w papierach, gdyż bardzo lubił genealogie, Bączyński niespodzianie odkrył, że rodzina jego należała do najstarszych w kraju,

a nieszczęściem tylko, które i szlachtę spotyka, tak podupadła, że ojciec jego służyć musiał. Okazało się jawnie jak na dłoni, że Bączyńscy z Bączyna na Kurzej Woli i Stawiszynie, herbu Leliwa (nawet) byli w Rzeczypospolitej bardzo zasłużeni, że jeden Bączyński za Zygmunta Augusta był podkomorzym królewskim, że inny za Batorego rotmistrzował pod Pskowem, że za Zygmunta III, o mało, inny znów nie został kasztelanem, a potem, a potem—jakaś fatalność zaczęła ciążyć na rodzinie. Mówiono pocichu, że była waśń między braćmi, że ktoś kogoś w pojedynku ranił, że niebłogosławieństwo Boże spadło na nich do dziesiątego pokolenia... Z papierów też okazały się świetne koligacje z Sobieskimi, Leszczyńskimi, Opałińskimi i z całą przez nich Polską:—pańską i szlachecką. A że, gdy kto szpera dobrze, zawsze się czegoś dobadać musi, w ostatku Emil Bączyński miał wielkie podejrzenie, że jeden z cesarzów Habsburgów, w poselstwie wysłanemu do Wiednia dla traktatów o Maxymiliana, Albertowi z Bączyna Bączyńskiemu nadał hrabiostwo; które tylko *lapsu temporis*

i dla ówczesnej równości szlacheckiej, zaniebane zostało.

Miał więc prawo w skutek silnego prawdopodobieństwa pan Emil, kazać wyryć na swęj pieczętce koronę hrabiowską, a choć tylko lokaj z początku nazywał go Hrabią, choć drudzy nieprzyzwoicie się śmieli z tego: koniec końcem był już silny prejudykat do hrabiostwa; a z takich pogłosek, jak z potwarzy, zawsze coś zostaje. Jeszcze jedno lub dwa pokolenia, a miało się to utrzcć i przejść do rzędu faktów spełnionych, a zatém nieodwołalnych.

Wprawdzie, w towarzystwach arystokratycznych, wspomnienie o tym tytule wzbudzało uśmieszki na pięknych usteczkach hrabiów i hrabiątek; ruszano ramionami, ale Emila przyjmowano wszędzie i nie szkodziło mu to wcale, owszem... Dowiedziona rzecz, że kto ma odwagę przenosić jakiś czas taką śmiesznostkę na plecach, nagradza mu się ten stoicyzm potem poważeniem powszechném. Trzeba cierpieć, by być pięknym, powiada francuzkie przysłowie.

Emil zresztą był śliczny, dobrze wychowany, i wydelikacowany bardzo, ażeby ta jego dystynkcyja zatarła pamięć ojcowskiej prostoty: uchodził w ogóle za *très comme il faut*. Nade wszystko go zalecało, że nie chorował na żadne młode szaty, regularny był, chłodny, oszczędny, dobrego towarzystwa, i tak w sobie życie zasznurował, zakopertował, zapiął, że mu ni okiem, ni usty, ni miną, nigdy nie wyszło na wierzch. Umiarkowany, niezmiernie przyzwoity, strzegący się wzruszeń i hałasów, mówił cicho, stąpał powoli i ostrożnie, uśmiechał się półgębkiem, a spytany o zdanie objawiał je w ten sposób, aby ani czarnego nie potępić, ani białego nie wynieść, ani się bezpowrotnie nie zapuścić w stronę, z którejby powrócić było trudno. Entuzjazmu obawiał się jak rzeczy parzącej, na żarty i sarkazmy uśmiechał się, ale do ich preparowania nie należał; był letni, wilgotny: strzegł się być zimnym, nie chciał gorącym, ani mokrym, ani suchym. Wszystkiemu to temu razem zbiorowisku przymiotów winien był przyznanie tytułu dystyngowanego. Dodajmy, że towarzy-

stwo sobie dobierał tylko dobre, takie, które się zwało śmietanką, choćby owa śmietanka w kwaśny i gęsty zwarzyła się kożuszek; stosunki jego były wyłącznie arystokratyczne, domy, do których klamek się dobijał, pańskie, gusta i zajęcia wspaniałe.

Byli ludzie co znajdowali, że Emil przypominał porcelanowego Chińczyka, który tylko w jedną stronę głową kiwa i oczyma rusza, a siedzi zawsze na jednym miejscu i nic się od niego dowiedzieć nie można, prócz, że jest mandarynem: ale złość ludzka jest potężna, a zazdrość jeszcze większa.

Gdy Jerzy wszedł, towarzystwo już miało minę doskonale znudzoną: Lola siedziała wyprostowana obrywając listki z róży, matka miała oczy wlepione w posadzkę, Emil trzymał kapelusz na kolanach, a głowę prosto, ażeby krochmalnych kołnierzyków nie wbić sobie w gardło, i nie wiem już o czem mówiono. Lola postrzegłszy Jerzego, zerwała się, zarumieniła: Hrabina uśmiechnęła. Emil niespokojny na widok jego powstał, ale rzuciwszy tylko okiem na tę postać energiczną, sil-

ną i wcale niedystyngowaną, a w stroju nadto prostym, z wyrazem nieprzyzwoitej na czole i ustach szczeroty, usiadł zmieszany, nie sądząc żeby to było warte uwagi.

Przywitano się serdecznie.

— Synowiec nasz, — zaprezentowała Hrabina, — pan Jerzy Góra. Pan Emil Bączyński...

Obu nie dodano hrabiostwa.

Panowie skłonili się sobie grzecznie zdaleka.

— Bardzo miło mi.

— Bardzo mi przyjemnie.

Jeszcze raz skłonili się i usiedli. Jerzy uczuł jakby go kto zimną oblał wodą, a Emil nieco ku niemu zawróciwszy głowę, sztywnie i ostrożnie zapięty, oczekiwać się zdawał rozmowy. Charaktery oba, jak dwa sprzeczne pierwiastki, odrazu odtrąciły się: poczuli, że się z sobą nie zgodzą. Emilowi Jerzy wydał się karykaturą, Jerzemu Emil obrazkiem z dziennika mód; nie mogli trzech słów przemówić do siebie. Hrabina siedziała skłopotana, Lola z uśmiechem porozumienia coraz spoglądała na kuzynka. <http://rcin.org.pl>

— Jakież śliczne mamy lato!

— Co za pora przyjemna!

— Ale dziś gorąco ogromnie.

Te i tym podobne preludya zwiastowały rozmowę nie obfitą w myśli; pan Emil, jakoś przecie skorzystał z niej, by się dostać do Paryża, południowej Francyi i Włoch, o których mówił często głosem pieszczotliwym, wyuczonym, delikatnym, cichym, napół po francuzku. Zaczął więc przebąkiwać coś o swych peregrynacyach:

Niedaleko i to zaprowadzić ich mogło. Jerzy wszakże zajechał też do Krymu, bo go Hrabina tam sama popchnęła; potem mówiono o owocach, ale jak gorącego kruszcu do zimnej sztaby przylutować nie można, tak tych dwóch charakterów chwilowo nawet zlepnić nie było podobna.

Emil przykrego doznał uczucia, jak to później wyznał przed przyjaciółmi, nie w swoim był świecie, *il se sentit dépaysé*.

Lola spoglądając na obu, nie chciałbym ręczyć, że porównywała tę parawanową litografią z żywą istotą w czarnej sukmanie, na któ-

rój czołe, w oczach, ustach, drgało czucie i życie płynęło.

Emil siedział uparcie, choć się nudził. Jedyną jego wadą towarzyską było to właśnie, *qu'il ne savait pas s'en aller*, jak mówiła jedna pani, stosując do niego, stworzoną dla kogo innego, dowcipną charakterystykę. Była to resztką nieśmiałości odziedziczonej po p: Izydorze Bączyńskim ojcu.

Wejść i wyjść z salonu było mu trudno, może wrodzona skromność i uczucie to, że nań zwracały się oczy ciekawe, odbierały mu potrzebną odwagę. Powiedzmy nawiasem przytém, że wchodzić i wychodzić rzadko też kto umie.

Jedni wpadają z hałasem, drudzy wchodzić zmieszani trącając o wszystkie krzesła, nie widząc nikogo; ci grzeszą przesadą śmiałości, inni exageracją pokory, a zawsze ta nieszczęsna miłość własna którymś końcem wyjść im musi.

Emil siedział i siedział, zostawić go z Hrabinią, było niektościwie skazać ją na męczarnie, dać mu na pastwę żywą Lole, równie

wielkiem okrucieństwem; męczyli się więc wszyscy razem do herbaty, po której nareszcie gość przywdział paliowe rękawiczki Jouvain'a i pożegnawszy ceremonialnie towarzystwo, uznał słusznem odjechać.

Jerzy teraz dopiero odżył, na nowo się przywitał z Hrabinią i Lolą i począł opowiadać im swoje przygody. Marya wiedziała już że testament został obalony i to ją czyniło weselszą, ale Jerzy pospieszył z oznajmieniem, że się formalnie zrzekł spadku.

— I mąż mój przyjął to! — zawołała rzucając się na kanapę Hrabina.

— Musiał.

— Ale cóżes ty zrobił!

— Com był powinien, stryjenko: nie mówmy o tém.

Lola spuściła oczy.

— Mógłżem inaczej?

— A! całą moję zniszczyłeś nadzieję? — zawołała Hrabina, — nie wrócimy teraz do Zarubiniec.

Wymówiła się z tém mimowolnie, ale prędko zamknęła usta i zamilkła; chwilę długą ci-

sza panowała w salonie, nikt i przerywać w jej nie śmiał, Lola nawet gryząc różę w ustach, odezwać się nie umiała.

— — Doprawdy, — dodał Jerzy, — nie rozumiem com zrobił tak złego; inaczej postąpić było mi niepodobna; gniewać się nie możecie, że wam oddałem...

— To, czego my właśnie nie chcemy, — przerwała Marya, — na co nam to? ażeby kupić sobie zgryzoty, a Loli sprowadzić takich jak dzisiejszy konkurentów!

— A, prawda — uśmiechnęło się dziewczę, — wszystkiemu Jerzy winien. A tak nas ten pan znudził!!

— Tylko co nie widać drugiego i trzeciego, — rzekł Jerzy wesoło, — ale pociesz się siostrzyczko, możesz ich poodprawiać.

— A nudy! a przykrość! Wiem, że ich nie przyjmę, ale się naziewam i naniecierpliwę z niemi...

Jerzy się śmiał, nadrabiał miną i humorem, bo smutek Hrabinej ciążył mu na duszy.

— Jerzy mój, — rzekła stryjenka, — to już przechodzi delikatność, to po prostu dziwa-

ctwo nie do darowania. Znałeś i znasz słabość Hrabiego, na cóż ci było korzystać z niej aby mnie dotknąć boleśniej?

— Stryjenko kochana, — odparł Jerzy, — ależ tu nie o fantazyę chodziło: o powinność, o przekonanie, a uczciwy człowiek nigdy go nie poświęca.

— Zamilkli znowu, a Lola widząc matkę zamysloną i prawie rozplakaną, kiwnęła na Jerzego aby ją samą zostawić i sama wyszła na ganek.

— — Mama każdy smutek wyplakać potrzebuje, — odezwała się pocichu, — siedźmy tu. Nieprawdaż, że u nas ładnie, choć ubogo?

— Prawda: cicho, spokojnie i ślicznie.

— Ale tobie czy się to wyda ładnym, po tych dworach i paniach, u których bywasz? — dodała.

— Ja?

— O! ja wiem wszystko! Byłeś u Anety.

— Już wiesz o tém?

— To mnie zajmuje, to mnie prawie niepokoi: cały świat o tém gada.

— O ezém?

— Mówią... że Aneta cię kocha, że szaleje za tobą; że ty...

Spuściła oczy Lola.

— A! ja się jej nie dziwuję, — dodała, — gdybym nie była twoją siostrą, kto wie?

— Ależ ty nie jesteś siostrą moją, — przerwał Jerzy ogniste w nią topiąc wejrzenie, — ty, jesteś tylko daleką krewną,

— Ale siostrą! siostrą! — zawołała czerwieniąc się Lola, — bo doprawdy jakby się to odkryło, musielibyśmy z sobą być ceremonialnie, a tak, bardzo mi dobrze z tobą, i mogę spokojnie kochać cię jak brata.

Podawała mu rękę i bliżej przy nim usiadła.

— Ale powiedz mi, — spytała, — prawda to, czy ty kochasz Anetę?

— Chcesz prawdy! ale czyż ją zrozumiesz gdy ci powiem?

— O ho! nie myśl żeby trzpiotowstwo moje odejmowało mi kobiecą przebiegłość; spróbuj tylko, mów szczerze: pojnę cię pewnie.

— Więc powiem ci szczerze: Aneta bawi mnie jak ładny obrazek, ale gdy odjadę, znikamiz oczów i z serca, nie myślę o niej wca-

le; a ty, co jesteś mi tylko siostrą, ciągle—jesteś ze mną. Twoja twarzyczka, twój głos ścigają mnie wszędzie, gniewam się nawet trochę na tych nieznośnych natrętów.

— A! niedobry Jerzy! czyżem ci się tak naprzykrzyła! Ale Aneta bawi się tobą jak ty nią, a ja, ja, — rzekła ciszej, — ja ścigam cię sercem i duszą, bo bardzo cię kocham... jak brata.

— Tylko jak brata? — westchnął Jerzy.

— A, wszakże inaczej nie mogę!

— A gdybym nie był twym bratem?

— No, tobym może czuła toż samo, ale ci nie powiedziała tego, — odezwała się prędko Lola, porywając się z siedzenia zarumieniona i drżąca, — ale czekaj, mama nas woła!

I wbiegła do salonu. Jerzy pozostał w gan-ku z bijącym sercem i przytuloną do czoła dłonią. Co się z nim stało nie wiedział, ta krótka rozmowa, tych słów kilka go zburzyły, chaos w piersi, chaos zbudziły w sercu. Nie mógł wniknąć do salonu, bo mu się zdawało, że każdy wyczytałby w jego twarzy uczucie, które nim wstrząsło, a najpierwsza matka.

Lola wróciła w chwilę do niego, a widząc go niespokojnym i pogrążonym, spytała:

— Co ci to jest?

— Nic, tytkom szczęśliwy, — odparł Jerzy, — nie chcę niczem zmącić wrażenia szczęścia...

Ona powoli wyciągnęła ku niemu dłoń drżąca, potem pochyliła się i czoło gorące przytuliła do jego czoła i oboje, nie postrzegli się, nie wiedzieli sami, jak usta ich spotkały się w tym pocałunku poety, bez namysłu, bez wstydu, gwałtownym i koniecznym a czystym jak uścisk dwóch aniołów płynących przez niebiosą. Gdyby tysiące ludzi patrzali na nich, gdyby nad ich głowami zawisł piorun śmierci, nie postrzegliby groźby, nie obawialiby się kary....

Lola wreszcie podniosła twarz, jakby wychodząc z upojenia, jakby nowém życiem objęta, drżąca, wzruszona, szczęśliwa.

— Bracie, — rzekła głosem osłabłym, — chodźmy, nie wiem co się dzieje ze mną, co się z nami stało; ale czuję jakbym nową, inną istotą, oderwała się od ust twoich, jakbym

wstała pobłogosławioną do życia. Już się ta chwila nie powtórzy może nigdy, alem była tak szczęśliwą! Ja ciebie kocham, ja kocham ciebie!

I wymówiwszy te słowa szybko, ciągnąc go za rękę wbiegła z nim do matki, upadła przy niej na krzesło, łzawemi od szczęścia oczyma wpatrując się w jej osmuconą twarz.

— Jerzy mój, bracie, nie dajmy jej się tak smuć; klękniemy przed nią, prosimy ją, niech się rozweseli: na co ta chmurka na takim dniu jasnym?

Jerzy byłby dał dla niej życie teraz, więc pobiegł żywo ku Hrabinie, i pomалу resztkę niewinnego pocałunku, którym gorzały mu usta, złożył na jej rękach.

— Stryjenko, matko kochana, — rzekł, — nie smuć się; jeśli my poblądziliśmy, Bóg to naprawi, miejmy nadzieję: ja zrobię co tylko zechcesz.

— Mój Jerzy, dziś już to nie w twojej mocy.

— Matko droga, posłuchaj, uważ, dziś całkiem inaczej stoja rzeczy niż były! Stryj mógł

być winien w twojém pojęciu, gdy mi z mocy testamentu zabierał ojcowiznę; dziś wziął to tylko, com mu ja z dobrej woli mojej odstąpiła. Któż mi zabroni być dziwakiem? Kto zaprzeczy prawa rozporządzania tém, co wczoraj było moje?

— Ale możesz nic nie żądać? nic nie mieć?

— Mam serce wasze, mam ręce zdrowe, przyjaciół, młodość, swobodę....

Lola zerwała się weselsza.

— A, widzisz, mamciu, Juraś doskonale mówi! Juraś ma zupełną słusność! jego potrzeba słuchać i nie płakać. On sobie dziwak, ale tak piękny i poczciwy fantastyk, że mu wolno być trochę innym niż ludzie, a potem, wie mama co ja powiem?

— Co dziecko moje?—wyciągając ku niéj dłoń i tuląc ją do siebie, spytała matka.

— Co? oto że ja przecież coś mieć będę; no, to ja co mam oddam Jurasiowi, a odemnie ręczę, że weźmie.

— Od ciebie?

I podnosząc oczy na nich oboje, matka przeczuła macierzyńską pierśią, bo postrzedz nie mogła, że tych dwoje dzieci bliżej siebie stali niż sądziła. Na twarzy Loli błyszczało rozpromienione szczęście, był jakby rozkwit wejrzenia i uśmiechu, z dziecka nagle stała się kobietą: tak jeden pocałunek wiele nowego wlał w nią życia.

— Od ciebie, moja Lolu, od ciebie?

— Ja mu oddam co będzie mojem, a mnie Jerzy nie odmówi!

Jak winowajca Juraś spuścił oczy.

— Doprawdy? — spytała matka.

— Życiaby m Loli nie odmówił, — rzekł młody chłopak.

— A! dzieci! dzieci! — szepnęła Hrabina, i zamyśliła się nagle, jakoś chmurno, jakoś niespokojnie, ale już było po czasie.

Jeszcze godzinę długą, która im przeleciała jak błyskawica, mówili z sobą i siedzieli, aż Jerzy oznajmił w końcu, że powołany przez starą przyjaciółkę ojca, musi jechać do Pińska, że wstąpi do Horycy dla odwiedzenia sług starych, i za parę tygodni spodziewa się powrócić.

— To dobrze,— szepnęła cicho: Lola,— bo choć ja ciebie nie zobaczę, ale i Aneta widzieć nie będzie.

Matka dosłyszała.

— Co mówisz Lolu?

— A, to sekret, mamó; nie chcę żeby Jerzy nadto często bywał u Anety: wiem, że ona w nim szalenie się pokochała, i boję się.

— A jeśli on ją kocha także?

Lola potrząsała główką.

— Ja tego nie chcę; on mnie tylko kochać powinien: ja jestem zazdrosna o niego.

— Jakto? siostra?

— Trochę jak siostra, zresztą, ja nie wiem; możebym popłakawszy odstąpiła go innej: Anecie nigdy.

— Czemu nie Anecie?

Lola zamilkła trochę.

— Jestem zazdrosna; Aneta kochać nie umie: czuję to w duszy mojej. Zresztą, może to wszystko dziwactwo. Juraś dziwak, to i ja mogę być także trochę dziwaczką.

Ale noc się zbliżała, i Jerzy nareszcie odje-

chać musiał: pożegnał matkę, potem Lolę, która w długim uścisku, strzymała jego rękę, potem wzrokiem przykuła go jeszcze do siebie, potem pod pozorem jakiegoś rozkazu wybiegła przeprowadzić go w ganek i nie puszczając jeszcze, szepnęła przy rozstaniu:

— Jerzy! jam dziecko, nieprawdaż? ale cię kocham!

— Znajdź słowo aby ci odpowiedzieć? Tyś moja, ja twój jestem na zawsze, na zawsze!

— Pamiętaj! na zawsze! na zawsze! Pamiętaj! Bóg słyszy, a gdybyś mię opuścił, przysięgam ci, jabym umarła.

I znikła mu z oczów.

Nie wiem czyśmy tę scenę niespodzianą i dziwną a nagłą, potrafili tak odmalować jak ona zajaśniała w życiu Jerzego, czystą, konieczną i niewinną, jasną i piękną prostotą swoją.

Lola uległa tylko gwałtownemu uczuciu, które rachować nie umiało, pierwszemu rozkwitowi miłości, która poczęła się wybuchem i wybuchem objawić musiała. Jerzy pojął teraz, że kochał ją od chwili gdy zobaczył, równie

gwałtownie, że rozmyśl tylko, obawa, przyzwoitość, wstrzymały go od przypuszczenia, że to mogła być miłość—od rzucenia się jej na szyję z tym wykrzykiem: kocham ciebie!

Co dalej być mogło? jak skończyć się miały nadzieje? marzenia? nie myśleli oboje. Im dosyć było kochać się i być sobie pewnemi.

Gdy Lola powróciła do salonu matki, Hrabina, która już coś dostrzegła, przywołała ją do siebie.

— Lolciu, ale ty doprawdy nadto jakoś gwałtownie przywiązałaś się do Jerzego?

— Ja, mamó? całą duszą, tak mocno...

— Może zanadto mocno, może zbyt śmiało i nagle?

— Ale ja mówiłam mamie — odparła Lola — że gdym go pierwszy raz zobaczyła, zdało mi się że mój anioł stróż stanął przedemną... Uczułam coś takiego, jakby mnie oblały blaski, jakby z niebios zstąpił posłaniec, jakby... Nie! tego powiedzieć nie można!

— Dziecko moje! to nie jest miłość siostry, na Boga!

Ale on nie jest bratem moim, sam mi to mówił... Ja nie wiem zresztą, mamciu, jak go kocham, bo o tém nie myślałam, bom tego uczucia nie wymarzyła: samo ono przyszło jak piorun i porwało mnie jak burza.

— Lolu! dziecko kochane, co mówisz?

— Prawdę mammo...

— I mówiłaś to jemu?

— Mówiłam...

— A on... na Boga, cóżeś zrobiła! a on?

— O! bądź spokojną mamciu droga, on mnie tak kocha jak ja jego; on jest moim a ja jego na zawsze... na wieki!

— Nic bardziej przerażającego nie mogło być dla Hrabinej nad to wyznanie; jej pojęcia, pobożność, bojaźliwość, czyniły myśl samą tego związku prawie świętokradztwem.. Wstrząsła się, pobladła, załamała rękę.

— A! to nowa kara Boża— nie wiesz chyba i nie pojmujesz jak jesteście blizcy siebie, że prawa Boskie i ludzkie was rozdzielają. Nigdy nie możecie być czém inném chyba siostrą i bratem, nigdy żoną i mężem; karze Bóg, nie

błogosławią ludzkie, wyklina kościół, świat wyszydza i odpycha.

Lola pobladła jak marmur.

— To być nie może — rzekła — cóżem ja winna że kocham, za cóż nam jednym na świecie ma być zabronioną miłość?

— Miłość braterska, ale...

Hrabina wytłumaczyć się jaśniej nie mogła.

— Ale nigdy nie możecie być mężem i żoną...

— A na cóż mężem i żoną nazywać się mamy koniecznie — odpowiedziało dziecię czyste z uśmiechem anielskim. — Ja nie pójdę za mąż nigdy, on się nigdy nie ożeni, pozostaniemy razem, wierni sobie, byle nam nic nie przeszkadzało całe życie zostać z sobą, patrzeć na siebie, kochać się, i kochać do śmierci.

— Ale świat, ale ludzie?

— A cóż świata i ludziom miłość nasza zaszkodzić może?

— Dziecko drogie! a! tego ci matka powiedzieć nie potrafi! Ale hamuj uczucie, póki nie pojdziesz wszystkiego, co dziś dla ciebie ciemne...

— Moja mamciu, to jakieś tajemnice — odparła Lola — ale powiedz mi choć to, dlaczego kochać nie można nie żeniąc się i kochać serdecznie?

— Dość tego dziecię moje, dość, uspokój się. Niech^{ci} Bóg ześle pokój, bo na mnie padła nowa trwoga, której ty nie pojmujesz...

— Nie! Jam spokojna i pełna ufności w Bogu! — rzekła Lola kładnąc rękę na piersi — i ty mammo, możesz być spokojną...

Od śmierci Hrabiego życie panny Izabelli Morosz wielce się zmieniło. Jakkolwiek zawsze była zamkniętą w sobie i nie łatwo było dojść co się w myśli jej dzieje, po pewnych zewnętrznych oznakach postrzegano, że cierpiała, że była niespokojna, że ją tajemnie gryzła myśl jakaś skrywana. Porzuciła prawie tę muzykę, którą żyła jedynie, całe noce chodziła po pokojach z głową spuszczoną, a gdy poczciwa służka przyszła namawiać ją do snu, stała przed nią, odzywać się musiała coraz głośniej i nieposłyszana ciągnąć musiała swą panią, aby ją

z zadumy obudzić i prawie gwałtem do jój pokoju odprowadzić. Tak samo we dnie, tylko razy kilka posyłała po Żerebę dowiadując się o interesa, z których najpilniejszym dla niój był testament Hrabiego. Żereba kiwał głową nie mogąc tego zrozumieć, ale konie porozstawiał i miał świeże coraz wiadomości; a gdy testament obalony został, dano znać zaraz drugiego dnia do Pińska tą pocztą zaimprovizowaną. Panna Izabella zdawała się nieco uspokojoną. Cóż gdy w parę dni nowy posłaniec nadbiegł z dziwną wieścią i obszernym listem od Szperki, że Jerzy dobrowolnie zrzekł się caluteńkiego spadku na stryja.

Żereba nie wiedział już jak z tém pójść do pani, przewidywał burzę, a bardzo pragnął żeby sobie do zwykłego trybu życia powróciła, z czém mu było daleko wygodniój.

Utaić przecie nie było podobna, i rano z tym listem poszedł zafrasowany, jak najwymowniejsze gotując sprawozdanie.

Gdy jój o plenipotencie oznajmiono, wyszła panna Izabella, jak zawsze ubrana bardzo skromnie, z twarzą od kilku tygodni postarza-

łą i zmienioną. Piękne jej oczy wpadły, policzki pobladły, czoło się pomarszczyło, gęściejszy włos srebrny przebijał się na głowie. Zawsze jeszcze piękna i poważna, teraz nosiła na sobie majestat głębokiego smutku, w który obleczona, prawie straszną wydała się Żerebie.

— Co tam chcesz panie Ignacy? możebyś obszedł się bezemnie? jestem cierpiąca.

— To sprawa osobiście tycząca JW. Pani, — rzekł adwokat z ukłonem.

— Jaka?

— A to te nieszczęsne rozporządzenie nieboszczyka Hrabiego: znówu nowe rzeczy.

— Wszakże testament obalony?

— Jakem to miał zaszczyt zwiastować, — rzekł Żereba nie uwalniając się od deklamacyi — tak było, ale zaszły nowe okoliczności.

— Cóż mogło zająć? — spytała przestraszona panna Izabella.

— Ten młodzieniec, dziwak, nie dosyć że sam nie chciał dotknąć testamentu, że poddał się wyrokowi odrazu, teraz znówu rzekł się sądowego na swą korzyść rozstrzygnięcia i całego majątku na rzecz Hrabiego.

— Jako? zrzekł się? wszystkiego?

— Jakem miał honor mówić.

— A stryj?

— Szperka pisze wyraźnie, że wszystko przyjął.

Panna Izabella podniosła głowę, obruszyła się, targnęła, zmarszczyła.

— To być nie może — zawołała.

— Są listy, są dowody, jest kopja zrzeczenia.

— I cóż mi pozostało?

— Nic.

— Była chwila ciężkiego milczenia.

— Prosilicie go w mojem imieniu, żeby tu przyjechał?

— Uczynilem stosownie do woli, i mam nadzieję że przybędzie.

— No, stało się, — sama do siebie zamysła — na odezwała się panna Morosz — na to nie ma ratunku.

— A koszta znaczne jak w błoto rzucone — dodał Żereba — nie mała rzecz, bośmy masieli przeciwko możnemu działać...

— Wieleż tam?

— A jednak kilkanaście tysięcy złotych.

Panna Morosz nic nie odpowiedziała.

— Co pani raczy rozkazać? — spytał Żereba.

— Nateraz nic jeszcze, lub, czekaj...

Namyślając się przeszła powoli po pokoju.

— Po obiedzie wezwiesz WPan do mnie pana Trzeciakowskiego.

Trzeba wiedzieć kto był pan Trzeciakowski, aby zrozumieć wrażenie, jakie to nowe żądanie wywarło na adwokata, który zbladł, ruszył ramionami, poruszył się, chciał przeczyć, i pomysławszy, zamilkł posłuszny.

— No! już znowu Trzeciakowski na placu! — rzekł do siebie wychodząc — otóż do czegośmy to doszli?!

— Panie Ignacy, — odezwała się za wychodzącym panna Izabella, — jeszcze słowo: jeżeli by Trzeciakowski nie chciał przyjść do mnie, ja pójdę do niego; powiedz mu to: koniecznie z nim widzieć się muszę.

— Trzeciakowski był urzędnikiem niegdyś od wyborów, słynął ze znajomości prawa, a co lepiej, z nieposzlakowanej uczciwości. Był on dosyć śmieszny, nosił strój z czasów, w których był młodym i ubierać się lubił: przesadny, po-

stawa, peruka, fizyonomia, sam sposób wyrażenia się zbyt wyrazisty i dokładny do zbytku, czyniły go dosyć nudną karykaturą, ale nikt jeszcze w potrzebie nie zawiódł się na Trzeciakowskim. Były to prawość i sumienie chodzące. Gdy kto miał ważną jaką sprawę, potrzebującą tajemnicy do spełnienia, wzywano Trzeciakowskiego. Choć ubogi i obsadzony dziećmi, stary był sumiennym i bezinteresownym, za poradę nawet nigdy nic nie przyjął, i wszędzie gdzie był, przyjinowano go tylko łakociami, gdyż jak dziecko słodczyce lubił, a prócz miodu i rodzenków, w domu przez oszczędność innych sobie nie pozwalał. Za to w obcych domach łakomy był do śmieszności.

Żereba riecierpiał Trzeciakowskiego, i ruszał ramionami gdy o nim była mowa, a wyśmiewał go wszelkimi możliwymi sposobami, nie dopuszczając nawet, żeby dobrze znał prawo, cytując porobione przezeń omyłki formy, prócz których wszakże nic nie mógł mu zarzucić, mimo najlepszych chęci.

Byłby Żereba może próbował nie zastać go w domu, powiedzieć, że chory lub tym podo-

nie, ale mu panna Izabella zapowiedziała, że gotowa sama pójść do niego, i to zmusiło pójść prosić na poobiedzie, choć kwaśno i niechętnie.

Trzeciakowski popatrzał mu w oczy, pokiwał głową, poprawił peruki, i z właściwą sobie dokładnością, począł pytać:

— Czekażże WPan — co znaczy, po obiedzie? Obiad chłopi jedzą o dziesiątej rano, na wsi szlachta o dwunastej, ja o pierwszej, inni o trzeciej, a mówią, że za granicą dają go i o szóstej, więc wytłumacz mi co to jest, po obiedzie?

— No! ja myślę nad wieczorem — odparł Żereba.

— O godzinie?

— Trzeciej, czwartej.

— Zatem której?

— Naprzykład pół do czwartej.

— Bardzo dobrze, więc o pół do czwartej.

Bądźże WPan łaskaw pokazać mi swój zegarek?

Żereba dobył niecierpliwie się Breguet'a, sprawdzili oba.

— Pięć minut różnicy, będę punkt na pół do czwartej, i proszę złożyć moje uszanowanie.

O godzinie naznaczonej, już na stoliku stała butelka starego wina, konfitury, orzechy, pomarańcze, przysmaki wreszcie domowej roboty, pierniki, tłuczone i makagigi. Panna Izabella chodziła po pokoju, gdy punkt o pół do czwartej ukazał się z laską w rękę, w ryżej peruce pan Trzeciakowski, kłaniając się, okiem mierząc mimowolnie rozłożone na stole słodycze, które go odrazu w bardzo dobry humor wprawiły.

Ucałowawszy podaną rękę, zaproszony siadł na kanapie, a panna Izabella obejrzawszy drzwi i rozkazawszy surowo nie wpuszczać nikogo, gdy stary już począł się brać do słodyczy, nie wiedząc tylko jak racjonalnie je ułożyć w porządku, by jedno drugiemu smaku nie odejmowało, odezwała się z westchnieniem:

— Szanowny panie, mam wielką prośbę.

— Cały jestem na usługi. Czy to jest róża w domu smażona?

— Nie, kupna.

— Kijowska, od Bałabuchy, to się zaraz postrzega: słucham, słucham.

— Czuję się nie bardzo dobrze na zdrowiu, nie chciałabym bez rozporządzenia umierać.

— Ale na Boga! czyż to o tém myśleć w wieku pani! Róża przedziwna.

— W każdym wieku się umiera.

— Święta prawda! śliczne pomarańcze.

— Uprosiłam więc Pana Dobrodzieja, bo nie życzyłam sobie żeby kto wiedział o mojem rozporządzeniu, a chciałabym, aby było niewzruszone.

— To się rozumie — rzekł Trzeciakowski — i zrobimy mocno; wolno spytać czy tłuczenie są Asani Dobrodziejki?

— Robione w domu.

— Massa osobliwszej delikatności, proporcya skórki pomarańczowej wyrozumowana. Ale o czemżeśmy mówili, bo te delikatesy robią mi dystrakcyę.

— Mój kochany Sędzio, możeby spisać, bo nie zapamiętasz?

— Będziemy pisali; — odsunął nieco tacę biorąc co napadł z brzegu — kałamarz, pióro

i papier widzę w pogotowiu. Naprzód tedy stan czynny majątku.

— Oto jest gotowy — odpowiedziała panna Izabella dobywając papier — sporządziłam go z pamięci: w kapitałach, nieruchomościach ocenionych nizko, różnych sprzętach, obligach pewnych, summa...

Trzeciakowski spojrział i przestraszony upuścił tłuczeńca.

— Możeż to być?

— Tak jest — pocichu odezwała się panna Morosz, — praca i oszczędność wiele mogą.

— Straszne rzeczy!! straszne rzeczy!

— Krewnych nie mam, żadnej rodziny nie znam.

— A więc zapewne na dobroczynne zakłady? — spytał Trzeciakowski.

— Mam myśl inną, chcesz mnie pan wysłuchać.

— Słucham, słucham, z duszy serca.

— Mam sobie wiele do wyrzucenia, wy-
rządziłam krzywdę a raczej ubocznie wpłynę-

łam na jej wyrządzenie, chcę to naprawić. Zna-
łeś W Pan Hrabiego Górcę?

— Hermana? o mój Boże! doskonale, miał
stare sery jabłkowe wyborne—rzekł Trzecia-
kowski—razem ich tylko kosztował, ale ich za-
pomnieć nie mogę, bardzo zacny był człowiek!
Świeć Panie nad jego duszą, pełne szafy łako-
ci, komu się to dostało?

— Syn został wydziedziczony, brat objął
majątek.

— Ze spadkowego majątku? syn? to być
nie może.

— Sam się rzekł.

— Nie rozumiem.

— Dziwactwo, ale mój Sędzio, tu nie o to
już idzie. Czuję się być winną w całej tej
sprawie, nie mam krewnych, synowi Hrabie-
go, Jerzemu zapisuję wszystko...

— Wszystko!—powtórzył Trzeciakowski—
wszystko!

— Wyjąwszy legat dla Żereby i kilka mniej-
szych, które tu są spisane. Testament chcę
mieć ważnym, a spodziewam się, że mi nie
odmówisz pomieścić w nim tysiąc dukatów dla

córek... Ofiarowałabym je ojcu, ale wiem, że ich nie przyjmie.

Trzeciakowski się skłonił.

— I ja nie wezmę — rzekł — i moje córki nie przyjmą. Nie! nie! tego niepotrzeba. Umiem cenić szacowną dla mnie łaskę Pani Dobrodziejki, ale to być nie może. *Quo titulo?* Już to z tego nic nie będzie, i nie ma potrzeby.

Panna Izabella nie nalegała, wiedząc, że stary był w tych rzeczach nieugięty.

Rozpatrzono papiery; Sędzia rozklassyfikował je drobnostkowo, ponumerował, ułożył i zaczął znowu zakąsywać słodyczami, z których miseczki nadzwyczaj szybko się opróżniały.

Pozostały tylko gruszki surowe zatwardne na stare zęby, i śliwki, których nie lubił Sędzia, bo mu tam jakieś farmaceutyczne powidełka przypominały. Gdy wreszcie nic już prawie na tacy nie było, zasiadł na kanapie aby po dwoistej pracy odetchnąć, poprawił peruki, i począł opowiadać, jak miał być sporządzony testament.

Rzecz trwała długo i była nudną, dlatego jej nie powtarzamy, ale Sędzia czuł się w obowiązku wyliczyć i zacytować prawa, zwyczaję, formy, a nawet przywieść niektóre ciekawsze wypadki nieważności testamentów, liczbą świadków lub stosownymi pieczęciami nieopatrzonych.

Narada byłaby się może zbyt już przeciągnęła, gdyby nie nadchodzący wieczór, który zmusił ją przerwać. Dopełniwszy co za niezbędne uważał Trzeciakowski, wstał, włożył rękawiczki, przygotował się do drogi i przestrzeżony że o rozporządzeniu Żereba wiedzieć nie powinien, poszedł powoli do siebie myśląc o zjedzonych konfiturach, a bynajmniej o tysiącu dukatów ofiarowanych, których przyjęcia odmówił.

Panna Izabella uspokojona i weselsza, pierwszy raz oddawna poszła grać na salkę, a głos fortepianu wyrwał z ust przywiązanej służącej uśmiech i wykrzyk:

— No! to już chwała Bogu, będzie zdrowa!

Nazajutrz próżno czekały łakocie na Trzeciakowskiego, nie przyszedł, aż trzeciego dopiero

dnia zjawił się z gotową rzeczą, opracowaną troskliwie, podpisanemi świadkami, pieczętami, annexami i co było potrzeba.

Odczytano rozporządzenie raz i drugi, p. Izabella złożyła podpis, i wstała z twarzą rozjaśnioną, chowając testament, którego druga kopia została w sądzie złożoną.

— No! a jeśli ten waryat i tego testamentu się wyrzecze? — zapytał sędzia zajadając — co wówczas?

— To być nie może.

— Zrzekłże się przecie po ojcu: możeby położyć jakie zastrzeżenie na wszelki wypadek?

— Zastrzeżenie myślbę mu poddało — odezwiała się p. Izabella — niech Bóg czyni co chce... Zrzecze się: weźmie ktoś przecie. Cóż mi tam! nie mam nikogo, obojętna mi komu zostawię: ubogim, złym czy dobrym, to już nie w mojej mocy. Ja robię, do czego się czuję obowiązana; Bóg resztę...

Sędzia zamilkł, spełnił już missyą swoją, zjadł znowu tacę słodczy, otarł usta i odszedł wesół, niosąc pełne kieszenie łakoci pod pozorem dla dzieci... Tego może jednego w życiu

zobowiązania nie był w stanie spełnić sumienie, bo w drodze zaraz mocno fideikomis nadwreżył. Dzieciom zostały podobno gruszki suszone i antypatyczne śliwki: o reszcie sędzia nie wspomniał..

• Radwanowicz z Lacyną grali sobie w warcaby, a siedzieli naprzeciw okna; Paweł dla rozerwania samotności zszedł do nich także, i poglądał na graczy, obracając w milczeniu tabakierką.

— Robię królową—zawołał Lacyna.

— Królowa, *alias* dama, *unum et idem*, bo wszystkie królowe są damy, a wszelka dama królowa... Semiramis, zkąd zaraz... Wschód, Medya, Persya, Babilon i...

— Biorę trzy...

— Gdzie? gdzie? jak? co?

— W Babilonie!

— To mniejsza o to—odparł Radwanowicz—i ja biorę... Brać, słowo piękne, brać gdy dają i brać gdy nie dają. Ztąd wojna i bohaterstwo; znowu Alexander Macedoński, ku któremu wracać lubię, bo to był wielki czło-

wiek choć hulaka; dalej Arystoteles, i cóż: Kwintus Kurcyusz? Pan czytałeś Kwinta Kurcyusza, mości Lacyno?

— Nie.

— Możesz go i nie czytać. Kwintus nazywał się dlatego, że nos spuścił na kwintę, a chodził w kurcie: zkąd Kurcyusz.

Czegoż się można nauczyć od człowieka, który chodzi w kurcie a nos ma na kwintę? Hołota historyk, nieprawdaż? A! ale W Pan go nie czytałeś?

— Nie: biorę jedno...

— Gdzie, gdzie? Tfu! no! no! mniejsza o to! Jedno, jedność, wielka i mistyczna liczba. *En kaj pan...* W Pan nie uczyłeś się po grecku?

— Nie.

— To i lepiej... Nie masz wyobrażenia jaki to język bałamutny: litery pokręcone jak w konwulsjach, a każda bestya z ogonem... Ogon, *cauda*; *Lucium a cauda?* ha! lubisz W Pana szczupaka?

— Na W Pana braci.

— I owszem, biorę z przyjemnością: czekaj! a! tak! O czemże była mowa? Mowa, *sermo* wymowa, *eloquentia*, Demostenes i Cyce-ro... I... *pro domo sua*, takich mówców *pro do-mo sua*, przepaść choć nie Cyceronów; przed-miot łatwo natchnie: ale my oba, panie Lacy-no, domów nie mamy i przez to okazji do wy-mowy jesteśmy pozbawieni.

— Jak się WPanu zdaje — dodał po chwili — czy nas wypędzą??

— Nie — rzekł Rejentowicz — ale że nam tu tak jak za nieboszczyka nie będzie, to nie: już zaczynają wyznaczać wszystko pod miarą i wagą.

— Słusznie, jest to troskliwość o zdrowie nasze, Rejentowiczu, a nie żadne skąpstwo: troskliwość, *sollicitudo*. A nużbyś ty utył jak ja i począł sapać...? Żadnaby panna za ciebie nie poszła, z obawy, że nie dałbyś jej zasnąć, a znowu nie jesteś tak zabawny, aby bezsen-ność osłodzić...?

— Co WPan już pleciesz! Wygrałem.

— Bóg zapłać! Cóżes WPan wygrał? — za-pytał Radwanowicz — co?

— No, partyą!

— Dudka na kościele, winszuję; a ja przegrałem i nie umrę z desperacyi... Śmierć! co jest śmierć? panie Lacyno?

— O, mój Boże, jak on plecie?

— Plotę? znowu plotę? Kto żyje, umiera; co nie minie: o tém się potrzeba naradzić i namyśleć. Co jest śmierć? zapytuję w imieniu ks. Baki: *mors ultima linea rerum*; z drugiej strony: co jest życie? nie wiesz WPan, panie Lacyno?

— Zawsze się ciebie żarty trzymają.

— Nie; *seriosissime—vita*, życie; tajemnica, fig mig i skończyło się, jak świeczkę zgasił: głupia rzecz, panie Lacyno. Sokrates to powiedział pijąc cykutę, a cykuta inna jest od cykаты, którą baby wielkanocne wysadzają. Zdaje się, że i ten filut Seneka napił się tego samego, aby być podobnym do Sokratesa.

— Co ja tam wiem!

— A, powinienbyś wiedzieć, panie Lacyno, choćby to... Seneka wielka figura: *per-*

cursor chrześcijaństwa, żył nie do rzeczy, ale śmierć to mu się ślicznie udało... Na urząd!

Lacyna ziewnął, Paweł westchnął, Radwanowicz sapać zaczął.

— Zagramy jeszcze partya? — spytał Rejentowicz.

— Zagramy: ale powiedz mi, kto wynalazł warcaby?

— Któż wie?

— Ja nie wiem, dlatego pytam; a p. Paweł?

Siermiężki przywykły do tych wybryków ruszył tylko ramionami.

— Panie Pawle, daj tabaki; mówią że ona ożywia i mózg rozwesela; ale nos smuci— dodał professor.

— Oho! tabaka! to rzecz pocziwa! — rzekł Paweł.

— Nie przeczę. Kto zaczyna?

— Ja — rzekł Lacyna — baczność!

— Raz, dwa, trzy...

Ale nie zaczęli partyi, bo Wicek wpadł zadyszany.

— Panicz przyjechał!

— Kto? jaki? — porwali się wszyscy.

— A no! panicz! pański syn.

— Gdzież jest?

— W ganku, i pyta się o p. Lacynę i o p. Pawła.

Wszyscy jak stali, przewróciwszy warcabnicę, wybiegli ku gankowi, gdzie w istocie stał Jerzy, przyszedłszy pieszo z miasteczka od ks. Mizeryi, którego najprzód odwiedził. Powitano go okrzykami radości, a stary Siermiężki kręcił się, nie wiedząc czém go i jak miał przyjmować... Myśleli już że im na dobre powrócił.

— Chwałaż Bogu! a to pan z nami znowu?

— Jakaśmy tu tęsknili za panem!

— Chociaż rozmaicie tu było — począł Radwanowicz, ale nie dokończył, bo Jerzy się odezwał:

— Moi kochani przyjaciele, ja tylko tu przejazdem do was umyślnie w odwiedziny przybyłem, ale nie powracam do Horycy. Wszystko zostało jak było, szło mi tylko, bym się przekonał czy wam czego nie braknie, bo bym się mógł upomnieć.

Paweł spojrzał mu w oczy.

— O ho, tu nie ma nic złego, ale pustki; kilka lat, a i domisko się wywali, oh! i szkoda go będzie... A ja tu nie wytrwam i za wami taki pójdę...

— Dobrze, jak ja swój lub pożyczany kątek mieć będę; bezpieczniej wam tu jeszcze, bo ja niekoniecznie wiem gdzie głowę przytulę. Młodemu to nic, a starym już ciężko się waleśać.

— Jaby to samo co Paweł zrobił—rzekł Lacyna--ale muszę pilnować gospodarstwa, bo tu bezemnie wszystko do góry nogami przewrócą.

— Mnie też biblioteki porzucać nie wypada, bo to tego jak oka we łbie strzedz potrzeba—rzekł Radwanowicz—myszy, szczury, pył sprzysiężeni na nią nieprzyjaciele, knujące spiski wrogi: *conjuratio Catilinae*, a szczur tu reprezentuje Katylinę.

— Zostańcie więc—rzekł Jerzy—zostańcie; mam nadzieję, że tu wam tak źle nie będzie. Zapewniłem wam spokój i to wszystko do czegoście przywykli.

Paweł machnął ręką, jakby mówił: Co mi tam.

We czterech potém poszli z Jerzym oglądać domostwo, którego on pierwszą razą przybywszy prawie nie widział, i ze wspomnień tylko dziecinnych miał je w pamięci.

Nie wiele mu się téż tu zmieniło od młodych lat, mniej jeszcze od śmierci ojca, w którego pokoju ogień tylko wygasł na kominie: Paweł nigdzie sprzętu nawet poruszyć nie pozwalał. Radwanowicz z kolei powiódł do swój biblioteki, którą się pragnął pochlubić.

Była to salka cała od góry do dołu wypakowana, dosyć skromnie, na sosnowych i dębowych pułeczkach umieszczonemi książkami, bez żadnego porządku. Radwanowicz nigdy nie mógł przyjść do systematycznego ich układu, utrzymując, że każdą książkę w chaosie tym może znaleźć na zawołanie, a gdyby inaczej je uporządkował, do niczegoby nie trafił. Leżały więc jak Bóg dał, w największym zamęcie, jak wiadomości w głowie Radwanowicza, i przedstawiały obraz dziwny nagromadzonych z najróżniejszych świata duchowego krańców, płodów fantazyi, umy-

słu, nauki. Radwanowicz pysznił się swą biblioteką i rzeczywiście poznawał w niej każdego mieszkańca, dziwnym jakimś instynktem, po okładce, po barwie, po wzroście, po cechach dla innego nie dostrzeżonych.

Jerzy popatrzał na to z uczuciem, przypominając, że te stosy były jedyną ostatnich lat ojca pociechą i rozrywką. Książka, którą czytał jeszcze przed śmiercią, Tacyt, ulubieniec Hermana, leżał jeszcze roztwarty, a Radwanowicz nie śmiejąc dotknąć tej relikwii, wskazywał ją z uszanowaniem.

Tak powoli przeszli dom cały, i Jerzy nie spoczął aż późnym wieczorem, a nazajutrz do dnia urządzono mu podróż do Pińska.

Smutne na nim wrażenie uczynił dom panny Izabelli i pustka bezduszna a wrzawliwa, która go otaczała, brzydota, nieczystość, śmieć opasujące dokoła kamieniczkę jakby na wygnaniu stojącą. Wieczorem tegoż dnia wiadano o jego przybyciu. Żereba dwakroć go odwiedził i w końcu zaprosił na południe do swjej pani. Ranek cały nękał tymczasem

przybyłego p. Jan Piotr Mąkiewicz, który miał sobie za obowiązek stawić się przed Hrabią, z listą ofiar na cel ów ważny i wielki, któremu życie swoje poświęcał.

Plącząc wskazywał ów przez siebie położony podpis s. p. Hermana Góry, przysięgając, że on jeden pojmował tylko ważność missyi jakiej się podjął, i najsilnie ję do wytrwałości zachęcał. Musiał Jerzy rad nie rad pójść w ślady swojego ojca, a Mąkiewicz natychmiast udał się do blizkiego szynku obchodzić tę wielką uroczystość.

O południu wszedł Jerzy do domu, który jeszcze jak przez mgłę ze szkół pamiętał; ale gdy przed nim stanęła panna Izabella, byłby już ję nie poznał, tak wiek i smutki ją odmieniły. Nie bez wzruszenia zbliżyła się do niego biedna kobieta, której rysy młodego chłopaka żywo przypomniały i nadzieje młodości i przykry zawód jakiego doznała. Poważnie, smutno podała mu rękę i posadziła przy sobie: długo nie mogła wyrzec słowa.

— Pamiętasz mnie? — spytała wreszcie.

— Wdzięczne uczucia, nigdy się nie zacierają,— odparł Jerzy,— pamiętam dobrze, gdy ojciec umyślnie mnie ze zbytnią surowością wdrażał do życia, paniś mi je starała się osłodzić.

— Dziś, gdy on już w grobie,— przerwała panna Izabella,— na tej świeżej mogile wszystko potrzeba zapomnieć i przebaczyć. Znałam ojca twojego od bardzo dawna i zblizka; była chwila w mojem życiu, gdym się spodziewać mogła, że losy wspólne nas połączą. Bóg i on chcieli inaczej: jam pozostała wdową bez męża, sierotą na zawsze, i bardzo biedną. Nie obwiniam go; obojeśmy byli winni: on sercu nie wierzył, ja nadto rachowałam na nie.... Wszystko to dziś sen, przeszłość, marzenie; zostały tylko obowiązki, o których mówić potrzeba. Ja starzeję... rodziny nie mam,— dodała powoli,— Jerzy, chceszli być synem dla mnie i dzieckiem serca mojego?

Jerzy nie wiedząc co odpowiedzieć, ucałował jęj rękę w milczeniu.

— Nie miałeś ojca, chceszli choć późno odzyskać matkę? Możem ja przyczyniła się do

wydarcia cię ojcu, ojca tobie: niech ci się sercem matki wyplacę. Wiem wszystko, —kończyła żywo, — twoje poznanie z nim, ostatnie chwile Hrabiego, pojednanie wasze, testament i to coś ty uczynić sądził koniecznym.

— Mógłżem inaczej? — spytał Jerzy.

— Nie: rozumiem cię, pojmuję to bałwochwalcze poszanowanie woli ojcowskiej, gdy się jej sprzeciwiło za życia!... Nic na tem nie stracisz: chcę, abys matkę miał we mnie. Jam stęskniona długą samotnością; choć na starość, choć cudzą chcę sobie przyswoić rodzinę. Chceszli obarczyć się moją starością i smutkiem?

Jerzy stał nieco zmieszany.

— Nie rozumiesz mnie, — rzekła. — Czeka*j* i s*ł*uchaj chwilę: jam bardzo nieszczęśliwa, jam bardzo samotna; kochałam twój*o* ojca, póki mnie nie odepchnął ręką zimną: kocham dziś dziec*ię* jego, miłością, zgryzotą, potrzebą przywiązania na starość. Nie będę ci ciężarem, potrafię może być pomocą. W samotności świat się oczom odsłania tak nagi, tak prawdziwy jak nigdy; zyskasz gdy ja cię weń wprowadzę. <http://rcin.org.pl>

— Ale gdzież chcesz byśmy razem byli?—
spytał Jerzy z wahaniem,—ja nie mam je-
szcze ani kątką.

— Ty już masz wszystko co ja mam,—od-
parła panna Izabella żywo,—jestem bogata
dla ciebie: oddawna już tyś dziecko moje wy-
znaczony do odziedziczenia po mnie. Coś utra-
cił po ojcu, weźmiesz odemnie, z żywych rąk
matki, a raczej razem z matką. Prawnie już
dokonane wszystko: wszak mi nie odmówisz?

Jerzy rumienił się i mieszał.

— Ale wieszże, pani,—przerwał,—dlacze-
gom odmówił spadku po ojcu, jak lękałem się
wdzięczności i niewoli?

— Wiem wszystko, ale tamto mienie kła-
dło na cię pęta, moję cię uwalnia od nich; ze
mną nic nie bierzesz prócz mnie jednej, i nie
ofiare przyjmujesz, nie dar, ale spadek macie-
rzyński. Świata nie znam, z nim cię nie zwią-
żę; pozwolisz tylko, by stara przyjaciółka oj-
ca siadła u twojego progu i czasem przypo-
mniała sobie młodość, roiła sobie rodzinę,
śniła, że ma syna.

— Tu oczy panny Izabelli pierwszy raz oddawna zaszły rzewnymi łzami, wzięła jego rękę drżącą, zdawała się błagać go, aby nie odrzucił tej ofiary.

— To co weźmiesz odemnie, da ci swobodę,—dodała,—nie narzuca żadnej wdzięczności, bo nie mam komu przekazać mienia: sama go na nic nie potrzebuję i użyć nie umiem. Ale myśl tylko, czy ja ci nie będę ciężarem, czy zniesiesz starą, biedną kobietę u twojego boku?.. Obyczaje moje samotne, siedzę zamknięta, lubię jedną muzykę: ona mnie przy życiu trzymała... Godzinę jakąś tylko w dniu dasz dla mnie, taką jaką ci zbędzie, z którą nie będziesz wiedział co robić.

— Czyń pani jak jej się podoba.

— Przyjmujesz więc? możeż to być? ty przyjmujesz?

I wstała z oczyma wyjaśnionemi, chcąc go ucałować w rękę z takim uczuciem, że chłopak cały przejęty ledwie miał czas się usunąć i drżące jej ucałować dłonie.

— Nie sądź,—dodała żywo,—bym stara i znudniała miała ci być ciężarem; to szczęście,

którego mi dasz rzeczywistość, cenię drogo i poszanuję; będę ci matką, radą, sługą, będę piastunką pokorną i cichą, ale mnie nie odpychaj. Nie wstyd ci będzie przyjąć od matki przybranej trochę tego lichego grosza, który jej na nic się nie przydał. Słuchajże teraz mnie jeszcze: posłałam już do twojego stryja, aby u niego kupić Horycę; tam dla nas jest stary dom ojcowski. Dla mnie on będzie miłym i cichym przytułkiem. Hrabia sprzeda majątek, bo mu go dobrze zapłacim; nie się tam nie ruszy z miejsca, wszystko jak było zostanie: ludzie starzy, słudzy, sprzęty... tylko izdebkę gdzieś znajdziecie dla mnie. Nie dobryż to projekt?

Jerzemu snem się to wszystko wydawało; życie jego w niespodzianych i coraz nowych zmianach tyłu go karmiło wzruszeniami, że młode i chciwe ich serce, podolać im już nie umiało; nie wiedział jak radzić, jak je przyjmować.

W młodej piersi odzywała się teraz myśl tylko jedna, dawna, straconej swobody. Plotło się wszystko około niego tak, że musiał utra-

cię panowanie nad swoim losem i sobą i wniść znowu jak kółko posłuszne do tej maszyny, która się społeczną zowie całością. Poczul, że próżnoby się wyrywał z niej, że inaczej być nie mogło.

— Cóż poczniemy — spytał po chwili — jeśli do tego domu, który będzie twoim, który ty nazywasz naszym, jeszcze kto więcej przybędzie? I zarumienił się. Matko, jeśli mi się już tak pozwalasz i każesz nazywać: przyznam ci się, że od dni kilku związany słowem, sercem, przysięgą.

Panna Izabella zadrżała, prawie uczucie macierzyńskiej zazdrości obudziło się w niej, choć najprzód przewidywać mogła, że Juraś sam nie pozostanie na świecie.

— Jakto? już twoje serce oddane? już wybór zrobiony?

— Tak jest...

— Mów mi więc wszystko, jak matce.

I Jerzy począł jej szczerze spowiadać się ze swojego do Loli przywiązania, a takimi siostrzyczkę odmalował farbami, że choć obraz był prawdziwy, zdawał się gorącą przesadzo-

ny miłością. Panna Morosz słuchała prawie z przykrością.

— A będziesz ona mnie kochać? — spytała smutnie. — Cóż poczniecie z sobą, będąc tak blizkiemi krewnemi? nie stanąż wam na drodze zwyczaj, przesady, prawa? Nie jestli to jutrenka cierpienia zamiast gwiazdki szczęścia?

— Ja nie wiem, alem z serca chciał się wyświadczyć — rzekł Jerzy pokornie.

Cała reszta dnia zeszła na rozmowie, na dziwném tém przybraniu sobie dziecięcia, które nowe uczucie i zajęcie wlało w osieroczone serce kobiety: panna Izabella uczyła się macierzyństwa.

Na obiad przywołany wszedł Żereba ciekawy i niespokojny, a postrzegłszy swą panią tak wesołą, zmienioną do niepoznania i odmłodzoną, przejętą i łzawą szczęściem jakimś, gotów był ją posądzić o poczwarne jakieś na Jerzego zamiary.

— To stary przyjaciel domu, — rzekła panna Izabella przedstawując prawnika — pan Ignacy Żereba; a to syn mój przybrany, — dodała — który od dziś dnia jest tu tak panem jak i ja...

Żereba zaciął usta, zgiął się pokornie we dwoje, ale dużo myślał rzeczy, których nie miał ochoty powiedzieć.

— Otóżto, dlaczego Trzeciakowski zjadł tyle konfitur — rzekł w duchu — bogdaj się udławił! Ale do czegoż to podobna? panna przybiera syna? młokosa... rzecz więcej niż podejrzana!!

Kwaśno spojrzawszy na Jurasia, usiadł zmieszany; wszystkie jego nadzieje były naraz zburzone: nie mógł się przemódz, aby ukazać spokojnym.

Nazajutrz przyszła oczekiwana odpowiedź od hrabiego Rajmunda, który ofiarował się sprzedać Horycę i delegował ku temu umyślnego pełnomocnika. Żereba wyznaczony został do traktowania z nim i dobicia. Panna Izabella usiłowała wstrzymać przy sobie Jerzego, ale jego i miłość i tęsknota pędziły ku Zarubińcom, gdzie był poczynił zresztą starania o dzierżawę i przedwstępne przygotowania. Teraz już stało się to niepotrzebnem, gdyż panna Izabella kończyła o Horycę, sama prze-

nieść się chciała natychmiast i przy sobie mieć Jerzego, oddając mu zarząd i gospodarstwo.

Jakkolwiek wszystko to naraz nie stało się głośnem, przez Zerebę jednak niechętnego tym nowym rozporządzeniom, przez sąd który gotował na Horycę tranzakcyą, zresztą nie wiedzieć jakimi drogami, wiadomość o tych wypadkach poszła w świat na ludzkie języki.

Był to pokarm posilny dla próżniaków. Często z bardzo małej i prostej rzeczy robią się dziwy, cóż gdy zdarzenie samo z siebie jest dziwnem i niezwyčajnem?

Życie Jerzego, jego losy, doskonałego dostarczały wątku do tworzenia ciekawych historyj i bardzo miłych ploteczek, a w miarę oddalenia się od źródła, strumyki te wzbierały jak rzeki na wiosnę i coraz barwniejszemi płynęły falami. Z Pińska błyskawicą wiadomość o usynowieniu Jerzego przez pannę Izabellę, poleciała w okolice Zarubiniec, a dziwne to przyznanie za dziecię przez dawną ojca jego kochankę, zapis ogromnej fortuny, którą powiększono jeszcze, kupno Horycy, z tem co każdy z własnej dosztukował fantazyi, złożyło

całość wcale ciekawą i piękną. Jerzy stał się bohaterem i przedmiotem żywych rozpraw o kilkadziesiąt mil wkoło; rozumie się, że jemu i tym co z nim byli w stosunkach, nie szczędzono jaskrawego kolorytu: kiedy malować to malować.

U państwa Jędrzejowstwa, pierwszy jakoś dowiedział się o tém sam mąż, i wpadł zdyszany do żony, kręcąc wąsy których nie miał.

— Otoż nowina! oto nowina! — wołał.

— Cóż się stało?

— Osobliwsze rzeczy! żyd przyjechał z Pińska, który był, widział, słyszał, i wie najdokładniej: to rzecz niezawodna.

— Ale cóż przecie?

— Kiedy mi nie dajesz powiedziéć, kochana Stasiu.

— Ja nie daję! *panie Jędrzeju!* — z przyciskiem i wyraźną groźbą odezwała się żona....

— Przepraszam duszeczkę — całując usuwając mu się rączki, zawołał skruczą przejęty Jędrus — ale nie patrzcie na mnie tak srogo, bo mi to odejmuje pamięć i przytomność... Otóż

jest wiadomość z Pińska, że hrabia Jerzy...
Jerzy; no wiesz, co Aneta w nim....

— Ale cóż pleciesz!

— No tak! Jerzy: znowu historia!

— Cóż się z nim stało?

— Przybrany został za syna przez niejaką
pannę Izabellę Morosz, bardzo bogatą, milio-
nową osobę, która się niegdyś w jego ojcu ko-
chała... Ta zapisała mu cały majątek, kupiła
dla niego Horycę, i ma przy nim zamieszkać..

— Cóż to znowu za bajki! — odezwała się
Stasia.

— Jakto bajki, kiedy żyd mówił! Żydzi
zawsze wiedzą najlepiej.... Jankiel.... Już ja ci
powiadam że prawda.

— To do niczego niepodobne....

— Ale tak jest! tak jest! Aneta miała do-
bry węch!.. oho!

— Co to jest? co to jest? — groźnie i ostro
przerwała Stasia—co za domysł szkaradny?

Jędrus rozśmiał się zlekka jeszcze, ale mo-
cno pomieszany.

— E! to ja sobie tak tylko mówię...

— Aneta, wiedz/Wpan — rzekła matka —

nie może być nawet posądzaną... Slicznieby było gdybyś to Wpan, jak to ci się czasem trafia, przy ludziach powtórzył: pleciesz i pleciesz! Ej! panie Jędrzeju!

Jędrus spuścił głowę, pokręcił węża i zamilkł przybity, a matka żywo poszła z nowiną do córki, którą, jak zawsze, tak i teraz zastała roznerwowaną, smutną, zamysloną i niespokojną.

— Cóż ci to, moje kochanie?

— Czuję się nie zdrową...

— Ja to sama widzę i posłałam po Szemerego.

— Posłała mama? na cóż?

— Ale, jeśliś chora...

— Ja znowu tak chora nie jestem.

— Zawsze lepiej żeby cię zobaczył; pojechali po niego wczoraj jeszćce, ale go wyszukać nie łatwo, bo nigdy w domu nie siedzi...

— Ja sama widzę w tobie coś nienaturalnego...

— Sama nie wiem co mi jest.

Matka troskliwie wpatrywać się w nią zaczęła.

— Szkoda, żeśmy do wód nie pojechali

— Wodyby nie pomogły—odparła Aneta— patrząc na matkę załzawionemi oczyma.

Mówiły jeszcze z sobą, gdy wilk o którym właśnie wspomniano zjawił się we drzwiach: Szemere wszedł do pokoju, przydybany gdzieś u wistowego stolika i gwałtem wyciągniony prawie do państwa Jędrzejowstwa.

Twarz jego brzydka budziła odrazę w Anecie, która w dowcipie i wesołości także nie bardzo smakowała; ale poczciwy doktor rozbrajał ją pokorą i uwielbieniem. Rzadko kiedy go tu wzywano, na ten raz domyślał się już czegoś ważnego i zdumiał zobaczywszy wszystkich na nogach i na oko zdrowych.

— Moja dobrodziejko, — rzekł do panny Anastazyi, — trzebaż mnie było odrywać od wista, w którym już, już zacząć miałem wygrywać: dla jakichś spazmów? Nie widzę, chwała Bogu ani śladu choroby nigdzie.

Gospodyni mrugnęła na niego, oczyma wskazując mu córkę.

— A! więc to jest moja śliczna pacjentka, — rzekł zbliżając się i siadając naprzeciw niej. Hm! hm! gdzieżto choroba może się pomie-

ścić w takim śliczném, Bożem cacku? Co pani jest?

— Mnie, doktorze? ale nic, zupełnie nic: mama choruje za mnie.

— Matki to czasem lepiej widzą od dzieci, i dowiedziona rzecz, że kiedy dziecię ma zabolć, najprzód to macierzyńskie serce poczuje: więc egzaminujmy się.

— Ale ja jestem całkiem zdrowa! tak tylko: trochę podrażniona.

— Dobrze, jest tedy symptom: podrażnienie. A więc nerwięta kochane w robocie: to utrapienie wszystkich lekarzy, to licho którego ani opanować, ani mu dać rady, ani zrozumieć nawet. Cóż tedy? trochę smutku? trochę niepokoju? znudzenie światem.

— Nie źle zgadujesz, doktorze: coś podobnego.

— Ale to choroba pospolita wszystkich pańien, którym potrzeba iść za mąż—rzekł Szemere—na to jest jedna tylko recepta, *panaceum* uniwersalne: ładny i poczciwy chłopiec.

Aneta ruszyła ramionami.

— Nieznośny pan, jesteś ze swemi żartami.

— Patrz pani, a ludzie jednak mnie znoszą, a miejscami nawet kochają, — odparł doktor — ale ten stan nerwowy i lepsze niż ja rzeczy obrzydza.

— To nie sam stan nerwowy jak go nazywasz, — przerwała matka — boć ja wiem, że na to woda laurowa, kwiat pomarańczowy są wystarczające, kochany Szemere; ale ona nic nie jé: wieczorami głowa ją boli, łzy kręcą się w oczach...

— Powiadam pani, to te nerwy łotry rozhułały się, — dodał doktor — laurowe krople i woda pomarańczowa dobre, kiedy się one na chwilę zbuntują, a to coś zakrawa na stan chroniczny.

Spojrzał w oczy Anecie.

— Cóżbyśmy to z panią zrobili? he? a gdyby wieczór tańczący? to jest wcale nie złe lekarstwo, balik? przejażdżka? słowem coś z tych rzeczy co to się zowią dystrakcyami?

Aneta wciąż ruszała ramionami, nie odpowiadając: doktor po chwili uklonił się i wyszedł z matką.

— Pani dobrodziejko, żart na stronę, —
rzekł — czy się tylko panna nie kocha?

— Ale, nie wiem...

— O! o! matka żeby się nie domyślała!
Doktor to spowiednik, mówno mi pani szcze-
rze, może coś poradzimy; miłość to jeszcze
nic, ale gdy się sprzeciwi jej i podrażni, goto-
wa doprawdy sprowadzić komplikacye oso-
bliwsze. Tu wszakże trudno się czegoś podo-
bnego obawiać: panna piękna, bogata, rozu-
mna, nie oparłby się jej i święty. Ja pierwszy —
dodał śmiejąc się — gdyby we mnie się zako-
chała, ryzykowałbym się.

— A, co pleciesz doktorze!

— Dalipan, że zrobiłbym ofiarę. Pani my-
ślisz, że to nie byłaby ofiara?

Pani Anastazyja pogroziła mu palcem na
nosie.

— A jużciż, będąc tak brzydkim i starym
jak ja, to gotowa bięda. Ale mówmy seryo,
droga pani, panna Aneta zakochana?

— Być może!

— E! mów pani jak przed przyjacielem.

Matka westchnęła głęboko i podparła się
na dłoni.

— — No! to ci to już koniecznie trzeba wszystko powiedzieć, zdaje mi się, że odgadłeś.

— Chwała Bogu! górą medycyna! Poradzimy!

— Nie wiem, bo...

— Jużciż nie we mnie to pewna, powiedz mi pani, pocichuteńku, na ucho, w kim?

— One tu podobno wszystkie głowy potraciły dla tego bohatera w siermiężce, — ruszyła ramionami. — Prawda, że chłopak niczego, ale dziwak.

— Jestem w domu! Hrabia Jerzy?

— Tak i mnie się zdaje.

— A no! to go wziąć, — zawołał doktor — Kobiety mają na to tysiąc sposobów, a na męczyznę jednego dosyć.

— Nie tak to łatwo — powoli rozgadując się, odezwała się matka, — z każdym innym byłoby mi nierównie wygodniej, ale to zdziczałe, samowolne! Aneta lepiejby zrobiła daleko, żeby go sobie z głowy wybiła.

— A, pani dobrodziejko! jak skoro siedzi w głowie to bardzo trudno; gdyby był w sercu jeszcze jako tako: klin klinem, — zaśmiał się

Szemere—homeopatya w rzeczach miłosnych, doskonały środek.

— Wszystkich bo pozrażała! mieliśmy ich tyłu.

— Cóż ja tu pani poradzę? Doprawdy, to komedia *Doktor w kłopotach!* Matka już lepiej od lekarza wiedzieć będzie co robić: jej w ręce rezygnuję władzę moję.

— Ale doprawdy, doktorze, mówmy już bez żartów: ona nie je, nie śpi, chudnie, niezmiernie chudnie, widzę to po gorsecie; blednieje, płacze... to rzeczy są groźne.

— Nie ma sposobu: albo nastawcie sidła na ptaka, albo szukajcie drugiego.

— Aneta była dotąd tak ostrożną, tak rozumną!—westchnęła matka.

— I to bięda,—rzekł doktor—żeby się była ze dwa razy wprzód wykochała, terazby jej to nie przychodziło tak ciężko; ale widać, że to na seryo!

— I ja się tego obawiam.

— Musicie więc sobie Hrabiego zwerbować,—dodał Szemere—na to są przecie sposoby: zbliżyć się do stryjenki, ująć Maxa i Ottona

jego przyjaciół, wreszcie pociągnąć *per fas et nefas*, a przeszkód mu nie stawić.

— A! mój kochany doktorze, — odezwała się matka wzdychając ciężko — najlepszy człowiek ten mój mąż, ale ty wiesz jak on biedak prostoduszny. Nic z nim zrobić! nieszczęśliwa jestem, bo nie mam się kim posłużyć! Zostawiony sam sobie na chwilę, zawsze baka ustrzeli i dom skompromituje.

— E! gdzieby zaś, — odparł doktor — to prawda, że pan Jędrzej *simplex servus Dei*, ależ ojciec, ale dobry człowiek: jak mu pani da lekcję, nauczy się jęj i wyrecytuje.

— Zawsze coś swojego dołoży.

— Tak, toby mogło wypaść nie bardzo szczęśliwie. Zawsze jednak kiedy nie ma kogo użyć, trzeba tego co jest; liczyć trochę i na to, że ja stary intrygant, jestem także na wasze usługi. Tylko na mnie znów rachunek nie wielki, bom papla.

— A! zlitujże się! nie wygadaj!

— Nie! nie! w innym razie, może; tu jestem jako lekarz przy pacjentce: radzę.

Pani Jędrzejowa ruszyła ramionami, zbliżyła się do ucha doktora i szepnęła mu:

— Tylko mnie nie zdradź! Wiesz, żem zła-pała list, który chciała pisać do niego....

— Pierwsza ona! to źle! to bardzo źle!

— Dlatego tak niespokojna.

— I list poszedł?—zapytał doktor.

— Ale nie! spaliłam go! Uprosiłam, żeby tego nie czyniła; ale Aneta ma wolę silną i nie dziś, to jutro zrobić gotowa co postanowi.

— Ale on? jakże z nią był? — spytał Szemere—dał powód do tego?

— On... właśnie, że to rzeczy niepewne, Bóg go wie jak z nią jest; zdaje się, że się ja-koś rozumieją, chociaż Aneta coraz traci śmia-łość, dziecinnieje przy nim i boję się żeby jój nie zawojował. A z drugiej strony, mówią ja-koby się szalenie kochał w swojej siostrze stryjecznej.

— Coraz nowe rzeczy!—zawołał Szemere.— Ależ to być nie może! Sodoma i Gomora! Na to ani pobożna Hrabina, ani sztywny Hra-bia nie pozwolą nigdy... Zamieszanie! chaos, a panna chora z miłości. Czyż już pani kon-

ceptu zabrakło, żeby go tu przyciągnąć i środków, by przytrzymać: toby był koniec świata.

— Mamże posłać po niego! cóż pocznę? Męża chyba wyuczę i odkomenderuję.

— A! na nic się to nie zdało! — rzekł doktor kiwając głową, — męża sobie pani odeszłe do gospodarstwa: to jego rzecz, a tu sama rób!... Gdybym mógł, gotowem i ja do tego pobożnego uczynku ręki przyłożyć. Jerzy przyjedzie do Robowa, tam go potrzeba złapać, trzeba nasztyftować Ottona, namówić Maxa; przecież go w tyłu razem zaciągną tu do państwa, a dalej już niech kobiecy rozum dzieło kończy. Uczyc was nie potrzeba.

I nagle urwawszy, innym tonem zakończył:

— Cobyś pani na to powiedziała, gdyby dali śniadanie?

Na tem skończyła się narada, ale panna Aneta pozostała smutną i bladą jak była, a matka niespokojną.

KONIEC TOMU TRZECIEGO

INSTITUT

BADAŃ LITERACKICH PAN

Biblioteka <http://rcin.org.pl>

ul. Tęczyńska 72



F
1675
III